

Patrycja GRYCIUK



trzy godziny ciszy



Patrycja GRYCIUK  
trzy godziny ciszy



*Moim Rodzicom.  
Najwspanialszym Rodzicom na świecie.  
Kochają mnie bardzo, więc jest szansa, że wybaczą mi tę książkę.*

*Ludzie tacy jak my, wierzący w fizykę,  
wiedzą, że różnica między przeszłością,  
teraźniejszością a przyszłością  
jest tylko uparcie obecną iluzją.*  
Albert Einstein

*Cała literatura o miłości to, jak dotąd, tylko wspaniałe gówno. Cóż to ma wspólnego z miłością. Boże mój drogi. Chciałbym cokolwiek przeczytać o sobie i o swoich uczuciach, kiedy leżę dwudziestą noc bez snu i patrzę w sufit. Wszystko, co na ten temat napisano, jest mdłe jak miedź przy słońcu.*

Marek Hłasko, *Ósmy dzień tygodnia*

*Jeśli pisać o miejscu, to o tym autentycznym.  
Jeśli pisać o domu, to o tym prawdziwym.  
Jeśli pisać o miłości, to o tej, co trwa wiecznie.*

# CZEŚĆ I

## PRZEDTEM

### 1

Są rzeczy i wydarzenia, których nie pamiętam. Wiem jednak, że w brzuchu mamy było nas dwoje.

Ona chciała dać mi na imię Remigiusz, ale kiedy okazało się, że jestem dziewczynką, nazwała mnie Patrycją. W domu wszyscy wołali na mnie Pati. Wychowałam się częściowo w Legnicy, w wielodzietnej rodzinie, a częściowo we Francji, w Gourdon, u mojej ciotki. Polskę opuściłam dla miłości jako młoda dziewczyna i nigdy nie wróciłam do kraju. Z zawodu jestem nauczycielką, ale piszę też książki. Od dłuższego czasu zastanawiam się, czy mogę napisać kolejną powieść z narracją w pierwszej osobie. Czy mogę stworzyć bohaterkę, przez której papierowe życie wyrzucę z siebie wszystko to, co tkwi we mnie, pod skórą, w zepsutym wnętrzu? Czy jestem w stanie po raz kolejny stanąć w świetle reflektorów, zakrywając się kilkoma słowami, a potem z nich się tłumaczyć? Czy w ogóle mam na to ochotę? Bo wolno mi jeszcze być sobą pod przykrywką fikcyjnej postaci. Mną w rzeczywistości i mną w tych zdaniach, które znajduję, żeby opisać to, co mnie spotkało i wciąż dotyka. Ale czy da się to rozdzielić na prawdę i fałsz? Na fikcję i rzeczywistość? Nie. Nie da się, bo wszystko się miesza, wzajemnie przenika, traci wyrazistość.

Kiedy ktoś pyta mnie o wiek, potrzebuję chwili na zastanowienie. Wcześniej wiedziałam od razu, teraz mam z tym kłopot. Liczę. Lata lecą za szybko. Gubię się w rachunku. Mam wrażenie, że zatrzymałam się w pewnym wieku i utknęłam w tamtym czasie. Ale gdy patrzę w lustro, nie poznaję siebie. To nie ja. Bardzo nie ja. Chcę mieć dwadzieścia sześć lat, a urodziłam się przecież w 1978 roku. Tak przynajmniej twierdzi mój paszport.

Myślałam o tym długo, bo i tęskniłam za nim długo. Za tym mężczyzną, często nieobecnym, ale tak bardzo mnie kochającym. Za jedynym. Aż wreszcie stwierdziłam, że skoro wszyscy opisują teraz tylko prawdziwe historie albo przynajmniej fabularyzowane, ale oparte na faktach, to i ja powinnam. Odszukałam go wczoraj w czeluściach internetu i wkroczyłam powoli, ale pewnie, w jego teraźniejszość. Otworzyłam rozdział, który dawno temu oboje uznaliśmy za zamknięty. Marnix. Chcę być jego przyszłością. Albo przynajmniej chwilą, skoro przyszłość ma się jednak ku końcowi. Sceną zamykającą fabułę, jak na filmie tuż



przed końcowymi napisami. Żalodne, wiem. Ale czasami wszechświat stara się nam coś powiedzieć. Albo to my, przekornie, chcemy na siłę odpowiedzieć na dręczące nas pytania wbrew wszelkiej logice.

Marnix i ja urodziliśmy się tego samego dnia, miesiąca i roku, o tej samej godzinie. No, prawie o tej samej. Marnix zgrabnie opuścił łono matki o dwudziestej trzeciej dwadzieścia, a ja zapierałam się i musieli mnie wyciągnąć kleszczami sześć minut później, po wyjęciu Roberta – mojego brata bliźniaka. Zaistnieliśmy daleko od siebie, w innych krajach, róż-nych kulturach i językach. Jednak po siedmiu latach spotkaliśmy się. Ale o tym potem.

Dziś, po upływie trzydziestu ośmiu wiosen, postawiłam wszystko na jedną kartę. Wyłącznie do niego mogłam wysłać tę wiadomość, bo tylko on mógł ją zrozumieć. Albo przynajmniej nie uznać mnie za wariatkę po jej lekturze. Wiedziałam, że będzie czytał kilka-krotnie. Być może nawet na głos. Brzmiała tak:

*Tacy po prostu są ludzie. Taka jestem ja – i się nie zmienię. Nie ma na to szans. Czasu nie ma. Możesz o mnie myśleć, co chcesz, mówić, co chcesz. Już się nie zmienię, już mi nie przejdzie. Przecież mnie znasz. Może być jedynie gorzej.*

*Trzeba było częściej trzaskać mi drzwiami przed nosem. Trzeba było mniej mnie słuchać. Trzeba było wybrać jego.*

*Znienawidzisz mnie przez te słowa, jeżeli już nie znienawidziłeś przez wszystkie wcześniejsze. Miało być odkupienie win, a jest ostatni gwóźdź do trumny. Wszystko jedno. Możesz odpuścić. I mnie. I sobie. Bo czasu nie ma.*

*Spotkaj się ze mną. Daj mi trzy dni. Proszę.*

Notatka wyszła niczym wyrwany z kontekstu fragment słabo napisanego listu, choć ważyłam każde słowo. Długo zastanawiałam się, czy powtórzyć „już się nie zmienię”. Czy odczyta to jako błąd wynikający z pośpiechu, czy jako zamierzony zabieg mający wzmocnić to stwierdzenie? W końcu Marnix jest inteligentny. Wie, że nie rzucam słów na wiatr i każdy wyraz ma znaczenie, bo kocham pisać. Są nawet tacy, którzy nazywają mnie mistrzynią słów! Zostawiłam więc. Potem chciałam jeszcze trochę zredagować, żeby uniknąć wielokrotnego powtórzenia czasownika „być”, bo pewnych rzeczy autorce już trzeciej książki nie wypada, ale nie znalazłam ani sił, ani czasu. Przecież to nie idzie do druku. Następnie przystąpiłam do realizacji mojego planu.

Przypomniałam sobie lądowanie na plaży, kiedy maszyna kołuje wśród niebieskich fal, a gorące powietrze bucha prosto w twarz zaraz po wyjściu z kołnierza. Teraz jadę wynajętym autem z lotniska w Nicei. Droga zajmuje mi dwie godziny. Nie spieszę się. Jadę powoli, aż w końcu docieram do celu. Zatrzymuję się zaraz za pierwszą bramą, a właściwie za miejscem, w którym wcześniej była. Pozostały po niej dwa kamienne murki po bokach szerokiej ścieżki. Ani śladu po żeliwnej furtce. Silnik gaśnie i cichnie. Nie puszczam kierownicy i przez chwilę gapię się przed siebie. Odpalam papierosa. Wsiadam, dalej idę pieszo. Zaraz za

zakretem widzę dwa znajome domy: mój i jego. Tak, dom jest teraz mój, już od lat, ale nie miałam wcześniej odwagi tu przyjechać.

Wróciłam do Gourdon, malowniczo zawieszony na skale Lazurowego Wybrzeża, dokąd w dzieciństwie przyjeżdżałam co roku. Do dużego domu z kamienia, którego nierówne ściany zawsze pozostają zimne, nawet w lecie, kiedy panują upały. Tak naprawdę chata nie znajduje się w samym miasteczku, ale niecałe dwa kilometry od niego. Na posesję jedzie się krętą nieutwardzoną drogą, prosto w rzadki las świerków i cykające w nim głośno bataliony świerszczy. Kiedyś dom wydawał mi się ogromny. Teraz jest po prostu normalny, a w środku nawet mały. Jakby się skurczył. Dachówki, których czerwień już dawno wyblakła od słońca, w cudowny sposób nadal trzymają upał na zewnątrz. Wnętrze wita przyjemnym chłodem. Zawsze lubiłam to miejsce, ale teraz, po latach, wydało mi się przez chwilę obce. Biorę głęboki oddech i popycham skrzypiące drzwi mojego dawnego pokoju. Promienie słońca przebijają się przez szpary w drewnianych okiennicach, tworząc migotliwą grę światła. Dokładnie tak, jak wtedy, podczas magicznych trzech godzin. Staję w progu i patrzę na ścianę.

Jedyną rzeczą, jaką zabrałam z domu Malwiny po jej śmierci, jest obraz o świątecznej tematyce, namalowany niewprawną ręką kogoś z rodziny Claude'a. Widać na nim przebraną za śnieżynkę młodą damę zawieszającą girlandę na bożonarodzeniowej choince. Paradoks polega na tym, że z ciemnych kolorów na płótnie bije jasne światło. Nie znam się na malarstwie, ale ten efekt robi na mnie wielkie wrażenie. Proporcje są zachwiane, a szczegóły malarz potraktował niedbale. Jednak gdy patrzę na tę scenkę, widzę szczęśliwie spędzone w tym domu wieczory. Podobno nikt nie lubił tego obrazu, dlatego trafił do piwnicy. Kiedy go znalazłam, zapytałam, czy może zawisnąć w moim pokoju. Ciotka Malwina zgodziła się i tak to wątpliwe dzieło sztuki przez lata miałam przed oczami. Teraz pozostało po nim wyblakłe miejsce na tapecie. Bezmyślnie zostawiłam płótno w Nowym Jorku. Wielka szkoda.

Klucz ciąży mi w kieszeni. Wyjmuję go, żeby w końcu nie przepadł. Najpierw łąduje na stole, potem na lodówce, ale tak natrętnie rzuca się tam w oczy, że mam ochotę schować go z powrotem do kieszeni spodni. Kluczyk jak z bajki: w górnej części zaokrąglony, jest smukły i elegancko zakończony u dołu. Wygląda, jakby strzegł jakiejś baśniowej tajemnicy albo odkrywał przez lata zatajaną prawdę. Dostałam go od Marnixa w dniu naszych siódmych urodzin. Nie powiedział, skąd ma ten klucz ani do czego służy. Potem twierdził, że znalazł. Ale okazało się, że zwinął go mojej ciotce. Otwiera skrzynię stojącą w piwnicy, gdzie Malwina trzymała pamiątki z Polski. Na szczęście miała zapasowy.

Dziś po przyjeździe od razu idę na dół i wkładam klucz do zamka, do

którego pasuje, ale w ostatniej chwili cofam rękę. Zamkniętą skrzynię taszcę na górę i stawiam w centralnym miejscu salonu. Wpatruję się w nią. Nie mam odwagi jej otworzyć, więc moje patrzenie pewnie trochę się przedłuży.

Samotne spanie w domu w lesie, który zawsze był pełen ludzi, też okazuje się wyzwaniem. Słuch mi się wyostrzył. Słyszę tupanie mrówek i pajaków. Rozbudzona wyobraźnia nie pozwala mi zasnąć. Każę warować z -szeroko otwartymi oczami. Czuwam więc. Nie śpię wcale.

2

Ciotka Malwina, poprzednia właścicielka domu i siostra mojego ojca, wyjechała do Francji kilka dni przed stanem wojennym i już nie wróciła do Polski. Wyszła za mąż za Francuza, Claude'a, z którym całe życie pracowała w polu, zrywając płatki wonnych kwiatów. Jakkolwiek by to romantycznie brzmiało, praca ta nie należała do lekkich. W ich życiu nie brakowało jednak niczego oprócz dzieci, które razem z rodzeństwem w pewnym stopniu im zastępowałam.

Wcześniej, w przedpokoju tego domu, w starej szafie z ciemnego drewna Claude i Malwina przechowywali pomidory. Dwie szerokie szuflady, starannie wyściełane gazetami, wysuwano z namaszczeniem. Tam pękate bulwy z ogrodu nabierały kolorów. Różowiały powoli w chłodzie i spokoju, wypełniając świeżym zapachem całe wejście. Najpierw czarowały dojrzwaniem, potem zachwycaly słodyczą. Dziś przedpokój cuchnie pleśnią i starością, a w szufladach fruwią skrawki starych gazet. I nic nikogo nie zachwyca.

Na doprowadzenie domu do stanu używalności mam trzy tygodnie. Ale od przyjazdu snuję się bez celu i nie potrafię zrobić nic pożytecznego. Na pewno niczego tu nie zmienię. Chcę trochę posprzątać, poukładać. Na razie chodzę i oglądam. Macam kryształowe okrągłe klamki pomalowanych na biało drzwi, które od początku kojarzą mi się z zamkowym wnętrzem. Często natykam się na zapomniane przedmioty, które niespodziewanie wywołują zdziwienie jak niebieska, robiona na szydełku chusta. Znalazłam ją pod łóżkiem w sypialni ciotki i wujka. Przyłożyłam do twarzy, żeby sprawdzić, czy pozostał na niej zapach Malwiny, jednak tylko woń -kurzu zaświdrowała mi w nosie. Inne rzeczy wydają mi się zupełnie obce i zastanawiam się, czy aby na pewno -należały do -kogoś z rodziny. Do pokoju Roberta nie wchodzę wcale.

\*

Czasami budzę się w środku nocy i chce mi się płakać z samotności.

Odpowiedź Marnixa na wiadomość wysłaną po dziewięciu latach niekontaktowania się brzmiała tak:

*Nawet nie wiem, od czego zacząć.*

*Pomijając pytania, co u Ciebie i skąd masz mój adres e-mailowy, napiszę wprost:*

*o co chodzi?*

Rozpoczęliśmy zatem mailowe negocjacje, które miały na celu sprowadzenie go do Gourdon na aż trzy dni. Te ostatnie trzy dni, które nam zostały. Wiedziałam, że nie będzie łatwo. Marnix ma rodzinę: żonę i dwójkę małych dzieci. Ma też poważną pracę, albo taką, która wygląda na poważną. W dodatku całe to jego cudowne życie toczy się teraz w Amsterdamie. Jakim argumentem miałabym go niby przekonać, żeby z dnia na dzień rzucił wszystko i przyleciał do Francji? Nie licząc cyrku na pogrzebie Malwiny, ostatni raz widzieliśmy się dziewięć lat temu i nie rozstaliśmy się w najmiłszych okolicznościach. Nie utrzymywaliśmy kontaktu. Nigdy nie odpowiedział na żaden z moich dwustu czternastu listów. Szanse były więc niewielkie, żeby nie powiedzieć znikome. I choć „zerowe” wydaje się tu najodpowiedniejszym słowem, podjęłam tę próbę. Odważyłam się, nie myśląc o tym, co będzie dalej. Po prostu nie mam ochoty pluć sobie w twarz, że tego nie zrobiłam czy przynajmniej nie próbowałam. Argument sam się niespodziewanie pojawił. Nieoczekiwany. Nieproszony. Nie wiadomo skąd, ale kolosalny. TEN argument. Nic innego tak nie motywuje, jak TO. Zaczęłam więc działać. Natychmiast. Bo czasu coraz mniej. Bo na każde „witaj” przypada -jedno „żegnaj”. Teraz wreszcie szykuję się na jego przyjazd.

*Są chwile, gdy wolałabym martwym widzieć Cię.*

*Nie musiałabym się Tobą dzielić, nie, nie!*

Przez początkowe lata mojego życia nic specjalnego się nie działo. Nie pamiętam pierwszego dnia przedszkola. Nie pamiętam białych podkolanówek ze zdjęcia ani pierwszych kłótni z moimi braćmi, a domyślam się, że kłóciliśmy się sporo. W ogóle mało pamiętam z wczesnego dzieciństwa, bo staram się nie spoglądać wstecz. W pamięci utkwiły mi jakieś drobiazgi. Na przykład kolor taksówki, którą mama wróciła z porodówki na Jaworzyńskiej z najmłodszym bratem, Krzysiem, zwanym Chudym. Ja i Robert mieliśmy wtedy cztery lata, a Jan był ośmiolatkiem. W trójkę staliśmy w oknie i czekaliśmy na nich, patrząc na padający za szybą śnieg. Podjechali pod dom żółtym samochodem właśnie wtedy, kiedy jeszcze przez ostatnie cztery minuty miałam nadzieję, że wracają z siostrą. Od tego momentu kolor żółty kojarzy mi się z wielkim rozczarowaniem. I aż dziw bierze, że te duże koperty z wynikami badań ze szpitala nie są żółte. Pamiętam też, jak pierwszy raz jadłam śmietankowe lody z budki koło parku. Inne zdarzenia, oficjalnie ważne, raczej rzadko zostawały w mojej pamięci. Jednak bez problemu przypominam sobie dzień, w którym poznałam Marnixa.

Pierwsze wakacje w Gourdon spędziłam w 1985 roku. Ach, co to była za wyprawa! Wyjazd za granicę nappełnił nas radosnym oczekiwaniem. Ale najpierw było kombinowanie, żeby załatwić paszporty w komunistycznym kraju. Następnie

trochę nadludzkich umiejętności, by zmieścić nas wszystkich do szpanerskiego poloneza caro. Na początku udawało się to raz w roku, potem częściej. Gdy wyjeżdżałam jako sześciolatka, nie wiedziałam, co mnie czeka. Spodziewałam się chyba wszystkiego, ale to, co zobaczyłam na miejscu, przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Francuzi mieli gumy balonowe, lalki Barbie i spódnice na tiulach. Oficjalnie, normalnie w sklepach. I jeszcze do tego palmy rosnące wzdłuż szerokich, oblanych słońcem bulwarów. Nie chciałam stamtąd wyjeżdżać.

Szóstego lipca 1985 roku w ogrodzie Malwiny pojawił się czekoladowy placek z bitą śmietaną, malinami i świeczkami urodzinowymi. Byliśmy ubrani na biało i mój ojciec utrwalił tę chwilę, robiąc nam pamiątkowe zdjęcie. Na pierwszym planie stolik z tortem, tuż za nim Robert i ja. Drugi plan to moja mama z Chudym na rękach, ciocia Malwina z mężem, obok roześmiany Janek. Dalej widać zerkającą w naszym kierunku parę. Pierwszy raz na zdjęciu urodzinowym nikt nie patrzy na tort. Moja twarz, na fotografii z profilu, jest -poważna. Nieruchome, otwarte usta potwierdzają zdziwienie, jakie maluje się w moich oczach. Patrzę na niego. Robert też. On stoi o krok dalej i z osłupieniem wpatruje się w nas. Niepokój i napięcie emanują z naszych dziecięcych twarzy. Patrycja, Robert i Marnix. Tak się poznaliśmy. Rodzice postanowili wyprawić nam wspólne urodziny, oczywiście nie pytając nas o zdanie. Nie dość, że na co dzień wiodłam nader konfliktowe życie z trzema braćmi i dzieliłam urodziny z bliźniakiem, to jeszcze teraz dochodził wakacyjny sąsiad. Tego dnia nastąpił więc swego rodzaju koniec świata, co doskonale zostało utrwalone na tej, bardzo dla mnie teraz cennej, fotografii.

3

Pan Mitrieti, który przechowywał dla mnie drugi klucz i zaglądał tu od czasu do czasu przez ostatnie lata, uprzedził mnie, że od sześciu miesięcy dom Marnixa ma nowego właściciela. Trudno mi to sobie wyobrazić. Ze zdziwienia o nic nie zapytałam i on też, chyba z przejęcia, nic więcej nie powiedział. Wiem, że Marnix mieszka w Amsterdamie, a w jego domu żyje teraz ktoś inny, jednak jadąc tu, to jego właśnie spodziewałam się zobaczyć siedzącego na schodach przy wejściu. Głupia ja.

W domu ciotki nadal natykam się na różne rzeczy. Myślałam, że większość z nich zabrano. No ale niby kto i kiedy? Okazuje się, że jest ich tutaj ciągle pełno. Nie cierpię znajdować zapomnianych przedmiotów. Nie lubię niechcianych wspomnień i zastanawiania się, co by było gdyby. Zdjęcie utrwalające mój pierwszy koniec świata, na którym widać, że wszyscy oprócz trójki zatrwożonych solenizantów doskonale się bawią, i które wisiało długo na ścianie w kuchni w Gourdon, stanowi wyjątek. Kiedy przyjeżdżaliśmy tu co roku, pierwsze kroki zawsze niosły mnie w jego kierunku. Sprawdzałam, czy tu jest. Po naszym

rozstaniu zostało zachowane, najprawdopodobniej przez ciotkę, w jednym z wielu albumów i przeleżało tam dłuższy czas. Wpadło mi w ręce sześć lat temu, po jej śmierci, kiedy w końcu znaleźliśmy z braćmi odwagę na dzielenie się rzeczami pozostałymi po niej i wujku. Schowałam je wtedy do innego kartonu i tak przeleżało w piwnicy aż do maja tego roku, czyli do momentu, kiedy duża biała koperta wpadła mi w ręce. Teraz nie wiem, co z nim zrobić, więc wraca tam, gdzie zawsze wisiało: na kuchenną ścianę.

Całe życie jesteśmy sami i robimy wszystko, żeby to zmienić. Ciągle szukamy kogoś do pary. Nigdy nie chciałam być sama. Może dlatego, że przez większą część życia byłam właśnie z nim. Marnix, wiele z nim przeszłam. Czasami biegłam, potykając się. Pełzłam też, czołgałam się i niekiedy cofałam nawet. Różnie bywało, ale starałam się dotrzymać mu kroku. Był moim pierwszym kompanem do zabawy. Wolałam jego niż braci. Był pierwszym przyjacielem, pierwszym wrogiem, chłopakiem, partnerem w zbrodni, kochankiem i wszystkim innym też. Pierwsze pamiętne wspólne lato minęło nam na oswojaniu się. W sumie nie powinnam pisać „pierwsze pamiętne wspólne lato”, bo dziś wiem, że każde lato było z nim pamiętne i że oswojanie się zajęło nam więcej niż rok. Tak więc cofam te słowa.

Rodzina Marnixa Lanteri mieszkała w Gourdon od dawna. Ich dom, mniejszy, mieścił się obok domu ciotki od strony miasteczka i dzielił z nim podwórko i drogę dojazdową. Ojciec Francuz, matka Holenderka. Stąd niderlandzkie imię: Marnix. Mieli go późno, po czterdziestce. Stanowił dla nich wyczekany, wymodlony i tak bardzo upragniony prezent. Był cudem. Jego dziadkowie zajmowali się destylacją lawendy. Rodzice otworzyli fabrykę olejków eterycznych z roślin uprawianych wokół Gourdon, na terenach należących od pokoleń do rodziny ojca. My staraliśmy się tu przyjeżdżać dwa razy w roku, co było nie lada wyczynem jak na tamte czasy. Ciotka Malwina przyjaźniła się z jego rodzicami. Nas było czworo, on był jeden. U nich się nie przelewało, u Malwiny starczało na wszystko. U nas wrzaski, u nich cisza. Lubiłam ich dom, on wolał nasz. Szybko się dogadywaliśmy, choć na początku bywało ciężko, a jedynym wspólnym językiem była piłka. Później doszła zabawa w chowanego. Potem trzeba było już rozmawiać.

Marnix miał ciekawy głos. Taki, którego chce się słuchać.

Jednak żadne z nas nie znało języka drugiego. Siedmio-letni Lanteri mówił po francusku i po holendersku, ja mówiłam po polsku. Wychodziły z tego rozmaite rzeczy. Ogólnie rzecz biorąc, polubiliśmy się bardzo i szybko, bo to był jedyny chłopak na świecie, który mnie wysłuchiwał do końca i wykonywał nawet moje rozkazy. Często monologowałam, a on z rzadka wydawał z siebie dźwięki. Zawsze

gdy stawałam się uciążliwa. Słyszałam wtedy wiązaną melodyjnych słów z dużą ilością chrypiącego „r”. Krótkie zdania. A może długie słowa? Nie wiem. Nie rozumiałam. W dodatku mówił dosyć cicho jak na chłopca. Ja musiałam zawsze przekrzykiwać rodzeństwo, więc się darłam. Nawet jak mnie wydobywali z brzucha matki, tak się wydzierałam, że ojciec słyszał mnie pod szpitalem. Robertowi trzeba było dać podobno klapsa, żeby zabuczał. Marnix pewnie od razu -śpiewał, ale nikt nie jest w stanie sobie tego przypomnieć.

Francuz kiwał przecząco głową, kiedy czegoś nie chciał. Albo gdy chciał się ode mnie uwolnić i uciec do domu. Mimo że ciągle za mną chodził, kiwał często. Potem mieszałyśmy polski i francuski. Pierwsze słowa, jakie zrozumiałam i jakich się nauczyłam od niego, to *je ne peux pas*, czyli „nie mogę”. „Nie mogę” nie dotyczyło niczego ze świata zabaw. „Nie mogę” było wypowiedziane w porach jedzenia. Rzadko coś z nami jadł i nawet wtedy na jego talerzu lądowały tylko niektóre potrawy ze wspólnego posiłku. Nie jadł nawet naszego tortu urodzinowego. Nie mogę czekoladowego ciasta. Nie mogę bitej śmietany. Nie mogę tego. Nie mogę tamtego. Dziwactwo. Zastanawiałam się wtedy, czy jest z nim coś nie tak, czy się odchudza, czy po prostu się zgrywa, chwając nadludzką siłą woli, bo nie mógł nawet największych przysmaków świata. Rodzice chuchali na niego, jakby był z chińskiej porcelany. Po tym jak obserwując mnie, gdy wcinam tort, w bardzo powolnym tempie zjadł kilka malin, stwierdziłam, że jest moim bohaterem. Ja bym tak nie potrafiła. Później były też pierwsze holenderskie słowa: *jij bent leuk*, których znaczenia domyślałam się przez długie lata. Chciałam, żeby to oznaczało, że mu się podobam. Nie sprawdziłam ich w słowniku. Dziś już nie muszę. Doskonale rozumiem ich sens i wymiar.

Gourdon: nigdy nie lubiłam stąd wyjeżdżać. Od początku źle znosiłam powroty do Polski. A potem był Czarnobyl2 i oboje z Robertem zastanawialiśmy się, czy jemu w szkole też dali do picia to gorzkie lekarstwo. Już wtedy się o niego zamartwialiśmy.

Ale teraz dziwnie wracać tu po tak długim czasie. I nie wiem, czy jestem na to wszystko gotowa. Choć na coś takiego pewnie w ogóle nie można się przygotować. Na TO też nie. Próbuje zaplanować każdy szczegół. Do perfekcji. Nie chcę być zaskoczona. Muszę mieć wszystko pod kontrolą. Trzy tygodnie. Niby dużo czasu, ale w całym tym szaleństwie nie wiem, kiedy dwa dni już mi umknęły. Muszę się ogarnąć. Miałam żyć wiecznie, a się kończę. Po trzydziestu ośmiu latach, bez sensu i zapowiedzi. Zupełnie bez znaczenia. Leżę i wymyślam niekończącą się listę rzeczy, których nie zdążyłam zrobić. Chyba nie ma bardziej przygnębiającego zajęcia.

\*

Dom Marnixa nie wygląda na zamieszkały. Od przyjazdu nie widziałam nikogo ani w środku, ani na zewnątrz. Światła są pogaszone. W pierwszy dzień zapukałam do tych samych drzwi, które otwierałam tysiące razy bez pukania i które czasami zamykały się z hukiem przed moim nosem. Nikt mi nie otworzył. Nacisnęłam klamkę, ale zaparła się i nie odpuściła. Ganek i taras wyglądają jednak na zadbane. Igły świerków są zmiecione, a żarówka nad wejściem wydaje się nowa. Ogród z tyłu jest teraz otoczony siatką, przez co nie da się obejść domu dookoła. Nie mogę więc tam wejść i z najbardziej wysuniętego punktu oglądać pierwszych pól kwiatowych Claude'a. Ode mnie ich nie widać. Nie lubiłam porannego zrywania kwiatów. A po południu było bardzo gorąco. Malwina nie pozwalała nam wychodzić wtedy na dwór i musieliśmy czekać do wieczora. Jednak Marnix zakradał się do mojego pokoju i wymykaliśmy się razem do naszej kryjówki, Perfumowanego Źródła<sup>3</sup>: pola lawendy w środku lasu. W dzień skwarzyło tam jak na patelni.

Gourdon, mimo swego atrakcyjnego położenia i zamku, nigdy nie należało do miasteczek luksusowych. Ludzie żyją tu zwyczajnie, głównie z uprawy kwiatów i przyjmowania turystów. Wytwarzają esencje do perfum, mydła, kremy i oliwę z oliwek. Mój najstarszy brat twierdził, że to nudne życie. W domu wakacyjnym nie mieliśmy wielu zabawek. Najczęściej bawiliśmy się na dworze. Marnix nudził się tuż obok, więc spędzaliśmy razem całe dni. W 1988 roku na nasze wspólne urodziny wujek kupił nam wszystkim rowery. Rozpoczęła się nowa era: czas świętej trójcy.

4

Perfumowane Źródło. Jestem tu teraz codziennie. Słońce, kwiaty, pszczoły i motyle. Gdyby nie ta cała sytuacja, gdyby nie TO, mogłabym napisać, że przychodzę tu po wenę, bo to przepiękne miejsce. Ale przecież nie po to tu przychodzę. Przyciąga mnie, więc jestem. Siadam na ziemi wśród krzewów lawendy. Wącham. Myślę. Wspominam. Podziwiam widoki. Zastanawiam się. Ostatnio nawet zasnęłam.

Codziennie jeżdżę też po okolicy. Wypuszczam się coraz dalej krętymi drogami w górę i w dół. W stronę wybrzeża albo Gréolières des Neiges, gdzie jedyny raz w życiu jeździłam z Marnixem na nartach biegówkach. Gdzie się spociliśmy i w słońcu piliśmy zimne piwo na śniegu. Przejeżdżam koło wodospadu Cascade des Courmes, gdzie wepchnęłam go zimą w ubraniu do lodowatej wody, tej samej, w której moczyliśmy się latem dla ochłody. Spoglądam w górę na Plateau de Cavillore. Płaskowyż królujący nad Gourdon, na który sto lat temu matki i córki wspinały się po zebraniu kwiatów i z którego spuszczały w koszach na linie ich świeże płatki dziesięć kilometrów w dół, do Grasse. Gdzie słońce odbierało im rozum i skąd zgrzane, płacząc nogi w brudnych falbanach sukni i



śmiejąc się na całe gardło, zbiegały wieczorem po kamieniach, do wioski. Do biegających po ulicach kur i owiec. Do czekających na nie ojców, mężów i synów. Ja nie biegam ani po łąkach, ani po górach i nikt na mnie tu nie czeka.

Przez wyższe położenie terenu w Gourdon kwiaty zawsze rozkwitają trzy tygodnie później niż na oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów wybrzeżu. Dzięki intensywnej nasłonecznieniu niektóre drzewa kwitną dwa razy w roku. Ale pełen kolorów region się zmienił. Jest mniej upraw niż kiedyś. Mimo to udaje mi się dostrzec pola mimozy, lawendy, róży, jaśminu i tuberozy. Wokół Grasse i Gourdon utrzymuje się już niewiele perfumeryjnych kwiaciarzy. Wyjątek stanowi ten największy. Jego jaśmin i róża majowa do Piątki<sup>4</sup> wciąż wygrywają konkurencję kwiatową z Indiami. Tylko ta ziemia i słońce potrafią stworzyć tak niepowtarzalną woń. Pamiętam jedyne w moim życiu majowe zbieranie róży o świcie. Wśród chłodu szarofioletowego poranka ciepły oddech Marnixa na moim policzku i płatki kwiatów, którymi obsypywał mnie pełnymi garściami, wplatał i wcierał we włosy. Wspomnień niestety mam sporo.

Nie mam za to światła na tarasie. Wczoraj wieczorem siedziałam przy świeczce, ale nie starczyło jej już na dziś. Poszłam więc do mojego nieobecnego sąsiada. Zapukałam dla pewności, ale odpowiedziała mi głucha cisza. Wykręciłam jego nową żarówkę z lampy na ganku i wkręciłam do mojej starej nad drzwiami na tarasie. Teraz jej światło rozświetla część ogrodu. Czuję się mniej samotna, choć dalej tęsknię za gwarem, który wcześniej wypełniał ten dom. Żarówkę odkupię jutro w mieście.

Kto pamięta dzieciństwo w Polsce w latach osiemdziesiątych? Ja. Byłam szczęśliwa. Wychowywałam się z trójką braci i chwilami zachowywałam się jak chłopak, żeby to przetrwać i wyjść z dzieciństwa cało. Nikt nie traktował mnie jak księżniczki i musiałam sobie radzić. To mnie zahartowało. Nawet Chudy wydawał się większym chuchrem ode mnie, ale on w dodatku przewisko miał słabe. Z jego wątłą sylwetką i brakiem jakiegokolwiek odwagi nie mógł jednak liczyć na więcej. „Chudy” i tak stanowiło dla niego najlepszą z ksyw. Z Robertem byłam najbliżej, bo to moja chłopięca wersja – dosłownie i w przenośni. I nigdy nie myślałam, że coś lub ktoś nas poróżni. Robert był połową mnie i wiedział, co myślę. Wiedział to bez wysiłku. Tak po prostu.

Kiedy mieliśmy po osiem lat, kazał mi się rozebrać i pokazać mu dokładnie, co mam między nogami. Wykonałam rozkaz bez szemrania, bo obiecał mi, że zrobi to samo. Wyglądał na zdziwionego, ale nie przyglądał się długo. Jednak kiedy przyszła jego kolej, sytuacja się skomplikowała. Zanim rozpiął rozporek, zaczął mi tłumaczyć, że penis może zmieniać wielkość: pęcznieć, rosnąć, chować się i kurczyć, to znów wynurzać się niczym potwór z Loch Ness. Wystraszyłam się

i odechciało mi się tego oglądania. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby robić takie rzeczy z którymś z moich pozostałych braci. No, ale Robert to Robert. W końcu bliźniak. Jak to o nas mówił: znamy się już z jąder ojca. Kiedy coś wspólnie zbroiliśmy, karę też ponosiliśmy razem. Nie miałam taryfy ulgowej.

Robert miał głupi zwyczaj robienia mi wątpliwych niespodzianek. Jego ulubionym żartem było zakradanie się do mojego pokoju, by poprzestawiać w nim sprzęty i pochować najcenniejsze przedmioty. Nieraz wracałam do sypialni, gdzie biurko stało na środku, a szafa drzwiami do ściany. Nawet nie wiem, jak to robił, jak sam dawał radę? Krzesło najczęściej leżało na ziemi, a na półkach biblioteczki zamiast książek były buty. Bardzo śmieszne. Szło mu szybko. Nie mnie. Szukanie pamiętnika czy ulubionej kasyty zajmowało czasami pół dnia, aż w końcu pokazywał mi, gdzie je schował, gdy groziłam, że powiem tacie o jego wybrykach. Bawił się przy tym doskonale. Ja mniej. Z biegiem lat opanowałam jednak jego technikę schowków i znalezienie wszystkiego zabierało mi zaledwie kilka minut. Zgrywus musiał trochę pogłórkować, żeby mnie przechytryć, ale i tak mu się udawało. Często robił mi na złość, choć przecież nie zmuszałam go do słuchania Roxette. Chudy ze mną słuchał. On był gotowy na wszystko, żeby się komukolwiek przypodobać.

Pewnego razu nie widziałam Roberta przez trzy dni, bo leżał chory w szpitalu w Grasse: w tym mieście, do którego jeżdżę czasem na zakupy. Bardzo za nim tęskniłam i chciałam, żeby wrócili z mamą do domu. Nie pamiętam, na co był chory. Pewnie nic groźnego, bo już nigdy się nie powtórzyło. Pierwsza rozłąka z bliźniakiem. Pierwsze uczucie pustki w moim życiu, jakby czegoś brakowało. Teraz tęsknię za obojgiem, za mamą i za nim. Wreszcie wchodzę do jego pokoju, gdzie jest jedyne okno w domu, z którego w bezchmurny dzień można dostrzec morze. Siadam w fotelu. Staram się nie oglądać ścian wytapetowanych plakatami Depeche Mode ani pustych mebli znikających pod tonami kurzu. Jednak po chwili na wszystko spoglądam. Tak bardzo go tu nie ma...

U Malwiny, w przeciwieństwie do naszego polskiego mieszkania, każde z nas miało swój pokój. Oprócz Chudego, który i tak spał wyłącznie z mamą. Posiadanie własnego pokoju kojarzy mi się z wolnością absolutną, dlatego ten dom zawsze jest i był dla mnie symbolem swobody i niezależności. Mimo wszystko. Teraz nie czuję się wolna, bo TO trzyma mnie w swoich szponach. Choć gdy przebywam w tym pomieszczeniu, na chwilę zapominam o dławiającym mnie uścisku. Kiedyś pokój Roberta był ringiem. Areną, na środku której zawodnicy regularnie ćwiczyli swe umiejętności. Gdzie doskonalili się dzień po dniu w najróżniejszych stylach walki. Zapasy, karate i kung-fu. Dominował jednak styl wolny, czyli taki, w którym wszystkie chwytły były dozwolone. Szamotali się pośrodku i po kątach. Znali ustawienie sprzętów i mebli na tyle dobrze, by szarpać się nawet z zamkniętymi oczami. Nigdy z tego nie wyrosli... Teraz nikt tu nie

walczy. Ja też nie, bo nie mam siły, bo nie potrafię. Bo nie widzę przeciwnika. Co nie znaczy, że go nie ma.

Notuję coś w zeszycie i nagle ten cały stereotyp pisarza składającego słowa w zdania, patrzącego na morze, staje się prawdziwy. Uzmysławiam sobie, że tego chciałam i że jest mi tu dobrze. Dlaczego więc dopiero teraz na to się odważyłam? Dlaczego nie przyjechałam tu wcześniej? Dlaczego musiało stać się TO, żebym w końcu znalazła się w Gourdon? Najwidoczniej każda rzecz w życiu ma swój czas. Wszechświat zaprogramował mnie właśnie tu i teraz. Szkoda, że tak późno.

5

Dzisiaj pojechałam do Châteauneuf na rynek. Z jednej strony placu targowego są nowe budynki. Reszta pozostała niezmieniona. Restauracja, bistro, apteka, warzywniak i rzeźnik. Dalej, w kierunku Grasse, jest piekarnia, bar, a po drugiej stronie ta mała księgarnia, w której często kupowałam książki formatu *poche*<sup>5</sup>. Weszłam do środka, ale moich nie mieli. Normalne, kto chciałby tu kupować powieści po polsku. Spacerowałam, zaglądając w znane mi miejsca, rozmawiając z napotkanymi ludźmi. Chodniki są tu tak wąskie, że nie ma jak się wyminąć. Najczęściej to ja ustępuję miejsca innym.

Trochę chyba zatraciłam płynność mówienia w języku, który z biegiem lat stał się moim. Teraz czasami brakuje mi słów, choć twierdzę, że jestem dwujęzyczna. Raczej byłam. Na targu kupiłam dwa rodzaje oliwek, ser kozi, warzywa i duży bochenek chleba, jakby było nas co najmniej dwie. Zrobiło mi się słabo i musiałam usiąść na gorącym chodniku. Ktoś podał mi szklankę zimnej wody. Spociłam się jak szczur i zupełnie opadłam z sił. Resztę popołudnia spędziłam w barze na rogu. Z ludźmi, którzy tak jak ja, w pocie czoła, tym dosłownym i przenośnym, od rana oczekują najważniejszego momentu dnia: *l'apéro*<sup>6</sup>, czyli powszechnego przyzwolenia na picie. Nalewka, piwo, pastis, wino, szampan. Kto co lubi albo może. Dziewiętnasta trzydzieści to najfajniejsza godzina. Ulubienica Francji. Stać mnie jeszcze na Pastis Ricard, więc na dobry początek wybrałam ukochaną anyżówkę. Potem zjadłam kanapkę z szynką i małymi korniszonami, wypiłam pół butelki białego wina i na przekór wszystkiemu postanowiłam wrócić do domu pieszo. To była zła decyzja. Przejście dziewięciu kilometrów, które kiedyś pokonywaliśmy w dwie godziny, zajęło mi teraz cztery. Zapomniałam o żarówce, a wypożyczone auto zostawiłam w mieście.

Na polanie przy wjeździe do miasteczka musiałam zrobić dłuższą przerwę. Dokładnie w miejscu, gdzie prawie trzydzieści lat temu pojawił się chłopak o imieniu Yannik. Gdzie, z dwoma innymi kolegami, szedł dumnie w naszym kierunku z zadartą głową, niosąc nowiutką, lśniąca jeszcze piłkę do nogi. Yannik Legrand, w wieku Janka, był jednym z tych popularnych dzieci w miasteczku. Takim, za którymi inne łązą i których polecenia wykonuje się bez gadania, na co

sobie wątpliwie zasłużył tym, że jego ojciec był miejscowym policjantem. Marnix, Jan i Robert poderwali się i patrzyli na nadchodzących. Nie wiem, czy bardziej lustrowali nową piłkę, czy jej właściciela, jednak ich zaaferowanie nie ulegało wątpliwości. Podniosłam się, a Chudy -niepewnie zrobił to samo. Niczym leśny zwierz, poruszając przy tym czubkiem nosa, Yannik wybadał sytuację i przerzucając piłkę w rękach, rzucił niby od niechcenia:

– Gracie?

– Jasne! – odpowiedzieli jednocześnie.

Naiwnie uśmiechnęłam się na myśl o wspólnej grze. Uwielbiałam grać w piłkę nożną z chłopcami i żaden ich mecz nigdy mnie nie ominął. Na widok nowej piłki Chudy z przejęciem też się uśmiechnął.

– Ty, ty i ty. A reszta do domu. – Padło pewnie z ust decydującego, kiedy jego palec wskazujący wyznaczał trzech chłopców stojących obok mnie.

– Pati, czemu ja nie gram? – zapytał Krzysio, uwieszając się na mojej ręce i szykując się do płaczu.

Prosząco spojrzałam na Janka. Ten powiedział opanowanym tonem:

– Patrycja jest dobra w nogę, może być z wami, a Chudy będzie w naszej drużynie. Wtedy będzie równo: czterech na czterech.

Słowa mojego brata rozśmieszyły Yannika, a za nim zarzeli jego koleś. Po chwili rehotu dryblas rzucił już całkiem poważnie, patrząc Jankowi w oczy:

– Nie będę grał w nogę z dziewczyną!

Salwy samczego śmiechu znów zahuczały na boisku.

– Albo gramy wszyscy, albo wcale.

– Ewentualnie ten mały może, ale ona nie.

Z rezygnacją puściłam rękę Chudego i już miałam usiąść na trawie, kiedy usłyszałam Marnixa:

– Albo gramy wszyscy, albo zabieraj swoją nową piłkę i wracaj z nią do domu.

Nastąpiła cisza i wszyscy spojrzeli na mojego ulubionego sąsiada, który oparł ręce na kościstych biodrach i zrobił znudzoną minę. Czekałam na werdykt.

– Nigdy nie zagram w nogę z dziewczyną! A tym bardziej z pedałem – odparł chłopak i splunął za siebie.

Jego kompanom zrzęda mina, ale żaden nie ośmielił się zabrać głosu. Jan pierwszy odwrócił się i wzięwszy Chudego na barana, ruszył w kierunku domu. Ode-szli-śmy bez słowa i wróciliśmy do siebie. Marnix i Robert wymienili niezadowolone spojrzenia. Nie wiedziałam wtedy, co oznacza słowo „pedał”, ale sądząc po minie tych, którzy najlepiej z nas mówili po francusku, musiało to być coś bardzo obraźliwego. Po tym zdarzeniu uznałam, że jeszcze bardziej lubię Marnixa, nawet jeżeli miałby być „pedałem”.

\*

Denerwuje mnie, że dom obok należy do kogoś obcego. Chciałabym tam wejść. Zobaczyć, jak teraz wygląda pokój Francuza. Sprawdzić, czy coś tam po nim zostało. Kto sprzedał dom? Pan Mitrieti poinformował mnie o śmierci ojca Marnixa i wyjeździe matki. Pewnie wróciła w swoje strony, do Holandii. Może mieszkają teraz z synem i jego rodziną w Amsterdamie? Dowiem się wszystkiego za kilka dni. Zapytam o to, jak tu -przyjedzie.

Myślałam, że pójdzie mi łatwiej. Tymczasem po uporządkowaniu pierwszej kuchennej szafki okazuje się, że nie mam na to siły. No, ale skąd miałabym ją niby mieć? Może powinnam zacząć brać leki, które przepisał mi lekarz? Boli mnie głowa, boli mnie kręgosłup. Chwilami boli mnie wszystko. Robię przerwy w tym, co odważnie nazywam sprzątaniami, i siadam na tarasie w jedynym miejscu, w którym zawsze jest cień. Napełniam dużą szklankę lodem i zalewam schłodzonym różowym winem: *rosé piscine*<sup>7</sup>. Smakuje pysznie, ale w ten upał zwała z nóg. Lubię to uczucie, lecz pozwalam sobie na nie tylko dwa razy dziennie. *Je suis raisonnable*<sup>8</sup>. Staram się czytać francuskie gazety. Wszystko jak leci, żeby przypomnieć sobie język, żeby być na bieżąco, ale do tej pory jeszcze żaden artykuł nie zdołał mnie -zainteresować. Nieistotne, nudne bzdury. Nic prawdziwego, nic ważnego. Książek nawet nie ruszam, bo nie mogę się skupić. Leki czy wino? Oto jest pytanie. Na razie wybieram wino.

6

Nie było lepszych momentów mojego dzieciństwa niż te spędzone z Marnixem i Robertem w Gourdon. Go-dzinami biegaliśmy po lesie i ciągle wymyślaliśmy nowe zabawy. Tropiliśmy nieistniejące stwory z bajek, udawaliśmy, że zastawiamy pułapki na zwierzęta. I podglądaliśmy sąsiadów babci Marnixa, którzy opalali się nago na tarasie. Tarzaliśmy się ze śmiechu i kryliśmy nawzajem, kiedy któreś coś zbroiło. Malwina zawsze chowała nas wtedy u siebie i przyrządzała nam jedzenie według diety Marnixa. Tego nie dało się jeść, ale że byliśmy dobrze wychowani... Dość wcześnie zrozumiałam, że Marnix jest uczulony na pszenicę, dokładniej na gluten, ale wtedy nie stosowaliśmy tej nazwy. I jak piszę „uczulony”, to nie mam na myśli kilku krosteczek pojawiających się na policzkach po zjedzeniu czegoś ze zbożem. Mówię raczej o dwudniowej biegunce, gorączce, ostrych wymiotach, bólu brzucha i wysypce na całym ciele. Oprócz tego nie jadł nic, co zawierało krowie mleko. Jadłospis miał więc bardzo ograniczony. To dlatego nigdy nie spróbował ciasta, nie jadł chleba ani większości tego, co my. Było mi go żal, ale on nic sobie z tego nie robił. Przyzwyczał się. Nigdy nie próbował tortu, więc nie mógł wiedzieć, jak bosko smakuje.

Malwina znała nas i jego dietę na pamięć. Kobieta z siateczką drobnych

zmarszczek na twarzy, w której domu było kocio, kochała nas jednakowo mocno. Przymknięte okiennice sprawiały, że panował u niej półmrok, a wytarta terakota na podłodze była ciepła. Ciotka zawsze spełniała nasze zachcianki, tuliła i drapała po plecach. Wieczorem opowiadała nam bajki. Za każdym razem inną, piękniejszą i ciekawszą. Miało to zazwyczaj skutek odwrotny do zamierzonego, bo nie wszystkie jej opowieści kończyły się dobrze, a większość nie pozwalała nam zasnąć. Malwina miała swoje krzesło przed domem, na którym siadała, żeby obierać warzywa do gotowania, owoce do zapraw i popijać czerwone wino. Lubiała dzieci i marnowanie czasu w słońcu. Dziś w domu Malwiny, który nie jest już jej domem, nie ma kotów, a jej krzesło zagadkowo stoi na werandzie nowego sąsiada.

Marnix. Przez większość dnia staram się o nim nie myśleć. Czasami mi wychodzi. Mam już nawet opracowaną taktykę – kiedy pojawia się myśl o nim, od razu ją kasuję. Robię wszystko, żeby nie zdążyć zobaczyć twarzy, bo wtedy trudniej jest go wymazać i lubi powracać wielokrotnie w ciągu tego samego dnia. Najgorzej bywa, kiedy zwrócę uwagę na jakiś szczegół: na przykład na koszulę, którą ma na sobie albo czy ma związane włosy, czy wysuszone wargi. Później widzę Marnixa cały czas i nie mogę wygnać jego wizerunku z mojej głowy. Czasami wyobraźnia płata mi fatalne figle i przez kilka dni i nocy mam go nieprzerwanie przed oczami. Wtedy w realu trzeba czegoś o naprawdę wielkim kalibrze, żeby to przerwać. Problem w tym, że od lat w moim prawdziwym życiu nie dzieje się nic, na co warto by zwrócić uwagę. Poza białą kopertą oczywiście.

Wcześniej zastanawiałam się, jak to jest usłyszeć coś takiego. Informacja, że zostało ci niewiele życia, wydawała mi się prawie że nierealna. Trudno to sobie tak naprawdę wyobrazić, szczególnie gdy jest się młodym. Zdarzało mi się czytać rozmowy z ludźmi, którym się to przytrafiło. Często ostatnie wywiady, ostatnie notatki czy słowa. Mówili, jak paradoksalnie informacja ta pobudziła ich do życia. Nagle, wiedząc, że nie zostało im dużo czasu, a właściwie to bardzo mało, zaczęli kochać wszystko i wszystkich dookoła. Akceptować i doceniać. Zaczynali w końcu żyć. Często wyzwalala się w nich chęć walki o cenny czas, o spełnienie marzeń, o działanie i przeżywanie tego, co zawsze odkładali na później. To co robili wcześniej, kiedy mieli tyle czasu? Ja nie akceptuję, nie doceniam i od dawna już właściwie nie żyję. Mam trzydzieści osiem lat i tylko jeden cel: pobyć z nim w tej ostatniej chwili.

Podczas naszego odnowionego kontaktu e-mailowego musiałam mu w końcu napisać o białej kopercie i o TYM, choć na początku tak nie planowałam. Chciałam tego uniknąć. Nie dało się jednak. Nie zgodziłby się na spotkanie, gdyby nie TO. Zdaję sobie sprawę z szantażu emocjonalnego, jaki mu zafundowałam, ale tonący brzytwy się chwyta. Nie miałam już ani czasu, ani wyboru. TO było jedyną wymówką i szansą, żeby go jeszcze raz zobaczyć. TO szansą... Mój Boże.

Dramatyczne, nieludzkie i skuteczne. Wiem i nienawidzę się za to.

Jest druga w nocy. Dopiero co zasnąłam, ale właśnie obudziły mnie światła i dźwięk opon na drodze. Wstaję i podchodzę do okna. Ktoś podjechał pod dom Marnixa. Obserwuję scenę po ciemku. Z dużego samochodu wychodzi duży mężczyzna. Wyjmuje sportową torbę z bagażnika i udaje się w kierunku domu. Stoi przez chwilę przy wejściu, wyciąga klucze, otwiera i wchodzi do środka. Zostawia otwarte drzwi. Po chwili wraca. Podchodzi do oświetlenia na ganku, po czym majstruje coś przy nim. Potem zatrzymuje się, robi krok do przodu i spogląda w kierunku mojego domu. Cofam się, choć nie powinien mnie widzieć zza firanki. Skąd miałby wiedzieć, w którym pokoju śpię? A raczej nie śpię. Patrzy jednak na mnie, czuję to, po czym odwraca się i znika za zamkniętymi drzwiami. Żarówka! Muszę koniecznie ją jutro odkupić.

Rano wracam do Châteauneuf po samochód. Na trzeźwo i z pustym żołądkiem droga zabiera mi mniej czasu niż wczoraj. Po powrocie do domu, dopiero koło południa, zabieram się za śniadanie. Po nocnym sąsiedzie ani śladu. Jem w ogrodzie. W tym samym, w którym rodzice urządzali nam wspólne noce w namiocie. Wszystko tu teraz zarosło i wygląda dosyć żałośnie, ale nawet się do tego nie biorę. Nie potrafię i nie mam siły. Kiedyś ogród był piękny. Malwina miała rękę do roślin. Moi rodzice często jej pomagali. Teraz to, co kiedyś nazywało się sadem, przypomina opuszczony cmentarz. Drzewa owocowe dawno zdziczały. Wyrosnięta trawa udaje siano. I tylko pszczoły i motyle ożywiają to miejsce swym zaferowaniem.

W weekendy, kiedy dorośli nie pracowali przy uprawach, jeździliśmy na pikniki. Odwiedzaliśmy -plażę w Cagnes-sur-Mer, gdzie godzinami bawiliśmy się kamieniami i pluskaliśmy się w letniej wozie. Robert, Marnix i ja stanowiliśmy osobliwe trio, przemierzając się niczym huragan przez nasze dwa domy, ogrody, a czasem nawet całe miasteczka. Ale i tak wszystkiego było nam mało. Święta trójca stała się nierozłączna. Dzieliliśmy się sekretami, ufaliśmy sobie i w końcu zdaliśmy sobie sprawę, że nie możemy już bez siebie żyć. Polacy nie mogli żyć bez Francuza. Liczyła się tylko ta przyjaźń, a więź, która nas łączyła, rosła w siłę. Prawdziwe porozumienie dusz. Teraz wakacje i święta nam nie wystarczały. Mijały błyskawicznie i szybko okazało się, że chcemy i potrzebujemy siebie więcej. Niestety, wtedy nie miałam komputera, a rozmowy telefoniczne były za drogie. Pozostawały nam listy. Robert i ja pisaliśmy do niego wspólnie i często. Takim francuskim, że pewnie nie dało się z tego wiele zrozumieć. On pisał rzadko. Wysyłaliśmy mu też kasety z naszymi przebojami. Tak, jestem z tego pokolenia, które nagrywało piosenki z radia na kasetę magnetofonową. Z taśmą napędzaną ołówkiem, po milionowym przesłuchaniu. To samo pokolenie we Francji miało

minitel i robiło zdjęcia polaroidem. U nas była oranżada w woreczku, u nich niespodzianki dla chłopca i dziewczynki. Pamiętam te dwie kultury od najmłodszych lat. Récré A29 z jego ulubioną kreskówką *Goldorak*. Actarus, jej główna postać, i Marnix byli do siebie podobni, mieli takie same włosy i spojrzenia. Gdy oglądałam pierwszy odcinek, byłam przekonana, że to film o moim wakacyjnym sąsiedzie. Potem my mieliśmy Wzrockową Listę Przebojów, oni mieli Dance Machine na M610. Tęskniłam za Francją, za croissantami i kolorowymi ubraniami. Tęskniłam za wszystkim, co było związane z tymi wyjazdami. Za piosenkami Indochine, które Marnix odtwarzał w kółko w swoim pokoju. One były magiczne, one były z innego świata. Chciałam ich słuchać cały czas, a nie od święta. I to mniej więcej w tym momencie, a może rok wcześniej, odkryłam, że mój brat bliźniak jest inny niż wszyscy chłopcy, których znałam. Przyjęłam to spokojnie, bo wiedziałam, że taki po prostu jest i inny być nie może.

Znalazłam czarną gitarę. Domyślałam się, że tu jest. Nie – wiedziałam, że jest. Chciałam ją jakoś ominąć, pominąć. Miałam głupią nadzieję, że Marnix zabrał ją ze sobą. Że to on ją ciągle ma. Powinien, ale nie. Zbyt dobrze pamiętam ten moment, kiedy kładę ją pod łóżkiem Roberta. Chowam ją. Dziewięć lat temu. I zupełnie tej sceny nie rozumiem. Jak to się stało?

Malwina kupiła mu ją na urodziny chyba w 1990 roku. Ta cała historia z gitarą zaczęła się bardzo niewinnie. Wszyscy szukaliśmy dla niego prezentu, ale każdy miał inny pomysł. Chciałam podarować mu książkę, co nie było oryginalne, ale pomyślałam, że będzie mógł mi ją przeczytać na głos po francusku. Szukałam więc *Przypadków Robinsona Crusoe*, bo wydawało mi się, że to taka chłopięca lektura. Wtedy Robert zaskoczył nas wszystkich, mówiąc przy kolacji, że Marnix na pewno ucieszyłby się z gitary. Byłam sceptyczna, ale rodzinie ten pomysł przypadł do gustu. Na drugi dzień ciotka pojechała do sklepu i kupiła używaną gitarę akustyczną. Nie wierzyłam, że tak bardzo mu się spodoba. Myliłam się.

Podaliśmy mu ją, kiedy zdmuchnęliśmy świece na naszym torcie. Odpakował prezent w rekordowym tempie i od razu zaczął grać, przejęty, jakby był sam. Nagle wszystko i wszyscy zniknęli z jego pola widzenia. Od tego dnia praktycznie nie odstępował jej na krok.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał wieczorem, zauważając wreszcie, że jestem obok. Przyglądałam się, jak w dziwny sposób ustawiał palce na strunach, zaskoczona, że znał już tyle chwytów.

– Domyśliłam się – skłamałam niepewnie. Nie wiedziałam przecież. Robert wiedział.

Jeżeli o mnie chodzi, nie było nigdy problemu z prezentami urodzinowymi. Co roku dostawałam notatnik lub coś do pisania. Fantazyjne długopisy, kredki, pióra. Pierwszy zestaw dwudziestu kolorowych flamastrów francuskiej firmy BIC



zrobił furorę w mojej klasie. Zjednałam sobie wielu nowych krótkotrwałych, nieprawdziwych przyjaciół, których nie było przy mnie, gdy ich potrzebowałam, i których teraz też nie ma.

Pisałam pamiętniki, od kiedy nauczyłam się pisać, i zawsze sprawiało mi to wielką frajdę. Bardzo szybko okazało się, że stanowi to część mnie i nie potrafię obejść się bez przelewania opisów mojego życia na papier. Tworzyłam je przez prawie trzydzieści lat. Później z dnia na dzień słowa utknęły mi w gardle i nie potrafiłam nazwać tego, co czuję. Nie zaniechałam jednak pisania. Pisałam i piszę dalej, ale inaczej.

Nie wiem, kiedy tak naprawdę to się stało. Nie wiem, kiedy oboje się w nim zakochaliśmy. Jednak w wieku trzynastu lat zaczęliśmy już o niego walczyć. Latem 1991 roku oficjalnie otworzyliśmy ogień. Robert oddał pierwszy strzał. Kiedy weszliśmy do domu w Gourdon, pobiegł od razu do Marnixa, choć tamten miał być jeszcze w szkole. Nie tak się umawialiśmy. Razem pojechali gdzieś na rowerach, zanim zdążyłam go zobaczyć. Ukradł mi go, specjalnie, żeby mieć go szybciej, więcej i dłużej. Miałam ochotę za to Roberta zabić. Wiedziałam, że coś knuje, bo całą drogę rzucał mi te swoje podejrzone uśmiešky. Usiadłam na schodach i czekałam, aż wróca. Pojawili się po dwóch najdłuższych godzinach świata: zziębnięci, głodni, szczęśliwi i ociekający potem. Serce waliło mi jak opętane. Urósł. Bezcelnie przerósł mnie o głowę, może nawet więcej. Na progu domu jego rodziców zdezorientowana mierzyłam go wzrokiem. Stał przede mną i próbując uspokoić oddech, dumnie dotknął podbródkiem czubka mojej podniesionej głowy. Pan tyczka. Westchnęłam głośno:

– Jadłeś trzy kilo malin dziennie?

– Jasne. – Uśmiechnął się. – Krem i czekoladę zostawiłem dla ciebie – skwitował i puścił do mnie oko. Musnął wargami moje czoło.

Zaniemówiłam. Nigdy wcześniej nie dał mi -buziaka. Widziałam, że przyjął francuski zwyczaj witania się. Lu-dzie we Francji całują się na dzień dobry i na do widzenia. W zależności od regionu Francji dwa, trzy lub cztery razy. Widziałam, jak to robił ze swoimi znajomymi ze szkoły. Ale nigdy z nami, bo u nas podaje się rękę albo po prostu wita się lekkim objęciem. Lub nie dotyka się drugiego człowieka wcale. Czym dalej, tym lepiej. Francuzi całują się w policzki. Tymczasem on podszedł i pocałował mnie w czoło gorącymi i gładkimi ustami. Po co? Żeby mi pokazać, jak bardzo wyrósł? Przecież zauważyłam.

– Co robimy? – odezwał się, widząc, że nic nie mówię. A ja poczułam, że on nie jest już ani mój, ani nasz. Że on jest już tylko jego.

Jak mogłam tego nie przewidzieć? Naiwna! Ufałam Robertowi bezgranicznie. Dałam się nabrać. Kryłam go zawsze. Robert nie lubił nauki. Był wyjątkowo dobry z matmy i z chemii, ale przekupywał mnie, żebym pisała mu

wypracowania z polskiego. Okłamywałam razem z nim rodziców, że znów się uderzył, kiedy po raz kolejny wrócił do domu z pobitą twarzą. Koledzy z klasy nie lubili jego inności. Czyściłam mu zakrwawioną skroń, zmiażdżoną wargę i fioletowy policzek. Ja płakałam, on nie. Byłam z nim na pogotowiu, kiedy doszywali mu naderwane ucho. Robert cieszył się za to sporą popularnością u dziewcząt. Kiedyś nawet namówiłam koleżankę, aby udawała jego dziewczynę, żeby się od niego odczepili. Nie na długo. Zamknął się w sobie. Miewał chwile załamania i czarne myśli. Chciał być tam, gdzie i ja chciałam – we Francji. W ramionach tego samego człowieka. Tam, gdzie spokój, śmiech, miłość i zrozumienie. Ale też inna nowa rzecz: nasza rywalizacja. I teraz korzystał z tego na całego.

Tego lata Marnix spał ze swoją gitarą, a Robert zaczął odsuwać się ode mnie coraz bardziej. To Marnix stał się jego bratem bliźniakiem. Byłam zazdrosna. Nie o Roberta, ale o niego. Coraz częściej zostawiałam ich samych. Szaleli u góry. Z ich pokoju dobiegała muzyka. Były pewnie chowane pod kołdrą wina, śmiechy i pogaduchy do rana. Francuz się zmienił. Zmężniał. Raptem wyrósł na młodzieńca. Mój bajkowy Actarus. Ramiona zarysowały się u niego wzgórkami mięśni, twarz wydłużyła, a rysy wyostrzyły. Gdzieniedzie zaczął kiełkować zarost. Teraz Marnix nie patrzył wprost, ale przenikliwie i zaczepnie zerkał. Nie siedział na krześle, ale zwisał z niego. Nie wyskakiwał z procy jak wcześniej, ale raczej zbierał się do wyjścia.

Zastanawiałam się, czy i on widział te wszystkie zmiany. Czy zdawał sobie z nich sprawę? Czuł się jeszcze chłopcem czy już mężczyzną? Czy obserwował podobne procesy u mnie? W szkole byłam raczej nielubiana i czułam się brzydka. W naszym tandemie to Robert był tym popularniejszym bliźniakiem. Dziewczyny chciały się ze mną przyjaźnić, żeby do niego dotrzeć. Nie знаły go. Nie domyślały się, że są bez szans. Przez ostatnie dwa lata biegały za nim nieustannie, a on żadnej nawet nie widział.

Ale ja też się zmieniłam. Też urosłam, nie aż tak, jak Marnix czy Robert, jednak sporo. Zimą wróciłam do Francji z wyraźnie zarysowanym biustem. Sąsiad przyglądał mi się najpierw skrycie, ale bardzo uważnie. Cho- wałam tę nową wypukłość pod grubymi swetrami, starałam się ukryć ją jak najdłużej. Później już się nie dało. Piersi były na tyle widoczne, że przyciągały jego wzrok dużo częściej niż moja twarz. Gapił się bez zażenowania. I ja patrzyłam więc na niego inaczej. Dorosłej. Z jeszcze większym niż dotychczas zaciekawieniem. Po paru dniach dostrzegłam potencjał w biuście. Był teraz wysokiej wartości towarem przetargowym w moich relacjach z Marnixem, które stały się dużo bardziej, jak by to ująć? Bliskie? Tak. Dosłownie bliskie.

Każdego dnia udawało mi się spędzić z nim moment samotności. Z premedytacją piszę „moment samotności”, a nie „moment we dwoje”, bo mimo że

siedzieliśmy razem, jego nie było. Była gitara, jego palce na strunach, muzyka i głos, ale on krążył gdzieś dalej. Komponował piosenki, pisał do nich teksty i śpiewał je, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Potrafił rzepolić godzinami, powtarzając do znudzenia trzy chwyt na przemian. No, chyba że ostentacyjnie siadałam naprzeciwko, z wielkim dekoltem i ze spojrzeniem wbitym w jego zielone oczy. Wtedy miałam szansę na odrobinę zainteresowania. Kiedyś, latem 1992 roku, podczas jednej z moich nieprzemyślanych prowokacji, przerwał grę, zdjął gitarę i przysunął się gwałtownie. Jego dłoń znalazła się na mojej piersi. Zaskoczona odsunęłam tę rękę i zamiast ją odepchnąć, przyciągnęłam do ust i pocałowałam delikatnie każdy palec. Miał twardą, szorstką skórę. Przywarł do mnie jeszcze ciaśniej, otworzył usta i oddychając głośno, pożerał mnie wzrokiem, więc nie przestawałam muskać opuszek jego palców. Aż do skutku. Nie byłam do końca pewna, co się dzieje. Obserwowałam go po prostu, walcząc z napięciem, które we mnie rosło po raz pierwszy. Nie pocałował mnie. Nagle jęknął głośno, padł ciężko na podłogę obok i zamknął oczy. Uciekłam więc -przerażona i zawstydzona. Dziś wspominam tę chwilę z nostalgią.

Mam szesnaście dni. Szesnaście dni na ułożenie tego, co chcę mu powiedzieć. Na przygotowanie się. Nie idzie mi. To niesamowicie trudne, bo tak naprawdę nie muszę z nim rozmawiać. Chcę, żeby tu po prostu był. Spędzić z nim czas, przytulić się, żeby poczuć jego zapach i kościste ramiona. Gdy odważymy się rozmawiać, nie wiadomo, jak to się skończy, więc może lepiej nie zaczynać? Nie chcę się kłócić. Chcę słuchać. O nim, o tym, co robi i kim jest. Dlaczego nie gra. I dlaczego go tu nie ma. Przygotuję mu łóżko w dawnym pokoju Janka. To chyba najlepszy wybór. Ja śpię u siebie. Jeśli trzeba będzie, to się przywiążę do łóżka pasami, żeby czasem nie napaść na niego w nocy. Pościel, którą znalazłam w szafie, jest zleżała i cuchnie, więc muszę znowu wybrać się do miasta, żeby kupić nową. Nie przyjmę go przecież w takich warunkach. Jest ważnym gościem. Wreszcie ktoś tu będzie. Na krótko, ale jednak. Lubię przebywać sama, we własnym towarzystwie. Potrzebuję swojej przestrzeni i czasu, bardzo to cenię. Ale nigdy nie widziałam sensu w życiu w samotności. Jeżeli nie masz z kim się dzielić, nie masz nic i nic też nie cieszy.

Po czasach z Marnixem zostały mi dwie rzeczy: jego płyty i granatowy kubek. Są też zdjęcia, ale nie trzymam ich przy sobie. Schowałam je w kartonie i zamknęłam głęboko w szafie w moim wynajętym nowojorskim mieszkaniu. Rzadko je wyjmuję i oglądam. Bardzo rzadko. W sumie wcale. Nie czuję się gotowa na oglądanie zdjęć. Może kiedyś. Wszystkie inne rzeczy, które u mnie zostawił po rozstaniu: ubrania, notatki, płyty winylowe i kompaktowe, oddałam ludziom. Jego nagrania odsłuchuję raz na jakiś czas i wtedy najczęściej włączam je parę razy pod rząd, czasem nawet kilka dni w kółko. Potem robię przerwę. Jeżeli

chodzi o kubek, przechowuję go jak jakąś relikwię, choć sama nie wiem, po co. Nie piję z niego, a powinnam. Inaczej jest bezużyteczny. Zupełnie jak mój zakurzony rower w piwnicy. Mieliśmy takie dwa identyczne kubki, prezent od Malwiny, i piliśmy z nich rano kawę. Jeden zbiłam kiedyś przy wyjmowaniu ze zmywarki i został mi tylko ten drugi. Wierzę, że to jego. Trzymam go w szafce na górnej półce.

## 7

Rok 1993 przyniósł kontynuację naszego konfliktu zbrojnego. Mój brat bliźniak był zakochany po uszy. Patrzył na niego maślanymi oczami tak często i intensywnie, że wprawiał mnie tym w zakłopotanie. Już nie dało się tego ukryć. Przynajmniej nie przede mną. Za dużo czasu z nimi spędzałam i sama za bardzo szalałam za Marnixem, żeby tego nie zauważyć. Teraz byłam zazdrosna o Roberta. Robert był zazdrosny o mnie. Francuz wydawał się niezdecydowany. Chwilami miałam wrażenie, że woli mężczyzn, kiedy indziej interesował się mną. Niczym strażnik pilnowałam więc każdej naszej sekundy. Walczyłam o nią, nie dawałam za wygraną. Żeby tylko Robert mi go nie zabrał, żeby go sobie nie zjednał. Drżałam ze strachu za każdym razem, kiedy znajdowałam ich razem. A może było już za późno? Nie myślałam, że o mężczyznę przyjdzie mi walczyć z innym mężczyzną, w dodatku z bratem. Nie zawsze grałam fair. Ale skoro mnie Marnix pozwalał naklejać plastry na poranione do krwi od grania palce i wołał patrzeć na wgłębienie mojego dekoltu, to co mogłam poradzić... To mnie czytał pierwsze teksty swoich piosenek, bo potrafiłam słuchać bez krytykowania. To ze mną dzielił się owocami, bo Robert ich nie jadał. To ja, a nie on, miałam cierpliwość, żeby tłumaczyć z nim teksty piosenek Davida Bowiego, którego uwielbiał. I tylko mnie, a nie Robertowi, pozwalał się czesać. Stałam się rywalką Roberta. Chwilami istniałam wyłącznie po to, żeby się od niego różnić, żeby z nim konkurować i wygrywać. Mój brat wystawił mi za to niezły rachunek. Zapłaciłam wysoką cenę. Ale o tym napiszę później.

Przez cały dzień wypatruję mojego sąsiada, ale nie pojawia się. Pewnie odsypia drogę po podróży. Wieczorem widzę światło w jego kuchni, a potem na górze. Jutro pojedę do miasteczka i kupię w końcu żarówkę. Wtedy do niego pójde i się przywitam.

Na strychu domu Malwiny znów zagnieździły się popielice. To takie małe, szare, podobne do szczurów gryzonie. Nie lubię ich specjalnie, ale z daleka wyglądają ładnie. Nocą słyszę tupot ich łap, kiedy biegają bez przerwy, gdy ja próbuję zasnąć. Udało mi się znaleźć ich wejście. Pod dachem, za rynną jest

wydłubana luka. Biegają po gałęzi drzewa i przeskakują z niej na dach. Nad ranem -zawsze piszczą. Nie mam pojęcia, co z nimi zrobić. Chyba je tam zostawię, niech sobie żyją. To już ich terytorium. Kiedyś z powodu skwaru spaliliśmy z Robertem, Jankiem i Marnixem w ogrodzie, pod gołym niebem, w śpiworach. Nad ranem obudziły mnie piski popielic i ze strachu wskoczyłam do śpiwora Marnixa. Przebudził się na moment, wziął mnie w ramiona i zasnął od razu z -powrotem, przygniatając mnie nogą i ramieniem. Ja już nie zmrużyłam oka.

Teraz budzę się nad ranem i zanim jeszcze otworzę oczy, wiem, że jest wcześnie. Za wcześnie. Że jeszcze mogłabym spać, ale nic z tego nie będzie. Wiem też, że cały dzień zapowiada się właśnie taki: nic z niego nie wyciągnę. Znowu się nie wyspałam. Znowu nie mam planów, nie mam celu. Będę się szwendać cały czas po domu, w najlepszym wypadku próbować czytać książkę. Jeść śmieciowe jedzenie, bo to zdrowe trzeba samemu przyrządzać, a na to nie mam siły. Jem na jednorazowych papierowych talerzach, bo nie chce mi się zmywać. Nie chce mi się nawet umyć zapryskanych ścianek trzydziestoletniej mikrofalówki, w której te śmieci odgrzewam. Dawno temu wszystko zaschło tam na dobre. Teraz trzeba skrobać, ale tego też mi się nie chce. Nie ma mowy. Nie mam siły. Nawet na umycie się. Śmierdzą pewnie już na kilometr, ale się tym nie martwię, bo i tak nie ma mnie kto wachać. Mogę tak sobie śmierdzieć do jutra albo i dłużej. Niczego to nie zmienia. To bez różnicy.

Patrzę na odbicie w lustrze i nie mogę się rozpoznać. Bije ze mnie ogromny smutek, obojętnie, z której strony zerkam. Tak bardzo się postarzałam. Brak snu. Papierosy. Stres. Otyłość i depresja. Wiem o tym bardzo dobrze, ale jakoś nie mogę uwierzyć, że właśnie ja mam to wszystko wypisane na twarzy. I pomyśleć, jaka byłam -modna w dzieciństwie. Ikona stylu! Nosłam białe kapelusze z ko-ronkami. Może gdybym zrobiła choć lekki makijaż? Nie mam czym. Nie maluję się od dawna. Żaden korektor nie jest w stanie zakryć cieni pod oczami, a szminka przywrócić mi uśmiechu. Patrzę więc w lustro, zbliżam się do niego, bliżej i bliżej, i nawet już nie chce mi się płakać. Nie mogę znieść tej smutnej, zgorzkniałej twarzy. To nie ja. Próbuję znaleźć na niej choć jedną malutką część tamtej mnie, tej sprzed lat, uśmiechniętej, pełnej życia, ciekawej. Szukam, ale nie znajduję. Nie ma. I wtedy zauważam, że włosy mam długie aż do bioder.

Palę. Trzeci papieros pod rząd i dalej nie pomaga. Idę więc do kuchni, otwieram szufladę. Jest tam chyba wszystko oprócz nożyc. W końcu je znajduję. Obcinam włosy bez lustra, mierząc je ręką, która chwyta kolejne pasma i wystawia na ścięcie. To przynosi ulgę, która trwa niespodzianie krótko. Nie płaczę. Trzymam się. Trzymam. Mam wprawę, bo od lat cały dzień wstrzymuję oddech.

Staję na jego ganku i już mam pukać, ale jakoś nie mogę podnieść ręki. Patrzę na okradzioną lampę. Wreszcie biorę tarasowy fotel Malwiny, żeby wkręcić

szklaną bańkę i nie przyznawać się do jej kradzieży przy pierwszym spotkaniu z nieznajomym. Stoję na chwiejącym się krześle i łapię za klosz. Wtedy widzę, że jest w nim nowa świetlówka. Nagle ktoś otwiera drzwi. Nie mam czasu na ucieczkę.

– Tak? – pyta na dzień dobry i od razu słyszę, że to nie Francuz.

– Cześć. Nazywam się Patrycja. Mieszkam w domu obok.

– Magnus Heilbron. Miło mi. – Ma amerykański akcent, myślę, chwiejąc się nad nim. Kiwam się. Nagle krzesło pode mną trzaska i się łamie. Mało co nie upadam. W ostatniej chwili mnie łapie. Podaje mi dużą dłoń, żebym stanęła prosto.

– Było stary. – Myli rodzaj francuskiego przymiotnika i patrzy na sterczący kawałek złamanego drewna. Udaję, że się nabieram na ten komplement. Taktownie nie ogłaszamy prawdziwej przyczyny klęski krzesła: mej -nadwagi.

– To było kiedyś moje krzesło. To znaczy mojej ciotki... Nieważne – dodaję po chwili, widząc, że nie bardzo rozumie, dlaczego o tym wspominam. Sama nie do końca to rozumiem. Moje, twoje, jego, nasze, co za różnica? Skoro właśnie je połamalam.

– Kupię nowy – proponuje.

– Nie trzeba – mamrocę niezdarnie i daję mu prezent. – Pożyczyłam od ciebie... bo mi wysiadła. Ta jest nowa. – Obserwuję go. Jest ogromny. Wysoki, z szerokimi barkami, umięśniony. Bierze ode mnie żarówkę i bez cienia uśmiechu dziękuje, po czym cofa się do środka.

– Miłego dnia – dodaje i zamyka mi drzwi przed nosem. Wrak krzesła Malwiny zostaje na gankowej podłodze.

Wracam do siebie i stwierdzam, że może jednak powinnam się umyć. Tyle że łazienka jest dla mnie niemiła. Lata jej świetności dawno minęły i błaga na klęczkach o remont. Jej prośby nie zostaną jednak wysłuchane, bo nie mam funduszy. Bidet cieknie, więc go nie używam. Kurek od ciepłej wody w umywalce się nie dokręca i kapie, a nad wanną zrobił się grzyb. Przydałaby się też nowa zasłonka, bo ta już wiele przeszła. Wisi i cuchnie. Zdejmuję ją i z obrzydzeniem wyrzucam do śmieci. Wracam i patrzę na ten obraz nędzy i rozpacz. Normalnie tylko trupa w wannie brakuje, bo smród już jest. I jak tu się myć? To nie na moją głowę. Szczególnie nie dzisiaj.

Mimo rywalizacji święta trójca była rekordy popularności. Bawiliśmy się wysmienicie, zachowując pozory, udając, że problem nie istnieje. Uwodziliśmy się nawzajem. Chodziliśmy na imprezy, na mecze i koncerty. Dwa tygodnie ferii we Francji mijały za szybko i na samą myśl o rozstaniu chciało mi się płakać. Trzy dni przed planowanym powrotem do Polski weszłam bez pukania do pokoju w domu Francuza. Zastałam ich siedzących jeden obok drugiego, blisko, właściwie przyklejonych do siebie na materacu z rozwaloną pościelą. To nie była

przyjacielska bliskość. To było coś więcej. Na mój widok odsunęli się od siebie, a Robert rzucił niezadowolony:

– Pukać cię nie nauczyli? Spadaj!

– Przepraszam – wydukałam, speszona, że naruszyłam ich prywatną przestrzeń. Marnix zrobił zmieszana minę, na co mój brat odparł, wzdychając:

– No dobra. Sorry. Możesz wejść.

Usiadłam naprzeciwko nich. Od dwóch tygodni Robert, niczym wybraniec króla, spał w domu Marnixa, w jego pokoju, na dodatkowym materacu, na ziemi, jakby dom Malwiny był gdzieś daleko. Przecież trzeba było przejść całe podwórko! Marnix przygotowywał mu jego miejsce niczym świątynię. Pościel, ręczniki, półki w szafie, osobne miejsce na biurku. Jakby sprowadzał go tu na stałe. Wszystko było przemyślane, zaplanowane i przyszykowane według ścisłego planu. Zastanawiałam się, czy spali razem, bo pościel na łóżku Francuza była -nieskazitelnie gładka i czysta, tak jak w pierwszy dzień po naszym przyjeździe. Spojrzałam na nich z przerażeniem.

– Nowa piosenka – rzucił mój brat.

– Słuchaj – dodał Marnix. Zamarłam. Spodziewałam się wszystkiego.

Melodia była spokojna, a tekst mówił o trudnej miłości. Wiedziałam, o kim śpiewał. Kiedy skończył, wyszłam bez słowa, bo było mi wstyd, że płaczę. Nigdy. Żadnej. Piosenki. Dla. Mnie. Wszystkie dla niego, myślałam wtedy. Nie rozumiałam niczego. A może oni... Nie. Wiedziałabym przecież. Czuję. Nie. Na pewno nie. No bo jak? Nie i koniec. Ogarnęła mnie wielka młodzieńcza czarna rozpacz, której nie umiałam nawet ukryć. Widział to. Obaj to widzieli, ale żaden nawet nie drgnął.

Pamiętam muzykę. Ona zawsze rozbrzmiewała gdzieś obok. Muzyka była i jest, nawet teraz, kiedy żeby to wszystko wytrzymać, udaję, że jej nie ma. Ona zawsze będzie. Jest wieczna.

Dziś włączam jednak francuskie radio. Nie myślałam, że to jeszcze kiedyś zrobię, ale odważyłam się. Rozgłośnia Nostalgia nadaje stare przeboje. Drzę, mam -lodowate ręce, czekam na tę melodię. Na piosenkę, którą wygrywały wszystkie stacje radiowe i która jest o mnie. Tak. O mnie. Jego największy przebój: *Godziny ciszy*, w którym zamknął mnie na zawsze i w którym mnie chce. Czekam na piosenkę, która jest cudem. Tak jak my byliśmy cudem. Na szczęście już jej nie grają i nie muszę sprawdzać, czy wytrzymam. Wyłączam radio. Wystarczy na dzisiaj. Chcę ciszy, której tak naprawdę nigdy tu nie ma i do której jestem teraz przyzwyczajona. Wydawało mi się, że jej potrzebuję, a ona tak bardzo mnie zmyliła. Jednak las jest głośny. Zwierzęta, owady, ludzie. Ciągłe coś. Czasami słyhać odgłosy samochodów z drogi. Kiedyś było tu słyhać jego muzykę i nasz śmiech.

Odegrałam się na Robercie dosyć szybko. Albo to on się na nim odegrał. Zastanawiałam się, czy istniała jeszcze święta trójca, czy narodził się już święty trójkąt. Bałam się o tym rozmawiać, więc z Marnixem mówiliśmy o muzyce. On mówił. Jak bardzo chciałby żyć ze swojej pasji, grać koncerty, być gwiazdą. Miał ten błysk w oku. Pomyślałam, że pasowałby do sceny i wyobrażałam go sobie na piedestale z gitarą w ręku i tłumem rozgorączkowanych, piszczących nastolatek u stóp. Z jego talentem i urodą był po prostu skazany na sukces. Ścisnęłam mocno jego dłoń i powiedziałam:

– Spełni się. Zobaczysz. Jestem tego pewna.

Odważyłam się, bo chciałam, żeby wiedział, że w niego wierzę. Wtedy przyciągnął mnie do siebie, pocałował mocno i bez zapowiedzi. Chyba długo, bo zabrakło mi powietrza. Podobno usta dziewczyny są najbardziej czerwone przed pierwszym pocałunkiem. Potem bledną już na zawsze, bezpowrotnie tracą ten jeden ton swej pierwotnej barwy. Moje niczego nie straciły. Moje zaostrzyły się purpurą i stanęły w ogniu pod jego naporem. Nogi się pode mną ugięły, ale chciałam jeszcze. Mieliśmy po piętnaście lat.

To dziwne, że człowiek myślący nie zastanawia się nad niektórymi ważnymi rzeczami. Nawet ktoś taki jak ja, spędzający wiele czasu na rozmyślaniu, nie ogarnia pewnych tematów zawczasu. Nie przemyśli na spokojnie, kiedy jeszcze może i nie musi się spieszyć. Nie przygotowuje się wcześniej, żeby potem nie być zaskoczonym i nie rozkładać rąk w niemocy. Przebywając w domu mojej ciotki, układając naczynia w kuchennych szafkach, nigdy nie pomyślałam, że kiedyś będę je wyciągać i zastanawiać się, co z nimi zrobić. Że będę odkręcać słoiczki jej kremów, żeby zobaczyć, ile ich w środku zostało. Oddać je komuś? Zużyć do końca? Wyrzucić? Co z ubraniami w szafie? Co z niedokończoną książką pod poduszką? Perfumami w łazience? Notesem z numerami telefonów i jej ulubionym grzebieniem do włosów? Co z gameboyem wciśniętym w głąb szafki na buty, za którego Robert w wieku dwunastu lat gotowy był oddać życie i którego Marnix podarował mu wspaniałomyślnie na koniec lata 1993 roku? Co zrobić z rzeczami bliskich, bardzo -bliskich, którzy nagle odeszli? Których z dnia na dzień nie ma, ale którzy zostawili po sobie tyle rzeczy. A przecież gdyby człowiek zastanowił się nad tym wcześniej, bez emocji, toby pewnie wiedział. Ale nie. Tak się nie da, bo śmierci bliskich się nie akceptuje. Obojętnie, czy jest to śmierć tragiczna, nagła, czy ta spodziewana, wyzwalająca nierzadko z cierpienia. Śmierci bliskich się nie ogarnia, nawet jeżeli się ją zrozumie.

Po Malwinie zostało wiele rzeczy. Między innymi zastawa porcelanowa zdobiona w drobne kwiaty, wciśnięta w głąb kredensowej szafki. Ciotka pozwalała używać jej tylko podczas specjalnych okazji. Wyciągam jeden z talerzy i obracam



go w dłoniach. Zamykam oczy, przejeżdżam po nim palcami. Nawet po latach gładkość jego powierzchni jest nienaruszona, a obłość wciąż idealna. Najwyraźniej w tym domu nie było wielu uroczystych chwil, choć nie tak to wspominam. Zostawiam talerz na stole. Starej kuchni nie zaszkodzi odrobina piękna. Może nawet zachęci mnie do jedzenia?

Gourdon: małe, urocze miasteczko pełne turystów w lecie oraz puste i chłodne w zimie. Z pięknym widokiem na wybrzeże, z zamkiem i z Orlim Gniazdem<sup>11</sup>, na które w dzieciństwie nigdy nie było nas stać i gdzie po latach jedliśmy za każdym razem, kiedy odwiedzaliśmy jego rodziców i Malwinę. Miasto kwiatów, tych z pól i z porcelanowych talerzy, oraz perfum, które nawet po latach nie wietrzeją. Mieścina jak wiele innych, gdzie wszyscy się znają, gdzie każdy żyje albo z badyli, albo z turystów. Czasem z jednych i drugich. Gourdon: całe dwadzieścia dwa kilometry kwadratowe, cholerna dziura, w której latem umierasz z gorąca i gdzie nic się nie dzieje wieczorami. Piec otoczony skarpami, do którego dojeżdżasz pozawijaną niczym serpentyny drogą. Ile razy ojciec musiał się zatrzymać na poboczu, bo któreś z nas wymiotowało od tych przeklętych zakrętów! Ile razy Robert i ja walczyliśmy z mdłościami tylko po to, żeby się nie zatrzymywał, aby być szybciej u boku Francuza! Ile razy liczyłam dni do chwili przyjazdu?! Tyle, ile przeklinałam to miejsce. Znam tu każdy kamień i każde drzewo. Każdą uliczkę. W drodze przez moment marzyłam o tym, że podjadę i zobaczę go, jak siedzi na schodach swego domu i wyczekuje mnie, brzdąkając na gitarze. Miałam ten widok przed oczami. Dosłownie prawie go tam widziałam. Ale nie. Nie czekał jednak, a okiennice były pozamykane.

8

Magnus słusznie został nazwany wielkim. Jest duży. Po-tężny. Jak zawodnicy rugby. Na oko ma dwa metry wzrostu, a do tego kwadratowe ramiona i matową cerę. Obserwuję go dziś od rana z ogrodu. Pałę. Wysyłam mu znaki dymne, ale nie reaguje. Kiedy mnie zauważa, wita się z daleka ruchem dłoni, jednak nie podchodzi, żeby porozmawiać. Odludek spotkał odludka. A może mój zapach dopadł go na odległość i boi się podejść bliżej. W sumie to dobrze. Nie musimy się przyjaźnić. Ciekawe, czy Marnix go zna. Leżę na leżaku, śmierzę i udaję, że czytam. Patrzę, jak sadi coś w ogrodzie. Mimo upału ma na sobie jeansy i T-shirt. Przed słońcem chroni go tylko czapeczka z daszkiem. Co chwilę zdejmuję ją i ociera pot z czoła, ale nie pije. Ugotuje się. Ja pijam różowe z lodem.

Najgorsze jest, kiedy do niczego nie dążysz, kiedy nie masz celu. Gdy rano nie wiesz, po co tak naprawdę miałbyś wstać z łóżka. Jestem gruba, bo nie potrafię poradzić sobie z emocjami. Jestem gruba przez to, że mnie zostawił. Jestem gruba, bo ciągle leżę. Jedyna aktywność, jaką uprawiam w nadmiarze, to rozmyślanie. Ale od tego nie chudnę niestety wcale.

Na Boże Narodzenie 1993 roku Marnix przyjechał do nas razem z moją ciotką i wujkiem, by spędzić pierwsze święta bez rodziców poza domem. Karp, którego uznał za rybę ozdobną parkowych oczek wodnych, kapusta rozsadzająca mu żołądek i mak, który chciał palić. To mógł jeść. Szybko więc skończyło się na jabłkach. Pierwszy człowiek, który schudł podczas polskich świąt. Wtedy też po raz pierwszy Marnix upił się wódką. Do nieprzytomności. Staliśmy z flaszką na podwórku przed blokiem. Było już ciemno, ale tak mocno prószył śnieg, że zrobiło się prawie jasno.

– Ty, ale nie mamy popitki! – słusznie zauważył Robert.

– Ej, nie widzisz tego białego mokrego puchu dookoła?! – zawołał Francuz. Śnieg nigdy nie smakował tak doskonale.

Brat niósł zabojada na plecach do domu i spaliśmy potem we trójkę w jego łóżku. Codziennie chodziłam z nim po Legnicy dumna jak paw. Chowaliśmy się przed Robertem. A ten chował się z nim przed wszystkimi. Marnix dawał się wciągnąć w tę grę, która doprowadzała mnie do szału. W mojej głowie panował całkowity rozstrój myśli. Czego on tak naprawdę chciał? A ściślej: kogo?

Zabrałam go na koncert Heya do klubu w parku. Mało z niego pamiętam. Przez bitą godzinę jego usta nie odrywały się od moich. Po koncercie poszliśmy do pizzerii, gdzie Marnix znowu nie mógł niczego zjeść i gdzie w kuchni udało nam się dla niego wyprosić puszkę zielonych oliwek.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

– Ja też nie.

– Sześć miesięcy to za długo.

Tak naprawdę myśl o rozłące nie była jedyną, która mnie nurtowała. Teraz zastanawiałam się, co na to powie Robert. Co będzie, jak się dowie, że Marnix i ja...? No właśnie, co? Tak bardzo chciałam to zdefiniować. Chciałam zaznaczyć teren. Co będzie, jak się dowie o naszych pocałunkach? Przestanie go kochać? Da nam spokój? Opuści? Wiedziałam, że tak nie będzie. Jednak łudziłam się, zaciskając dłonie w pięści pod stołem i patrząc mu w zielone oczy. Chciałam też wierzyć, że Marnix tego wieczoru wybrał mnie. Ale brakowało mi odwagi, żeby go o to zapytać. Nie umiałam poruszyć tematu homoseksualizmu mojego brata, jak i tego, jaki rodzaj związku ich łączył. To było tabu.

– Wymyślimy coś – powiedział i wiedziałam, że nim wypowiedział te słowa, pomysł już się zrodził. Głup-kowaty, ale jakże skuteczny. Zatrzymał go u nas na następny tydzień. Zdecydował, że rozchoruje się na zawołanie. Z osłupieniem patrzyłam więc, jak pierwszy raz w życiu je pizzę. Na początku nic się nie działo. Mówił, że mu smakuje. Ale potem miałam wrażenie, że właśnie zjadł kilogram muchomorów. Słabł z minuty na minutę. Przestał się odzywać i miał skupiony wyraz twarzy. W pewnym momencie położył głowę na blacie stołu i leżał tak kilka

minut. Wpatrywałam się w niego. Nie wierzyłam własnym oczom. Czy jest w ogóle szansa, że to przeżyje? Zbladł w rekordowym tempie. Wyrwałam mu z ręki ostatni kawałek jedzenia. Chciałam go ratować. Najlepiej metodą usta-usta. Ale nie dało się, bo spłynął z krzesła. Niczym marionetka pozbawiona kości osunął się na podłogę. Jak mogłam pozwolić mu zjeść pół pizzy?

– Spokojnie. Wiem, co robię – wycodził głosem umierającego, leżąc pod stołem. Nie wiedział. Robił to pierwszy raz i nie mógł przewidzieć, jak się skończy. Ogarnęła mnie panika. Był już sinoprzezroczyty i wyglądał, jakby zaraz miał się udusić. Oddychał ciężko: może z przejęcia, może z osłabienia. W końcu rzuciłam się do baru i zrobiłam zamieszanie. Ktoś zadzwonił po pogotowie. Spędził dwa dni w szpitalu, a resztę w naszym domu, grając na gitarze na moim łóżku. Ale zamiast z tego korzystać, nie odzywałam się. Nie mogłam mu wybaczyć, że tak zaryzykował.

Potem było prawie sześć miesięcy rozłąki i sama nie wiem, kto najbardziej cierpiał z jej powodu: Marnix, ja czy mój brat. Robert chodził przybity. Udawałam, że tego nie widzę. Nasz kontakt z Francuzem był sporadyczny. Nie umieliśmy rozmawiać przez telefon, zwłaszcza ja, pamiętając o zabójczej pizzy i zawsze mając kogoś przy sobie. On chyba też nie. Raz powiedział, że bardzo za mną tęskni i nie może się już doczekać naszego spotkania. Serce wyskoczyło mi wtedy z piersi i stałam z szerokim uśmiechem, nie odpowiadając, aż po chwili ciszy speszony poprosił, żebym przywołała do telefonu Roberta. Rozłączyłam się, udając, że połączenie przerwano.

Trzy tygodnie przed ostatnim rodzinnym wyjazdem do Francji napięcie jak zwykle sięgało u nas zenitu. Eks-cytacja rozsadzała mnie od wewnątrz, a Robert doprowadzał do szału. Ubzdurał coś sobie. Przywłaszczał go w każdej rozmowie. Marnix powiedział mu to, obiecał mu tamto. Umówili się, że zrobią to i to, że pójdą tu i tam. Jego Marnix. Powiedział to kiedyś przy wszystkich! Najpierw myślałam, że się ośmielił, ale dziś wiem, że mu się wyrwało. Mama układała zdjęcia w albumie. Przy jednym z nich zawołała, uśmiechając się i machając starą fotografią przed naszymi oczami:

– O! A tu Patrycja i jej Marnix, zobaczcie jacy słodcy razem!

– Mój Marnix, a nie jej – chlapanął niby do siebie, ale usłyszałam to. I jedynie ja to zauważyłam. Wystarczyło, żeby moje serce stanęło na baczność i żebym podniosła gardę. Zrozumiałam, że będę musiała walczyć z całych sił o Marnixa. Byłam gotowa.

Na zawsze, na zawsze. Na zawsze nie istnieje. Na zawsze, skoro dłużej się nie da. Bo zawsze jest jedynie śmierć. A śmierć jest smutna i te wakacje były dramatyczne. Dzisiaj myślę, że w pewnym sensie spodziewałam się tego. Przecież

było to do przewidzenia. Ale wtedy nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji. Zaczęło się dobrze i na początku nic nie wskazywało na to, że będzie to rok tragedii.

Tego lata większość czasu spędziliśmy przy jego muzyce. Miał talent, ale też dużo ćwiczył. Zaczął mówić o studiach muzycznych. Wiedział już, że chce grać. Zdziwiła mnie ta pewność wyboru, bo ja nie miałam pojęcia, co jest moim powołaniem. No może oprócz wsłuchiwania się w jego piosenki. Napisał ich kilkanaście i grał je w kółko, ciągle coś zmieniając, ulepszając, pytając, czy mi się podoba. Jego spektakl z gitarą był bardzo skuteczny. Działał na wszystkich jak magnes. Czy wykonał swój taniec godowy, żeby mnie zdobyć? Nie musiał. Byłam już jego. Był też Robert. On też chciał słuchać, najlepiej beze mnie, i on też, niestety, był już jego.

Gdy kładę się spać, marzę, żeby zasnąć od razu. Nigdy się nie udaje, bo wiem, że obudzę się bez niego. Wolę więc nie zasypiać wcale. Najczęściej nad ranem padam z wycieńczenia i budzę się przed południem, zawiedziona, a uczucie niepewności, kiedy go jeszcze szukam obok siebie, znika prawie momentalnie. I pomyśleć, że parę lat temu utrzymywało się przez błogie kilka sekund. Tęsknię nawet za tymi chwilami. Dziś obudziłam się wyspana. Spałam dobrze pierwszy raz od powrotu do Gourdon. Może dlatego, że miałam piękny sen, co tak rzadko mi się zdarza. Najlepszych momentów w moim życiu było kilka. Jeden z nich to ten, który jest dla mnie kwintesencją szczęścia i bez troski, kiedy razem z Marnixem na tarasie pijemy kawę z granatowych kubków o szóstej rano, zanim jeszcze wszędzie słońce. Wiemy, że mamy przed sobą kilka wspólnych, wolnych tygodni. Przytuleni do siebie, korzystamy z chłodu -poranka, bo dzień będzie upalny. Nie spaliliśmy całą noc, zajęci muzyką, książkami i miłością. A czas wydaje się nieistotny. Dziś w nocy -śniłam, że siedzimy na tym -tarasie. Wstaję więc i idę zaparzyć kawę. Jeszcze dwanaście dni do jego przyjazdu.

Czasami boję się tego momentu, kiedy w ciemnym pokoju ostatkiem sił trzeba będzie złapać za telefon. Do kogo zadzwonię? Czyj numer wtedy wykręcę? Jego?

Mój sąsiad zniknął. Nie widziałam go od rana. Samo-cho-du też nie ma. Może znowu wyjechał. Okiennice zostawił otwarte. Nie nauczył się jeszcze, że w ten sposób nigdy nie schłodzi domu. Musi być tam gorąco jak w piekle.

9

Wspominając tamte czasy, wiem, że nie miałam wyboru. Marnix wypełniał

mój wszechświat. I może to lepiej, bo wybory bywają trudne, a każda decyzja ma konsekwencje. Tutaj przynajmniej wszystko było jasne. Działo się i tyle. Jakby bez mojego aktywnego udziału. Odgrywaliśmy wyznaczone nam role, tekst wykuliśmy na pamięć, było spokojnie i bezpiecznie. Mogłoby się wydawać, że tak zapisano w gwiazdach. Do czasu oczywiście. Ale kto mógł wtedy przewidzieć, że nagle wszystko się skończy? Byliśmy młodzi i nieśmiertelni. Nie myślałam, że wszyscy i wszystko ma kiedyś swój koniec.

To się stało w 1994 roku w gorące sierpniowe popołudnie. Tego dnia Robert nakrył mnie z Marnixem w kwiatowej samotni, Perfumowanym Źródle, jego usta na moich, badawczo okalające i pozbawiające mnie oddechu. Tyle mu wystarczyło. Tyle przeważyło. Jeden gorący młodzieńczy pocałunek. Chwila niewinnej namiętności.

Zauważyłam go: stał i się nam przyglądał. Nagle przesunął twarz do słońca i wtedy coś zabłyszczało mu na policzkach. Beksa, pomyślałam, i jeszcze ciaśniej objęłam Francuza, żeby nie miał wątpliwości. Żeby widział. Postawiłam na swoim. Wygrałam. Samolubna, okropna ja. Tego właśnie wtedy chciałam. Triumfowałam.

Narobił hałasu, żebyśmy wiedzieli, że nas widzi, po czym uciekł bez słowa. Nie pobiegłam za nim. Nie wiem dlaczego. Tego dnia Marnix Lanteri wybrał mnie i on też za nim nie pobiegł. Oboje puściliśmy go wolno.

Dopiero wieczorem, kiedy wróciliśmy z rodzicami z targu w Grasse i kiedy okazało się, że nikt go nie widział od kilku godzin, coś mnie tknęło. Szukałam go na dole, aż wreszcie poszłam na górę, prosto do pokoju. Nie zamknął drzwi. Zostawił je otwarte na oścież, zapraszając wszystkich od razu, od wejścia, na swój wielki spektakl. Już z ostatnich dwóch schodków było widać. Nabrałam powietrza i zatrzymałam je w klatce piersiowej, tak jak on zablokował swój oddech na zawsze. Czarny, skórzany pasek był ciasno zaciśnięty wokół szyi. Robert zwisał nieruchomo z belki przy suficie. Nie dyndał jak w filmach ani nie był siny, raczej spocony z zamkniętymi oczami. Chyba nie umiera się łatwo. Zamarłam i patrzyłam na samobójcę z bezpiecznej odległości. Kiedyś byłam z nim w jednym brzuchu, ale teraz bałam się podejść.

Nie wiem, ile czasu tak stałam. Do momentu, kiedy kątem oka zauważyłam mały ruch. Minimalne poruszenie. Zadrżałam, wpatrując się w tamtą stronę. To jego dłoń się poruszyła! Purpurowe palce rozwarły się i upuściły zgnieciony kawałek papieru. Podeszłam i dotknęłam go. Był jeszcze letni. Podniosłam oczy. Trochę zbladł jednak. Może żył jeszcze? Nie. Po sekundzie jednak spuściłam wzrok, który teraz zatrzymał się na skrawku zgniecionej w kulkę kartki. Wzięłam ją do ręki i nie otwierając, schowałam na samym dnie kieszeni mojej spódnicy. Potem usłyszałam dźwięk drzwi na dole.

Kiedy zesłam, wszyscy krzatali się jeszcze z torbami w przedpokoju.

Chciałam im powiedzieć, wołać na pomoc, ale głos utknął gdzieś między tchawicą a krtanią. Stałam więc przed schodami i podniosłam prawą dłoń z wyciągniętym palcem, pokazując piętro. Mama spojrzała na mnie i widząc moją bladość, zapytała wystraszona:

– Co się dzieje?

Nie odpowiedziałam, poruszyłam ledwie dłonią i ponownie wskazałam na górę. Słyszałam jej kroki na schodach, jak dudniły głośno. Potem zobaczyłam Jana. Szturchnął mnie ramieniem i zrobił głupią minę, wspinając się zamaszystymi susami po trzy stopnie, jak to miał w zwyczaju. Potem był już tylko krzyk, płacz i niekończąca się rozpacz.

Nie uratowaliśmy go. Ani my, ani sanitariusz z karetki. Nie uratowałam go ja, która go znalazłam. Nawet nie próbowałam. Robert odszedł na zawsze. Tak zupełnie nieodwracalnie, w co trudno było mi uwierzyć. Był od samego początku, a nawet wcześniej, i nagle go nie ma. Miał być zawsze, a go nie ma. Pogubiłam się w tym. Jak to, że go nie ma? Jak to, że to takie ostateczne i koniec?

Za to policja była wszędzie. Był młody lekarz sądowy, który pobierał mu odciski z granatowoczarnych palców. Słyszałam, jak taśma klejąca odlepiła się od jego skóry. Założył mu plastikowe torebki na dłonie i związał przy nadgarstkach. Następnie zabrał się do oględzin głowy, ale wtedy mama kazała mi wyjść. Zabroniono nam wchodzić do jego pokoju. Ojciec Yannika, Brunon Legrand, przychodził do nas trzy razy dziennie. Rodzice jeździli na komendę. Ściągnięto tłumacza przysięgłego z Nicei. Na jego ciele znaleziono kilka stłuczeń. Wszyscy więc zostaliśmy przesłuchani. Niektórzy wielokrotnie. Ja dwa razy. Chciałabym zapomnieć te ich pytania, ale jakoś ciągle je pamiętam. Czy mówił o samobójstwie? Czy kogoś się bał? Czy nie chciało mu się żyć? Czy był smutny? Dziwny? Małomówny? Czy zrobił coś głupiego? Tak, bardzo głupiego. W wieku szesnastu lat powiesił się na pasku od spodni faceta, w którym się kochał. Tak, był gejem i bał się o tym otwarcie mówić. Tak, wszyscy wiedzieli, ale każdy udawał, że nie wie. Tak, miał nas wszystkich dosyć. Wstydził się. Jak każdy chłopak w tym wieku, on też miał siniaki, skoki humoru i głupkowate pomysły. Był smutny i to też dla nikogo żadna nowość. Ale też wściekły i nabuzowany, bo jego wybraniec całował się ze mną. Bo to mnie kocha, a nie jego. Kazali mi to powtórzyć. A potem raz jeszcze. To im wykrzyczałam, w dwóch językach, żeby dobrze słyszeli. Żeby nie było wątpliwości, kto jest wszystkim winien.

I potem dali mi spokój. Potem był koniec. Bo nagle coś, do czego cała rodzina nie chciała się przyznać, było dla wszystkich tak jasne i oczywiste, że obeszło się bez dalszego dochodzenia. Nawet bez rodzinnej rozmowy. Pogrzebaliśmy wszystkie wyjaśnienia między sobą, razem z trumną Roberta, jak na wzorcową rodzinę przystało. Po cichu, za obłudną kurtyną smutku i wstydu. Po ośmiu niekończących się dniach przesłuchań mogliśmy go wreszcie pochować.

Rodzice zdecydowali, że zrobią to tu, na miejscu, we Francji. Załatwianie wszystkich pozwoleń, żeby przewieźć jego zwłoki do Polski... Nikt nie miał na to siły. Tak przynajmniej to wtedy rozumiałam. Kwiaty w ogrodzie Malwiny zwiędły niespodziewanie jeden po drugim i jedynie słońce nie zmieniło swego stałego rytmu. Dalej wstawało rano i kładło się spać późnym wieczorem. Przez ten czas nie wychodziłam z pokoju i oprócz policji prawie nikogo nie widziałam, choć dom powoli wypełniał się rodziną z Polski. Zastanawiałam się, jak to jest leżeć w wąskiej lodówce w kostnicy, a potem w drewnianej ciasnej skrzynce dwa metry pod ziemią. Na początku, zważywszy na panujące tu temperatury, musiało być przyjemnie, chłodno. Ale z czasem pewnie było mu zimno. Czułam, jak go telepie, i przerażało mnie to. Siedziałam opatulona w wełniany sweter przy czterdziestostopniowym upale. Ja w Gourdon, on w piwnicy szpitala w Grasse, tego, w którym raz był jako dziecko. On tam sam, ja sama tu. Nie spałam. Nie jadłam. Nie gasiłam światła. Rozchorowałam się, ale nikt nie zauważył. W domu taki ruch i zamieszanie, a on leżał tam w ciszy, beze mnie, bez niego. Marnix też nie opuszczał swego pokoju, chyba że na przesłuchanie. Nie wiem, o co go pytali. Nie wiem, co mówił. To bez znaczenia. Za to długo zastanawiałam się, kto i co zrobił z paskiem, na którym wisiał Robert i który dobrze znałam. Moje ręce czasami nieudolnie za niego chwytały. Pierwszy koniec świata w moim życiu miał miejsce, kiedy musiałam dzielić urodziny z Francuzem. Szesnastego sierpnia 1994 roku nastąpił drugi. I nie wiedziałam jeszcze, że będzie ich więcej.

Do jakiego stopnia trzeba być zdesperowanym, żeby przez zawód miłosny odebrać sobie życie? Jak to się dzieje? Jak to się robi? Gdybym wiedziała, co zamierza Robert, być może postąpiłabym inaczej. Może bym mu go odstąpiła. Może bym go mu trochę dała, pożyczyła ewentualnie...

*Zawinięty w srodek, z cieniem wokół powiek,*

*Strach rozpycha zaciśnięte dłonie. Beksa!*

*Podobno gdy umierasz, lecisz sobie, lecisz. Beksa!*

*Już nie wytrzymuję tempa, wszystko, kurwa, skręca. Beksa!*

*Straszna chała w głowie.*

*Więdną nasze lilie, więdną, gdy odchodzisz.*

*Tak mam: nie rozmawiam z nikim, z nikim się nie dzielę.*

*Tak mam: zachowaj resztę, wynoś się ze mnie!*<sup>12</sup>

10

Po dziewięciu dniach przygotowań dom wygląda tak, jakby nigdy nie stał pusty. Prawie czysty, wywietrzony, z walającymi się ubraniami. Zamieszkania. Oczywiście atmosfera nie ta, co kiedyś, ale to chyba lepiej. Tylko dzik jak zwykle spogląda na wszystko tym samym co zawsze spojrzeniem. Nad schodami w domu Malwiny, na ścianie pomalowanej na niebiesko wisi ogromna głowa dzika.

Dominuje nad przejściem i od pokoleń straszy. Nie wiem, kto upolował i wypchał to zwierzę. Nie wiem, kto je zawiesił. Jedno jest pewne: wisi tu, od kiedy pamiętam, i od zawsze się tego dzika boję. Jego nieruchome ślepie widziały już pewnie wiele. Omijam go wzrokiem jak mogę. On za to zawsze patrzy mi prosto w oczy.

Rano po samotnym śniadaniu jadę do Perfumowanego Źródła, żeby ukraść kilka kwiatów z uprawy. Od kiedy wróciłam, bywam tam dosyć często, wylewając wszystkie łzy, jakie we mnie zostały. Żeby nie miała czym płakać, jak tu będzie. Teraz miejsce, które kiedyś należało do rodziny Marnixa i było naszą kryjówką, zamieniło się w turystyczną atrakcję obejmującą „spacer olfaktoryczny i niezapomniane widoki” organizowane przez Galimard, jednego z największych producentów perfum we Francji. Teren jest ogrodzony, a wejście zagospodarowano i opisano drewnianą tablicą ogłoszeniową. Na pierwszej polance nadal rośnie lawenda. Metalowe zbiorniki na wodę wciąż tu są, tyle że zdążyły już zarosnąć trawami. Ponad dwadzieścia lat temu zmęczeni gorącem i znudzeni pracą kapaliśmy się w nich, zamiast podlewać krzewy, jak przykazał nam pan Lanteri. Nagrzana od słońca woda nie była nawet zimna, ale w tym upale i tak przynosiła orzeźwienie. A skóra na plecach ukochanego była niesamowicie gładka.

Rozkruszam kwiaty ukradzonej lawendy na porcelanowym talerzu zdobionym różyczkami. Teraz pachnie cała kuchnia. Siadam przy stole i siedzę tak cztery godziny. Tkwię w zeszywniałej pozycji. Zapach mnie odurza. Zastanawiam się, czy dobrze robię. Analizuję po raz setny wszystko od początku. Weryfikuję cały plan w głowie: sprowadzam go tu na trzy dni. Spędzimy je razem, jak starzy przyjaciele, choć przyjaźń z nim mnie przecież nie interesuje. Mam gdzieś przyjaźń. Ale w tych okolicznościach biorę, co mi dają, biorę, co mogę. I wiem, że na nic innego nie powinnam liczyć. Wbrew wszystkiemu, wbrew sobie, liczę jednak na wiele.

Pukanie do drzwi. Magnus.

– Dzień dobry – witam się.

– Cześć. Lubisz mięso z grilla? – zagabuje łamanym francuskim. Wydaje mi się nieśmiały. Olbrzym nie-śmiały.

– Jasne. Wszystko lubię. Widać chyba – ogłaszam, ręką wskazując moją sylwetkę, i od razu tego żałuję. Udaje, że nie rozumie. Albo rzeczywiście nie rozumie. Przechodzę więc na angielski.

– Lubię mięso z grilla.

Wyrzywa mu się coś podobnego do uśmiechu.

– To może przyjdiesz mi pomóc. Chyba przesadziłem z ilością – odpowiada zadowolony, że możemy rozmawiać w jego języku.

– Mam przynieść coś do picia?

– Nie. Jest wszystko, co trzeba.



Zostawiam drzwi otwarte i idę. Zawsze zostawialiśmy drzwi otwarte. Na jego ganku nie ma już połamanego krzesła. Resztki posprzątane. Igły świerków zamiecione. Tylko dlaczego nie mogę tak po prostu tam wejść? Dlaczego nie mogę przejść przez korytarz jego domu normalnie? Dlaczego patrzę na wszystko zachłannie, połykam wzrokiem każdy szczegół, aż od tego zerkania kręci mi się w głowie. Prowadzi mnie, idzie przodem, bo nie wie, że znam wszystko na pamięć. Znam za dobrze tę drogę. Meble zniknęły. Są za to nowe. Nie pasują. Za mało ich. Nie podobają mi się. I po sekundzie jestem już w jego ogrodzie. Po tej wycieczce przez przeszłość bez oddechu, przez zaledwie chwilę, ale zawierającą w sobie cały wszechświat, łapię wreszcie powietrze. To trwało wieczność.

– Na długo tu zostajesz? – pyta. Robi mi się słabo.

– Na zawsze – deklaruję i upadam na trawę.

Chowam głowę pod kołdrą. Jestem sama tam, gdzie kiedyś byłam z nim. Z nimi. Gdzie nikt nas nie znajdzie, nie dosięgnie, gdzie jest bezpiecznie i ciepło. Gdzie ciało przy ciele, dusza przy duszy i szepty. Z Robertem pod skórą, z Marnixem pod prześcieradłem, czasami w szafie. W tych najcudowniejszych kryjówkach światło przebijało na różowo.

Na pogrzeb Roberta Marnix przyszedł jak pies. Dosłow-nie. Mimowolnie obserwowałam całą scenę znad otwartego jeszcze grobu. Podjechali w trójkę swoim rozklekotanym Citroënem, jakby mieli daleko. Jeszcze biły dzwony. Nie chciał wysiąść. Ojciec go wyciągał na siłę. Upadł, wypychany z samochodu. Normalnie wyleciał z niego jak marionetka bez życia. Jego matka próbowała go podnieść, ale wyrwał się jej, krzycząc coś niezrozumiałego. Leżał tak bez ruchu obok auta, twarzą przy ziemi. Trwało to kilka dobrych minut.

Uczucie przerażenia, które rosło we mnie od ośmiu dni, wtedy, na widok Marnixa w garniturze, na kolanach, z głową na trawie, osiągnęło swój szczyt. To było ponad moje siły. Oblał mnie lodowaty pot i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Chciałam zwymiotować, ale nie miałam czym. Poza tym nie mogłam sobie na to pozwolić. Mama już wystarczająco cierpiała. Musiałam się jakoś trzymać. On za to pozwolił sobie na wszystko, na całe show. Do woli. Jakby to co najmniej on był z nim w jednym brzuchu. Dotarł na miejsce na czworakach. Powoli, jak wystraszony, czołgający się, chory pies. I dysząc, usiadł na ziemi przy tej wielkiej wykopanej dziurze. Nie wył. Raczej skomlił.

Scena w swej brutalności przebiła nawet widok Roberta wiszącego bez życia. Chciałabym o niej zapomnieć, ale widzę ją ze szczegółami w wyobraźni do dzisiaj i z przerażeniem stwierdzam, że nawet po tylu latach nie straciła na agresji. Później, na stypie, zapytałam, dlaczego to zrobił. Odpowiedział, że nie miał siły się podnieść.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy już poszli, zdobyłam się wreszcie na odwagę, żeby spojrzeć na kartkę, którą Robert na koniec ścisnął w dłoni. Nikomu o niej nie powiedziałam. Ani wtedy, ani nigdy później. Widział mnie z nią tylko wypchany dzik ze ściany nad schodami. A on nic nie powie, przynajmniej nie powinien. Wyciągnęłam ją z kieszeni. Usiadłam na łóżku i przeprasowałam palcami. Mój brat napisał na niej niebieskim długopisem, dużymi drukowanymi literami:

ODPOWIEDZIĄ JEST PATI.

PATI WIE I ROZUMIE.

I BĘDZIE WIEDZIAŁA RÓWNIEŻ, JAK TO WYTŁUMACZYĆ.

Tego się ludziom nie robi. Nie robi się tego tym, którzy zostają. Nawet jak się z nimi rosło w tym samym łonie. Ale uczynił to. Ukarzał mnie na zawsze, bez możliwości poprawy. Wiedziałam, że mnie winił, że to mnie chciał zrobić w swoją śmierć. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, z policją na czele. Ale dopiero teraz miałam na to dowód. Serce zaczęło bić przerażająco szybko. Nerwowo, spoconymi palcami podarłam papier na drobne kawałeczki. Najmniejsze, jakie się dało. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak je zjem, ale bałam się, że mnie uduszą. Wsiadłam więc na rower i jechałam w ciemną noc prosto przed siebie, dobrze znaną drogą. Sama przejeżdżałam koło domów, parkingów i naszych sekretnych miejsc. Skręcałam ostro obok nocnych pól z kwiatami. W końcu, pędząc co tchu i wyjąc z rozpacz, lekko rozchyliłam dłoń i wtedy te maleńkie kawałeczki jego wiadomości rozsypały się w powietrzu niczym konfetti. Kilka z nich przywarło do mojej mokrej dłoni i nie chciało się odkleić, jakby miały w niej zostać na zawsze. Musiałam je zdzierać siłą, ale parę i tak zostało.

Wracając nad ranem do domu, wemknęłam się do Marnixa. Nago przylgnęłam do niego w wilgotnym łóżku. Nie wyglądał dobrze. Nie zareagował. Przyjął mnie bez większych emocji, jakbym robiła to co noc. Spaliśmy razem, a raczej czuwaliśmy, bo sen nie chciał do nas przyjść. Przyklejeni do siebie. Spoceni z gorąca i przejęcia. Nie kochaliśmy się. Po prostu leżeliśmy wtuleni w siebie do rana. Nie było w tym nic erotycznego, nic dobrego nawet. Tylko strach, ból i ten jego zapach. Najcudowniejszy zapach na świecie, którym chciałam oddychać do końca życia. Czy Robert naprawdę był moim rywalem w walce o Marnixa? Nie wiem. Czy poczułam ulgę, wiedząc, że tego rywala już nie ma? Nawet dzisiaj, po tylu latach, boję się napisać prawdę.

\*

Po pogrzebie wszystko wreszcie ucichło oprócz myśli. Nawet dom zamilkł. Nikt nie rozmawiał, nie wołał, nie śpiewał. Czasami tylko usłyszeć można było urwane szepty. Na długie tygodnie dwa domy powlekła cisza. W przeciwieństwie

do mojej głowy, którą rozsadzał nieustanny huk.

Potem przez bardzo krótką resztę lata Marnix i ja nie rozstawaliśmy się już wcale. Trwaliśmy dokładnie tak, jak w noc pogrzebu Roberta: nieseksualnie przyklejeni do siebie. W przenośni i dosłownie. Trudno jest budować związek na wyrzutach sumienia. Na żałobie jeszcze trudniej. Próbowaliśmy jednak. Naturalnie zbliżyliśmy się do siebie. Byliśmy po prostu jednym. Zrozumieliśmy, że nie przetrwamy tego wszystkiego bez siebie. Nie damy sobie rady rozdzieleni, osobno, jedno bez drugiego. Postanowiliśmy więc, że będziemy razem. Mimo wszystko. Żeby to przeżyć.

Wrześniowy powrót do liceum okazał się jednak moim prywatnym koszmarem. Długi korytarz szkoły przywitał mnie kamienną podłogą, a wspomnienia wyleciały prosto z klas, okien i ścian wprost na moją spuszczoną głowę. Bez ostrzeżenia zaatakowały mnie i nie chciały przestać kąsać. Przypomniałam sobie Roberta, jak udaje pajaca, dumnie maszerując w slipkach, niczym modelka na wybiegu, ku uciechu wrzeszczącego tłumu. Dla żartu po WF-ie zabrano mi spodnie z przebieralni dla dziewcząt, Robert dał mi więc swoje, żeby ominął mnie ten wątpliwy zaszczyt. Teraz nie miałam jego wsparcia, a wszyscy nie przestawali o niego pytać. Wszyscy patrzyli. Szeptali: „Powiesił się. Powiesił!”. Szłam korytarzem sama i marzyłam, żeby zniknąć. Najbardziej samotny człowiek na świecie.

Tęskniłam za Robertem, ale jeszcze bardziej za Marnixem. On za mną też. Chyba pierwszy raz tak bardzo. Te wszystkie walki, jakie stoczyliśmy z naszymi rodzinami, wojny nawet... Rodzice nie chcieli już wracać do Gourdon. Bo taka hańba, taki smutek, takie wspomnienia! Samej też nie chcieli mnie puścić. Błagałam, ale bezskutecznie. Nie poddawaliśmy się jednak. Byliśmy gotowi na wszystko. On w jednym kraju, ja w drugim. I nasza pierwsza długa rozłąka rozlała się szeroko i momentalnie niczym mleko na stole. Rozdzielił nas ten rodzaj tęsknoty, który sprawia, że boli cię brzuch i podskakujesz nerwowo na każdy dzwonek telefonu. Przez następne dwa lata nasze życie sprowadzało się do liczenia dni. Nie potrafiliśmy sobie z tym poradzić. Za dużo tych rozstań, za mało powrotów. Tragedia zbyt nasza i zbyt prawdziwa. I myśl o tym, że Roberta już na zawsze nie ma... Moi dwaj chłopcy byli teraz we Francji, a ja tkwiłam w Polsce i czułam się bez nich taka samotna. Ostatni muszkieter. Od śmierci mojego brata Marnix się zmienił. Posmutniał, zmizerniał i zamknął się w sobie.

W nocy słyszę głosy bestii. Nawoływanie, ryczenie i mlaskanie. Rozrywanie zębiskami na strzępy. Tupot kopyt. Szelest pękających pod ich susami suchych liści. Trzepot skrzydeł i strojenie skrzypiec. Uginanie się gałęzi. Ćmy rozbijające

się o szyby okien. Pohukiwanie puchacza. Nie znam się na ptakach. Ja się ich tylko boję. Panicznie i niewytłumaczalnie boję. Jednak wiem, że puchacz to taka ogromna sowa. Wolę nie wyobrażać sobie rozpiętości jego skrzydeł. Słyszę mysz, konika polnego i nietoperza zataczającego kręgi pod kryształowym żyrandolem sypialni Malwiny i Claude'a. Wszystkie bestie niby takie polne i dzikie, ale jak przychodzi co do czego, to chcą spać w moim domu. Dlaczego?

Na grillu Magnus nie odzywał się wiele. Wystraszyłam go pewnie omdleniem. Przyznaję: dosyć intensywnie jak na drugie spotkanie. Szybko mnie ocucił, ale nie potrafił się potem rozluźnić. Ja też nie. Rzeczywiście zrobił za dużo mięsa, jakby zabił świniaka. Najadłam się na trzy dni, bo rozmowa się nie kleiła i trzeba było zająć czymś usta. A że sos, który przyrządził, był wyjątkowo pikantny, wypłam więcej piwa, niż powinnam, choć nie lubię. Wolę nie myśleć, jak wyglądałam i co mówiłam. Udało mi się jednak wyciągnąć od niego kilka informacji. Pochodzi z Teksasu i jest rozwiedziony. Ma firmę budowlaną. Przeniósł się do Francji, żeby zacząć wszystko od nowa. On zaczyna, ja kończę. Spotykamy się w Gourdon, na tym samym podwórku. Czy to nie dziwne?

Magnus, jeżeli tu jest, w dzień zamyka się w domu albo pracuje w ogrodzie. Wieczorami znika gdzieś, wyjeżdża autem i wraca nad ranem. Z zawodu jest podobno budowniczym. Umie budować domy. To po co kupił czyjś? I w dodatku stary? Mam nadzieję, że nie zamierza go burzyć, przerabiać czy remontować. Wystarczy, że wymienił meble.

Jestem zmęczona. Głowa nie przestaje boleć i od dwóch dni jadę na prochach. Upał mi nie pomaga. Jest coraz cieplej i nie mam apetytu. Robię się nerwowa. Im bliżej tego dnia, tym gorzej. Może powinnam wszystko odwołać? Raz na zawsze dać sobie spokój? Nie mogę. Za bardzo go kocham.

– Dlaczego to powiedziałaś? – spytałam, kiedy pierwszy raz wyznał mi miłość.

– Bo miałem to w gardle od dłuższego czasu. Już zaczynało mnie dusić, więc musiałem to wyrzucić. Teraz mi lżej.

– To powtórz.

– Uwielbiam cię.

Różne „pierwsze” rzeczy miały miejsce tamtej zimy. Na przykład śpiewanie mi przez telefon piosenek, które napisał w większości dla Roberta. Czy przysyłanie pocztą pięciolinii z nutami, których i tak nie umiałam odczytać. Brakowało mu go. Mimo że nawet przed tragedią częściej byliśmy przecież osobno niż razem, nagle poczuł, że naprawdę już go nie ma. Cierpieliśmy tę pustkę na odległość. Pisałam do niego listy. Dużo listów. Na początku mi odpisywał, potem coraz rzadziej. Aż do momentu, kiedy przesłał mi czystą białą kartkę ze swoim imieniem w prawym

dolnym rogu. Pustka na tym papierze przerażała swoją bladością. Do dzisiaj widok białej kartki wywołuje we mnie strach i nie chodzi o brak pomysłów na nowe książki.

Podczas następnego spotkania, w zimie, kiedy przyleciał na trzy tygodnie do Legnicy, odbyliśmy pierwszą prawdziwą żałobę po Robercie. Opłakiwaliśmy go kilka dni i nocy. Na głos, bez wstydu, szlochając. Kto mógł wtedy przypuszczać, że będziemy to przerabiać jeszcze nieraz, przez długie lata, na każde wspomnienie jego imienia. Dlaczego mi to zrobił? Dlaczego?! Ciągle czułam, że Robert jest obok, a przecież go nie było. Istniał we mnie, a chciałam, żeby się już wyniósł. Byłam na niego zła, że mnie zostawił. Jeszcze bardzo długo. Płakałam. Snułam się.

– Nie jesteś jedyną osobą, która za nim tęskni. Nam też jest ciężko. Nam też go brakuje. Nie zachowuj się, jakbyś była sama w tej żałobie. – Słowa Janka. Autentyczne. Nie ściemnam.

– To w żałobie można być z kimś? Nie wiedziałam – syk-nęłam.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie. Ja jestem w swojej samej. Byłam i zawsze będę. Bo bez niego.

Marnix i mama przejrżeli wszystkie rzeczy mojego brata. Ja się wycofałam. Uporządkowali je i wynieśli do piwnicy. Jego pokój stał się teraz pokojem odwiedzających, w którym Francuz miał swoje łóżko i więcej miejsca w szafie. Nie, teraz miał całe miejsce w szafie. Na nic zresztą, skoro każdą noc spędzał u mnie. Po naszym pierwszym razie, który nastąpił właśnie wtedy, zapytałam go, czy jego też bolało. Spojrzał na mnie zdziwiony i z ogromną powagą odpowiedział grobowym tonem:

– Ale co?

– To... Ta miłość.

– Chyba nie. Nie wiem. Byłem w szoku.

Nie jestem pewna, czy mówiliśmy o tym samym.

Chciałabym opisać więcej zdarzeń z mojego dzieciństwa, więcej rzeczy z młodości, więcej wesołych przygód świętej trójcy, bo były ich setki, jeśli nie tysiące. Jednak tragedia przyćmiła je wszystkie, przytłoczyła i raz na zawsze są przede mną schowane. Nie potrafię ich odkopać, odtworzyć ani odświeżyć. Nie znajduję do nich klucza. Zalegają gdzieś na dnie mojej podświadomości, ale już nie udaje mi się po nie sięgnąć. Są, ale ich nie ma.

W końcu, po dwóch latach, zdaliśmy maturę i mieliśmy jedną szansę na bycie razem: studia w tym samym mieście. Nicea. On studiował muzykę, ja pedagogikę. W dzień naszej przeprowadzki do metropolii wyprawiliśmy wielką fetę w jego domu. Udało nam się śmiać w głos, do łez, do rozpuku. Staraliśmy się.

Malwina najbardziej, ale i tak w końcu ktoś o nim wspomniał, przywołał go i tak zostawił. Plakaliśmy więc, jak za każdym razem, kiedy Robert pojawiał się w naszym życiu. Ale i tak miło wspominam ten dzień.

Upał, wino, plaża, miłość i nauka. Byliśmy szczęśliwi i zakochani, choć mieszkanie razem na czternastu metrach kwadratowych w akademiku nie było łatwe. Cztery lata. Zamiast krwi miałam w żyłach dźwięk tej gitary. W aorcie jego głos. Drzwi wytrzymały trzaskanie, ściany zniosły krzyki. Ale że ten materac pod nami nie spłonął, to jakiś cud. Kiedy nie było już miejsca absolutnie na nic więcej, na żaden dodatkowy oddech, on uciekał w muzykę, a ja w pisanie. Marnix nigdy z tej dezercji nie wrócił.

Uczyliśmy się siebie na nowo. Poznawaliśmy się, odkrywaliśmy. Wyruszyliśmy w nową podróż i przygodę. Marnix nie sortował sztucców w przegródkach kuchennej szuflady. Doprowadzało mnie to do szału. Jak się mieszka we dwójkę w niewielkim pokoju, to trzeba zachować porządek, inaczej się ginie w nieładzie. To do niego nie przemawiało, był bałaganiarzem. Za to kazał mi się nauczyć wszystkich szczepów francuskiego wina, regionami, na pamięć. Pinot noir, chardonnay, cabernet sauvignon, merlot, cabernet franc, sémillon, sauvignon, gamay, mondeuse, chasselas...

W wieku dziewiętnastu lat zaczęłam drugie życie. Cho-ciaż może powinnam je nazwać tym właściwym, a nie drugim, jako że było jedynym, które tak naprawdę przeżyłam świadomie, w dodatku w większości dobrze. W związku daliśmy z siebie wszystko, przynajmniej tak to dziś oceniam. Kochałam bezgranicznie, starałam się, dawałam i brałam. I bałam się do tego przyznać, ale zapewniało mi to pełnię szczęścia.

A potem była już tylko gitara. Gitara i muzyka ponad wszystko. Kiedyś rywalizowałam o niego z bratem, teraz z instrumentem muzycznym. Aż w końcu zrozumiałam, że nie chcę, żeby musiał wybierać. Chciałam zakończyć te wyścigi raz na zawsze. Podałam się i zamieniłam w tło. Było nam wtedy najlepiej na świecie. On gwiazda, ja jego muza i wszystko się zgadzało.

- Zapamiętaj ten moment – przemówił kiedyś pod kołdrą.
- Dlaczego właśnie ten?
- Bo ten jest najcudowniejszy z cudownych. Światło jest idealne. Temperatura pod chmurami białej pościeli odpowiednia. Tak jak dźwięk i widok. I to uczucie, że mamy tyle czasu, że nie wiadomo, co z nim robić. Tyle czasu razem!
- Zmarnujmy go więc, tak jak teraz. Idealnie – zaproponowałam.
- Zmarnujmy. Do samego końca!

12

Dziś obudziłam się przygnieciona ciężarem TEGO. Leżę i ledwo oddycham. Wkrótce będę zmiażdżona. Już nawet nie „będę”. Słusznym stwierdzeniem okaże

się tylko: zmiażdżona. Bez czasownika „być”. Muszę przestać o tym myśleć. Wychodzę przed dom. Znów jest upał, czy mam gorączkę? Ledwo da się oddychać. Siadam. Mrówki i pająki opanowały taras z kamienia. Labirynt pęknięć i odłamków wygląda jak pomarszczone lico starca wysuszone słońcem. Mrówki przemieszczają się po nim zaaferowane, w pośpiechu, dźwigają okruszki bagietki wielkości słońca. Poci mi się twarz, gdy je obserwuję. Im pewnie też.

Nie wiem, co mnie napadło. Weszłam tam bez pukania. A przecież nie jest to teraz jego dom, ale dom Magnusa. Zapomniałam się. Jestem tu już drugi raz od powrotu, ale dopiero zauważam, jak tu czysto. Można by jeść z podłogi. Nie ma kurzu, nie ma plam ani porozrzucanych przedmiotów. Jak w szpitalu. Czy Magnus ma obsesję? Zastaję go w kuchni, siedzącego przy stole i wpatrującego się w ekran przenośnego komputera. Na mój widok zamyka go gwałtownie i pyta zdenerwowany:

- Nie wiesz, gdzie jest dzwonek?
- Przepraszam. Myślałam, że... Chciałam o coś zapytać.
- Słucham.

Nie prosi mnie do stołu. Stoję więc, a on siedzi. Krzyżuje ramiona i patrzy na mnie wyczekująco. A ja się jąkam jak złodziejka żarówek:

- Znasz ludzi, którzy byli wcześniej właścicielami tego domu?
- Nie.
- Od kogo go kupiłeś?
- Był wystawiony w agencji nieruchomości w Grasse, a co?
- Wiesz, do kogo należał? – Nalegam. Nie podoba mu się to, zgaduję z jego

miny.

– Do jakiejś Holenderki chyba, bo jej prawnik podpisywał za nią papiery podczas kupna u notariusza. Dlaczego pytasz?

- Za parę dni będę miała gościa.
- I co to ma wspólnego z poprzednimi właścicielami mojego domu?
- To ich syn. Mieszkał tu przez większą część swojego życia.

Informacja nie robi na nim wielkiego wrażenia. Nie pyta, skąd go znam, skąd o tym w ogóle wiem. Nie pyta, czy jestem stąd, czy dom obok to mój dom i gdzie wcześniej byłam. W ogóle nigdy o nic mnie nie pyta. Przytakuje tylko. Facet nie wie o mnie nic. Myślę o tym, obserwując jednocześnie jego kuchnię. Wszystko tu błyszczy i lśni. Mimo nowych mebli zachowała dawny kształt. Lodówka też jest w tym samym miejscu. Przyczepiono do niej zdjęcie małej dziewczynki, mniej więcej trzyletniej, z blond lokami. Kiwnięciem głowy wskazuję na fotografię i zadaję pytanie:

- A to kto?
- Nie twoja sprawa. Idź już.

Po rozmowie, z nadmiaru czasu, o ironio losu!, jadę do merostwa w Gourdon. Intuicja mnie męczy. Każe mi go sprawdzić. Pytam o aktualną listę mieszkańców. Pani w okienku nie jest dla mnie miła. Przy adresie widnieje jego imię i nazwisko: Magnus Heilbron. Amerykanin. Jest cztery lata starszy ode mnie. Niczego więcej o nim nie ma. Nikt nie chce udzielić żadnych informacji o moim nowym sąsiedzie. Sprawdźmy więc, co wie o nim wyszukiwarka internetowa. Kolejne zdziwienie: ten Magnus w internecie nie istnieje. Mając czterdzieści dwa lata, nie został jeszcze namierzony przez Google'a. Nawet nie ma konta na Facebooku. Dziwak. Szukam długo, ale niczego nie znajduję. W końcu trafiam na stronę wyjaśniającą pochodzenie imion. Z nudów czytam chociaż to. Imię Magnus było noszone przez szwedzkich i norweskich królów i świętych. Liczba imienia Magnus wynosi trzy, co równa się radosnemu podejściu do życia i przynosi szczęście. Magnus nie przejmuje się opiniami innych, żyje na własny sposób, nie ma łatwego charakteru. Stąpa mocno po ziemi. Pasujące imiona damskie: Patrycja. Za-mieram na chwilę. Co za nonsens! Potem odruchem Pawłowa sprawdzam to drugie imię na M. Marnix posiada -dobrą pamięć, zwłaszcza w dziedzinie uczuć, i moralność o wyjątkowej sile. Ciekawe... Czuje się dobrze tylko we własnym świecie. Oczywiście. Numerologiczna siódemka. Wrażliwy introwertyk, indywidualista i romantyk. Niepasujące imiona: Remigiusz. Jasne...

Na imprezach z Marnixem byłam radarem. Obserwo-wałam kobiety i mężczyzn, po prostu wszystkich, którzy się wokół niego kręcili. Coraz to większe tłumy. Pil-no-wa-łam go, analizowałam rozmowy, spojrzenia i sytuacje. Wykańczałam siebie i nas. Na dodatek coraz częściej, pojawiała się przy nim ta piękna dziewczyna: Bianka. Ciągle przychodziła na ich próby i koncerty w barach. Gdzie był Marnix, tam też była ona. Wiem, że jej się podobał, bo zobaczyłam to w jej oczach już za pierwszym razem. Kiedyś po pijanemu ogłosiła wszystkim, że go kocha. Trzymałam go od niej z daleka. A po niej była jeszcze Magalie, Veronique, Patsy, Megan, Ola, Srola i cholera jeszcze wie kto. Długo to wszystko trwało i po latach zaczęłam zadawać sobie pytania: Kto kogo wystawił do wiatru? Kto zostawił? Kto odszedł? Nie byłam pewna, zastanawiałam się ciągle, kto miał dosyć i które z nas przestało walczyć, poddało się? Jakby miłość miała być zawsze walką. Wyzwiska były? Były. Przepraszanie się było? Było. Łzy były? I to ile! A odpuszczenie sobie tego wszystkiego było? Nie, nie było.

W Polsce bywaliśmy dosyć często. Miałam wrażenie, że rozumiał ten kraj biegnący do przodu niczym rozpędzony pociąg, który trudno zatrzymać. Chwilami na oślep. Czasami jednak wyglądał na zdziwionego. Ale jakimi słowami miałam mu tłumaczyć wędzone szprotki i kąpiele w siedemnastostopniowym Bałtyku, skoro on był z kraju ostryg i ciepłej lazurkowej wody? Jak mógł zrozumieć chęć



posiadania jeansowej katany, kiedy sam miał trzy? Zapisy na mieszkanie? Kartki na żywność? No błagam! Picie słodkiego wina, zrobionego niekoniecznie z winogron, było szczytem rozbieżności kulturowych i społecznych, przypieczone perfumami Być może. No i nie chciał oglądać *Akademii pana Kleksa*. Wołał *Wojnę Guzików*<sup>13</sup>.

Przez większość czasu przeżywaliśmy dobre chwile. Ale nie potrafię opisywać tylko tych. Nie chcę jednak, żeby poprzez mój negatywizm wyszło, że nigdy nie było nam ze sobą dobrze. Było. Najczęściej było nam właśnie dobrze. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach świetnie. Ale oczywiście to ten jeden procent zaważył na naszej decyzji o rozstaniu. Jeden procent czego?

– Kocham cię.

– Za to, że masuję ci stopy?

– Za to też.

– To będę ci je masował do końca życia. Nawet jak już będziemy parą staruszków, z pożółkłymi paznokciami i przesuszoną pomarszczoną skórą na nogach.

– Słowo?

– Słowo.

Przez okno w kuchni obserwuję, jak Magnus pakuje sportową torbę do samochodu. Potem jeszcze jedną, mniejszą. Dorzuca też kalosze i łopatę. Może pracuje teraz na budowie. Tylko dlaczego wieczorem? Wychodzę na podwórko, kiedy odpala silnik. Macham, żeby mnie zauważył, zanim odjedzie i podchodzę do auta.

– Lubisz ciasto? – wypalam, kiedy opuszcza szybę.

– Lubię.

– Jakie?

– Każde.

– To dobrze.

Odsuwam się, bo nie mam już nic więcej do powiedzenia. Wtedy rusza powoli, patrząc na mnie zdziwiony. Odjeżdża, kiedy zachodzi słońce. Miałam zapytać, gdzie jedzie, ale chyba nie interesuje mnie to aż tak bardzo. Zastanawiam się nawet, po co zapytałam o to ciasto. Przecież żadnego nie potrafię zrobić. Ale chcę go przeprosić za to zemdlenie na grillu i wtargnięcie do jego domu.

\*

Kręgosłup ukryty pod progiem świadomości staram się trzymać prosto. Boli od ciągłego siedzenia w tej samej pozycji i od laptopa trzymanego na kolanach. Długie godziny zadumy nad klawiaturą dają mu w kręgi. Trzydzieści cztery kręgi zespolone wyrzutami sumienia trzymają mnie razem, żebym się nie rozpadła,

żebym dała radę. Muszę bardziej dbać o kręgosłup, tak poradził lekarz. Muszę się prostować. Boję się powiedzieć, że się boję, bo nie wypada. Ale drzę jak liść na wietrze przed tym spotkaniem. Włączyłam pierwszą płytę Marnixa. Surowe piosenki, surowe teksty. Miał flaki na wierzchu, kiedy je śpiewał. Nasz najczęstszy dialog:

– Co robisz?

– Szukam słów.

Wariant numer dwa:

– Co robisz?

– Szukam nut.

Byliśmy zaskakująco monotematyczni jak na zakochaną parę. Teraz tęsknię nawet za tymi rozmowami.

Może przez te wszystkie wymuszone sytuacją rozstania nasz związek był tak silny? Od początku między Polską a Francją, a potem między moimi studiami a jego muzyką była zawsze wielka przepaść. Kiedy zaczęłam uczyć w szkole, on pojechał w trasę. Pracowałam w Nicei, on latał po Europie. Zawsze długie tygodnie, czasami nawet miesiące byliśmy zmuszeni funkcjonować daleko od siebie. Czekać, tęsknić, męczyć się. Czyżby to wyczekiwanie było kluczem do udanej relacji, cudownym lekiem na wszystkie problemy i spoiwem naszej miłości? Cierpiałam wtedy niesłychanie, a teraz, z perspektywy czasu wydaje mi się, że to właśnie trzymało nas razem. Paradoksalnie: rozłąki. Długie, straszne rozłąki, gdy tygodniami żyłam bez niego jak w ciemności, wisząc na telefonie. Bałam się, że do mnie nie wróci. Bał się, że go nie przyjmę. A jednak wyłącznie w tych ramionach dobrze się oddychało. Przecież był we mnie zakochany. W pierwszej, trzymiesięcznej trasie koncertowej po Francji schudł siedem kilo. Wrócił z podkrążonymi oczami i wielkim uśmiechem na twarzy. Prawie go nie poznałam. Wykończony, ale szczęśliwy. W swoim żywiole.

Kilkanaście piosenek później porzuciłam dopiero co rozpoczętą pracę. Jego muzyka utrzymywała nas oboje. Jedliśmy w dobrych restauracjach, spaliśmy w eleganckich hotelach i odpoczywaliśmy na rajskich plażach. Gwiazdy spadały nam z nieba jedna za drugą, prosto do otwartych dłoni. I stać nas było na dobre wina. Korzystałam z życia, jego hojności i miłości. Aż do momentu, kiedy rozstaliśmy się na dobre. Do naszych trzydziestych urodzin. Potem musiałam radzić sobie sama. Zaczynać wszystko od początku, w pojedynkę. Ale o tym później.

Oboje wiedzieliśmy, że to przez nas, a raczej może przeze mnie, Robert odebrał sobie życie. Ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. To była jedna z tych spraw, do których nie chce się wracać, ale jednocześnie ma się ją cały czas pod powiekami. Jak wtedy, kiedy znajdujesz pogiętą kartkę z listą zakupów,

zapomnianą na dnie kieszeni płaszcza. I chcesz, żeby zniknęła. Modlisz się o to. I nie możesz jej normalnie wyjąć i wyrzucić do kosza, bo się boisz.

– Potrzebuję pięciu minut. Daj mi pięć minut, okej?

– Słuchaj, jak chcesz to... Chcesz odwołać to wyjście? Możemy odwołać spotkanie. Nie ma problemu.

– To jego chcę odwołać. Rozumiesz? Jego, a nie nasze spotkanie. I to najlepiej raz na zawsze. Odwołać i skasować. – I nie musiałam nawet wyjaśniać mu, o kim mowa. Doskonale to wiedział.

– Nie mów tak, Pati. To był twój brat. Mój przyjaciel.

Na południu Francji jest niesamowite światło. Zarówno dzienne, jak i nocne jest niepowtarzalne, ale za najpiękniejsze uważam to nad ranem. Szarówka nigdzie indziej nie ma tylu kolorów, iloma mieni się w Gourdon – fioletem, różem pól, błękitem wczesnego nieba. Półmrok przykrywa wszystko w magiczny sposób właśnie tu, wtedy i teraz. I jest to jedyne miejsce, gdzie lubię wstawać o świcie. Choć wynika to raczej z faktu, że się nie kładę. Otwieram przymknięte okiennice i wpuszczam całe to piękno do kuchni. Tak jak on wpuszczał tu kiedyś muzykę. Wtedy, kiedy te piosenki należały tylko do nas. Dziś znowu idę do Perfumowanego Źródła. Do jego ulubionego zakątka z czasów dzieciństwa. Był szczęśliwy, kiedy tu z nim przychodziłam. Może dlatego ciągle w to miejsce wracam, jakbym miała nadzieję, że go spotkam, choć to nedorzeczne przecież. Amsterdam jest trochę za daleko... To tak jak z tym czekaniem na mnie na schodach. Wiadomo, że Marnixa tam nie ma, a i tak go bez przerwy wyglądam. Czuję tu jego obecność i nic na to nie poradzę.

Dziś na polanie lawendy niespodziewanie znajduję coś dziwnego. Drewniane krzesło stoi nieopodal drzewa, dokładnie w tym miejscu, gdzie najczęściej siadam. Podchodzę, oglądam je jak jakiś magiczny przedmiot, ale nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Widać, że jest nowe. Kto je tu przyniósł i w jakim celu? Rozglądam się, ale nikogo nie widzę. Spłoszona, nie mam odwagi na nim usiąść. Szybko wracam do domu i chce mi się płakać, bo jest tylko jedna osoba na świecie, która wie, że właśnie tu lubię siadać.

13

Z Marnixem czułam się dobrze. Przy nim się nie bałam. Z nim było cudownie i bezpiecznie. Ubóstwiał mnie i lubił słuchać historii o białym kleju w tubce na szczoteczce do zębów podrzuconej na obozie harcerskim w Lu-biatowie. O kartkach na proszek i o graniu w gumę do późnego wieczoru na podwórku przy trzepaku na legnickich Piekarach. Troszczył się o mnie, kiedy przy mnie był. A kiedy go nie było, śpiewał dla mnie do telefonu. Co ja bym zrobiła bez tej szarej słuchawki, która regularnie rozgrzewała mi się w dłoni?

W dzieciństwie lubiłam zostawiać mu coś do jedzenia na progu jego domu. Coś, co mógł zjeść i się nie rozchorować. Najczęściej maliny. Później nauczyłam się w końcu gotować te wszystkie jego dziwne dania, mięsa i ryby z warzywami. Moim ulubionym posiłkiem zawsze było śniadanie. Tosty, rogaliki, dzemy, płatki, naleśniki. Jednak po przeprowadzce na nasze czternaście metrów kwadratowych pozostały wyłącznie jajka i owoce. Płatki jaglane na wodzie czekały kilka tygodni. Po-lubi-łam je ostatecznie. Dziś są najlepszym śniadaniem na świecie.

To, że Marnix nagrał w końcu płytę i został zawodowym muzykiem, nie jest tematem tej książki. Pomijam to celowo. Oczywiście jego trasy koncertowe, w tym jedna prawie roczna, miały wpływ na nasz związek, ale -dokładnie w takim samym stopniu, co inne nasze rozłąki, więc nie przywiązuję do tego wielkiej wagi. Przez rok spędzony na promocji swojego albumu wracał co trzy miesiące na kilka dni do domu, podczas których chorował. Jego organizm wytrzymywał napięcie tam, wśród adrenaliny, fanów i muzyki. W domu poddawał się pierwszej nocy i odmawiał posłuszeństwa. Musiał się zregenerować, żeby mieć siłę dla nich. Dla mnie jej nie miał, ale ja jej nie chciałam. Muzyka była przecież jego życiem, a on był moim. Wszystko się zgadzało. Dla nich był tylko gwiazdą, dla mnie był bogiem. Chodziłam na palcach. Nie chciałam go obudzić. Nie potrafiłam jednak nie patrzeć, jak śpi. Obserwowałam więc, jak bezszelestnie oddycha, stawałam się spojrzeniem na te krótkie minuty, kiedy leżał wreszcie w naszym łóżku. Unosiłam się nad ziemią z radości. W powietrzu jego zapach, a gitara na ziemi. Przejeżdżałam palcami po jej futerale. Nigdy nie było na nim kurzu. Na mojej skórze czasami odrobina.

Po południu jadę do Châteauneuf po zakupy. Znalazłam przepis na tartę z owocami, który wygląda na wykonalny nawet przez gospodynię inteligentną inaczej. Może się uda. Kupiłam składniki i zaraz po powrocie zabieram się do roboty. Dawno nie gotowałam. Nie wiem, co mi odbiło. Chyba zżera mnie stres przed spotkaniem z Marnixem. Tarta z morelami stoi już na moim stole. Pachnie w całym domu. U mojej mamy zawsze pachnie ciastem. U mnie pierwszy raz. Następnym etapem będzie tarta bezglutenowa. Co jakiś czas wyglądam, by sprawdzić, czy auto Magnusa nie stoi przed domem. Jestem niespokojna. Nie wrócił w nocy, nie wrócił rano. Teraz też go nie ma. W końcu idę z tym ciastem, bo może nie słyszałam, jak podjechał i zaparkował przy drodze. Pukam, dzwonię. Nie odpowiada. Mam ochotę wyważyć drzwi, ale tego nie robię. Wbiec na górę i schować się pod kołdrą Marnixa, której tam już przecież nie ma. W końcu zrezygnowana zostawiam całe ciasto na progu jego domu. I patrząc na to, czuję się nagle źle i nieswojo. Tysiące razy zostawiałam mu coś na tym progu, a teraz robię to dla kogoś innego. Biegiem wracam do domu.

Pewnej nocy, kiedy nie mogłam zasnąć i zapisywałam myśli w pamiętniku, Marnix obudził się i z troską próbował przekonać mnie, żebym wróciła do łóżka. Powinnam się wyspać. To ważne. Żeby nie zawałała pracy, obrony, praktyk, uczenia. Chwilami miałam wrażenie, że to było dla niego ważniejsze niż dla mnie. Tak mniej więcej wyglądała troska w jego wykonaniu:

– Pisanie zostaw mi. Ja tu od tego jestem. Ja jestem od piosenek, muzyki, tekstów i całego tego tworzenia. A ty tu jesteś od nauczania. Od ratowania innych. Ważne rzeczy, a nie górnolotne i ulotne pierdoły. Rozumiemy się? Każdy ma swoje zadanie. Swoją robotę. Ja tworzę. Ty nauczasz. I w tym jesteś dobra. – Tak powiedział. Bzdury. Nie jestem i nigdy nie byłam. Nikogo nigdy niczego nie nauczyłam. Nawet nie potrafię nauczyć siebie. Zrozumieć pewnych rzeczy. Nic nie potrafię. Je-stem zerem.

Bywało też źle. Nawet bardzo źle. Bo ile można mówić o gitarach i przestawiać wzmacniacze? Ile można imprezować? Wlewać w siebie? Dużo, za dużo, za często. Zawsze byłam rannym ptaszkiem. On lubił spać do późna. Lubił też trzaskać drzwiami. Kazał mi wszystko wykrzyczeć: ich imiona i kolory włosów. Obrzucić go najgorszymi epitetami, żeby mi ulżyło. Żeby mogła o nich zapomnieć, zmyć z niego ich zapach, choć przecież się nie da. Żebyśmy mogli się pogodzić, tak jak on chciał, bo beze mnie nie mógł. Nie pomagało. Spędzaliśmy coraz mniej czasu razem. Pojawiał się sporadycznie. Był zajęty. Jak się widzieliśmy, to nieodmiennie chorował. Odsypiał, odpoczywał, zdychał. Stawałam się pielęgniarką, bo ciągle wszystko go bolało, a najbardziej głowa. Kiedyś tak bardzo, że wymiotował. Innym razem płakał pół nocy jak dziecko, a nad ranem jęki zamienił w krzyki. Stawało się to nie do zniesienia.

– Ciszej, błagam – ciszej!

Muzyk chciał ciszy, to mu ją dawałam. Dobrze czyta się w ciszy. Pisze jeszcze lepiej.

Droczyliśmy się często. Zrobił się uparty i zazdrosny. A przecież z nas dwojga to on chodził oklejony fankami. Wydzierał się, złościł. Zdarzyło mu się rzucać obelgami. Potem przeproszać na kolanach. I każde jego słowo mam do dziś wryte w sercu. Każde z nich wypisane na twarzy, w liniach na czole i sinym błękitem pod oczami. Marnix miał trudny charakter. Zawsze musiało być tak, jak on chciał. Jednak chwilami myślę, że kłóciliśmy się tylko dlatego, że lubiliśmy się godzić. Pod prześcieradłem. Ale najlepszą metodę rozwiązywania konfliktów na świecie i tak miała Malwina. Kiedyś, jeszcze na studiach, pokłóciliśmy się tak bardzo, że uciekłam z akademika i pojechałam do domu w Gourdon. Moja ciotka z miejsca zrozumiała, o co chodzi.

– Twój pokój na ciebie czeka, kochanie. Możesz tu zostać na zawsze, jeśli zechcesz – przywitała mnie na werandzie i patrzyła, jak rzucam jej piorunujące spojrzenia. Chciałam, żeby mnie pocieszyła, a nie dobiła. Mam mu przyznać rację?

Mam go zostawić? Po czyjej stała stronie?! Załamana i wściekła, schowałam się na górze. Na drugi dzień pojawił się Marnix. Nic nikomu nie powiedział. Krążył to po podwórku, to po domu i do nikogo się nie odzywał. Malwina obserwowała jego naburmuszoną minę, po czym podeszła.

– Nie możecie się dogadać? – zapytała, kiedy usiadł na schodach i chwycił za gitarę.

– Nie możemy – odburknął.

– To przestańcie.

– Co mamy przestać?

– Gadać. – Podkreśliła stanowczym tonem. Zabrała mu instrument i przyprowadziła do mojego pokoju. Udawałam, że czytam. Marnix rzucił mi niezadowolone spojrzenie, ale go zignorowałam. Ciotka przymknęła okiennice, zostawiając cienkie strumienie światła przedzierające się do pokoju. Zaintrygowani, ob-serwowaliśmy, co robi. W końcu stanęła w drzwiach i ogłosiła:

– Macie trzy godziny na dogadanie się bez słów. I ani minuty więcej. Po tym czasie przyjdę tu i sprawdzę, co się dzieje. Trzy godziny ciszy i ani słowa! To wasza szansa, nie zaprzepaście jej. I nie oszukujcie, bo nie odpuszczę!

Zamknęła nas na klucz i zostawiła z otwartymi buziami. Po dwunastu minutach wspinałam się na niego nago. Konflikt został zażegnany.

A teraz ktoś krzyczy mi do ucha. Drze się wniebogłosy. Zaciskam powieki. Błagam, niech przestanie! Budzę się. To dzwonek do drzwi. Ledwo otwieram oczy. Jest siódma. Kto może dzwonić o tej porze? Dopiero świta. Piję duszkiem zimną kawę. Schodzę, trzęsę się, otwieram drzwi. Magnus stoi na progu w kaloszach, choć nie padało tu, od kiedy przyjechałam.

– Jeżeli nie jadłaś jeszcze śniadania, to zapraszam do siebie. Mam ciepłe croissanty. Skusisz się?

Przecieram oczy i skupiam się na tym, co mówi. Serio? O tej porze? W ręku rzeczywiście trzyma papierową torbę z piekarni.

– Wejdz.

Nie mam siły iść do domu obok. Zjemy tu. Wchodzi i nieśmiało rozgląda się po domu. Zamiera na widok wielkiego pyska wypchanego dzika. Stoi dłuższą chwilę przed schodami i patrzy na niego zaintrygowany. Wiem. Mimo że oglądam ją od lat, na mnie bestia też wciąż robi wrażenie. Prowadzę gościa do kuchni. Wstawiam ekspres do kawy.

– Ciasto było dobre? – pytam w końcu, bo nic nie mówi.

– Chyba tak.

– Chyba?

– Nie wiem, jaki leśny zwierz je zjadł, ale stawiam na dzika. Takiego jak ten tam na ścianie, tylko mniejszych rozmiarów. Widziałem ślady racic przy wejściu.

Nic nie zostało, więc podejrzewam, że było pyszne.

– Świetnie. Następnym razem zrobię dwa. Jedno dla ciebie, drugie dla dzika.

Podnosi brwi, ale się nie uśmiecha. Nalewam nam kawy. Pyta o cukier. Nie mam. Prosi o mleko. Nie mam. Wypija łyk czarnej i się krzywi. Próbuję croissanta i rozkoszuję się jego smakiem. Tyle lat ich nie jadałam. Jemy chwilę w ciszy, obserwuje mnie, aż w końcu się odzywa:

– Ten facet, który tu przyjedzie, wychował się w moim domu? – I od razu puls mi przyspiesza.

– Tak.

– W takim razie będziesz musiała go o coś zapytać.

– O co?

– Kiedy zabierze swoje rzeczy.

– Jakie rzeczy? – Jedzenie staje mi w gardle.

– Jeden z pokoi nie został opróżniony. Właścicielka powiedziała agencji, że ktoś przyjedzie po to później, ale do dziś nikt się nie pojawił. Nie wiem, co mam z tym zrobić. Skoro on ma tu być, to pewnie po to. Ale dlaczego nikt się nie pofatygował, żeby mnie zawiadomić?

W nagłym i nierozważnym przyplwywie odwagi proszę, żeby pokazał mi pokój i jego zawartość. Wiem, że Marnix nie po to tu przyjeżdża, ale nic nie mówię. Może planuje dwie wizyty? Idziemy do niego. Prowadzi mnie na górę. Z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej żałuję mojej brawury. Wiem. No jasne, że wiem gdzie. Wiem jak cholera albo jeszcze gorzej. I choć udaje mi się nabrać powietrza, zanim otworzy drzwi, i złapać się ściany, zanim wzrok przyzwyczai się do półmroku tam panującego, to i tak podmuch jego zapachu odurza mnie. Oddycham nim. Tak. Oddycham. Zaciskam framugę w pięści. Trzymam ją. Albo ona mnie trzyma. Stoję. Cały pokój wzmacniaczy, kabli, mikrofonów, strun, nut i gitar. Jego pokój, jego gitary, jego kable. Jego cyrk. Jego małpy. Łóżko stoi, jak stało. Kołdry brak. Wciągam wszystko wzrokiem w cztery sekundy i zatrząskuję drzwi.

– Nie, nie mam pojęcia, dlaczego to tu zostawiono.

Nuty. Nutki. Czarne małe słówka. Chrypka, kaszel, alergia. Zapalenie gardła, krtani, oskrzeli. Angina, przeziębienie, grypa. Do wyboru, do koloru. Pogotowia, karetki, recepty. Leki. I modlenie się, żeby do koncertu mu przeszło. Nie będę się rozpisywać o nerwach przed kamerą ani o tremie przed pierwszymi występami. O naszych krótkich spotkaniach, na których odsypiał sławę, i kiedy odpoczynek dla głosu był koniecznością. Koszmary o afonii nie pozwalały na długie rozmowy. Chwile milczenia przeciągały się więc w godziny ciszy, żeby uratować krtań, na której spoczywał ciężar kreowania melodii. Za to dźwięki gitary rozsadzały mi głowę. Struny i palce z pancerzem zamiast skóry nie musiały już odpoczywać.

Ścisnął ją w swoich ramionach godzinami. Obserwowałam, jak gra, i miałam wrażenie, że to z nią się kocha, a nie ze mną.

Czasami jeździłam z nim na koncerty. Rzadko, bo nie lubiłam się nim tak publicznie dzielić. Stałam wtedy za sceną, pod sceną i przed sceną. W ciemności, oparach papierosów i w światłach reflektorów. W środku, na zewnątrz. W słońcu i w deszczu. Pośród dziesiątek głosów śpiewających znane na pamięć słowa. Wśród krzyków i westchnień zachwytu. Czekałam na niego, aż skończy występ, próbę, wywiad, nagranie, spotkanie. Kiedy zostawałam w domu, dzwonił i grał mi do słuchawki albo wysyłał puste listy. Tęskniłam i martwiłam się.

Po tych wszystkich trasach dziwnie było być wreszcie na chwilę razem. Wreszcie w tym samym miejscu i czasie. Bez wiecznego czekania i liczenia dni. Ten spokój był rajem. Nie mogliśmy się do niego przyzwyczaić. Pamiętam nasze nagie ciała splecione w ciasnym uścisku, nasz śmiech, jego nucenie. Korzystaliśmy na całego, prawie na zapas. Na długo nie starczyło. I kiedy po roku znów musiał wyjechać na nagrania do Stanów, poczułam się oszukana, a świeżo wynajęta kawalerka zrobiła się nagle za duża. Dlaczego to studio nagraniowe musiało się znajdować właśnie w Nowym Jorku i dlaczego musiał być tam we wrześniu, kiedy ja postanowiłam zostać w Nicei?

Niczym w hollywoodzkiej produkcji dwa samoloty zestrzeliły lustrzane wieże. Telewizja pokazała wszystko na żywo. Marnix był tam gdzieś, w szarym pyłku i krzykach przechodniów. Nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się to przekłete studio nagrań. Nie mogłam się do niego dodzwonić. „Więcej niż ktokolwiek z nas jest w stanie znieść” – odpowiedział Rudolph Giuliani, zapytany jedenastego września o szacowaną liczbę ofiar zamachu. O ósmej czterdzieści pięć Marnixa nie było w wieży północnej ani o dziewiętej trzy w wieży południowej. O dziewiętej cztery skręciło mnie ze strachu. A o dziewiętej pięćdziesiąt dziewięć nastąpił mój trzeci koniec świata. Jego komórka nie odpowiadała. Kiedy w końcu zadzwonił i powiedział, że jest cały i zdrowy, wybuchnęłam płaczem. Rozkazałam mu wrócić. Natychmiast, bo na samą myśl, że jego też mogłabym stracić, odechciało mi się wszystkiego. I mimo że po powrocie obiecał mi, że już tam nie pojedzie, po czterech miesiącach znów go nie było. Marzyłam, żeby zamieszkać z nim na stałe. Mieć go na zawsze przy sobie. W końcu za nim nie tęsknić. Myślałam, że to będzie na dłużej. Myliłam się, i to -bardzo. Były jeszcze dwie płyty i cztery trasy koncertowe.

– To ty zaniósłeś krzesło do Perfumowanego Źródła? – Za-daję pytanie Magnusowi, stając w drzwiach jego domu.

– Co to jest Perfumowane Źródło?

– Ta polana z krzewami lawendy za lasem. Tam – wskazuję kierunek.

– A... Tak, to ja. Odkupiłem ci, tak jak obiecałem.



– Czemu tam?

– Bo tam siadasz najczęściej. Żebyś nie siedziała na ziemi...

Prawda. Ale skąd to wie? Może za mną łązi. Spuszczam wzrok. Podobno uczucie strachu rodzi się w centralnej części mózgu, gdzieś pośrodku, pomiędzy uszami. Czuję, jak prąd przepływa teraz właśnie w tym miejscu. Pulsuje podejrzenie mocno. Dlaczego?

– Skąd nazwa Perfumowane Źródło? Jest tam jakieś źródło wodne, co ładnie pachnie? – dodaje po chwili ciszy.

Podnoszę głowę i ukrywam zaniepokojenie obszernością jego wiedzy na temat moich sekretnych ścieżek i zwyczajów.

– Nie. To firma, która wykupiła te tereny od byłego właściciela twego domu, pana Lanteri, tak nazwała to miejsce.

Trawi moją odpowiedź. Obserwuje mnie. Nasze dialogi się nie kleją. Nerwowo patrzę w dół i szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Nowego tematu rozmowy. Choćby jednej igły z drzewa na wejściu jego domu. Mrówki. Pa-jąka. Ptasiego piórka? Jesteśmy w końcu w lesie! Ale nie znajduję. Nie ma. Na drewnianej podłodze werandy Magnusa nie ma nawet najmniejszego pyłku. Ziarnka piasku nie uraczysz. Tu jest WYSPRZĄTANE. Koniec. Krop-ka. Jak on to robi?

– Czemu tam ciągle chodzisz? – Przerywa moje poszukiwania. Chyba nie myśli, że zacznę się mu nagle zwierzać.

– Śledzisz mnie? – odszczekuję.

– Nie. Po prostu lubię chodzić po lesie.

– A ja lubię siedzieć na polu lawendy.

– Rozumiem.

Najwyraźniej dostrzega moją irytację, bo cofając się, pyta:

– Chcesz żebym przyniósł ci to krzesło z powrotem do domu?

– Nie... Zostaw je tam, gdzie jest. Dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada trochę zdezorientowanym tonem, wzrusza napakowanymi ramionami. Chowa się u siebie, zamyka drzwi, więc go nie zatrzymuję. Chyba się mnie boi.

Przychodzi jednak nazajutrz i przynosi dojrzałe brzoskwinie.

– Czym się zajmujesz? – Pierwszy raz mnie o coś pyta. Otwieram usta i zamieram na moment ze zdziwienia. Spogląda na mnie po raz drugi, sprawdzając, czy słyszałam. Mam ochotę powiedzieć, że głównie zajmuję się czekaniem na Marnixa, ale w ostatniej chwili się -powstrzymuję. I jako że nie przygotowałam sobie odpowiedzi, z zaskoczenia mówię prawdę.

– Piszę.

– Co piszesz?

– Książki.  
– Serio?  
– Serio.  
– Teraz też?  
– Tak. – No prawie. Bo myślenie o pisaniu chyba nie liczy się jako pisanie właściwe.

– Jakiego typu książki?  
– Powieści dla kobiet.  
– Aha.

„Aha” jest bardzo wymowne, w domyśle: piszesz głupkowate i naiwne harlekiny dla gospodyń domowych, z którymi wstyd komukolwiek się pokazać. Przyzwyczaiłam się już do tego oceniania i wrzucania wszystkich do jednego worka. Mimo wszystko dociekam:

– Lubisz czytać?  
– Chyba nie. Nie pamiętam, kiedy coś ostatnio czytałem. W sensie – książek...

– Rozumiem. – Choć tak naprawdę nie pojmuję wcale.  
– Ale twoją chętnie przeczytam.

Czym zasłużyłam sobie na ten zaszczyt?! Sądzi, że się na to nabieram?

– Nie przeczytasz.  
– Dlaczego?  
– Bo piszę tylko po polsku.  
– Szkoda.  
– Szkoda.  
– I nie masz zamiaru tego zmienić? – Zerka na mnie podejrzliwie.  
– Nie mam.  
– To może mi opowiedz.  
– Co mam ci opowiedzieć?  
– No, swoją książkę. O czym jest?  
– Wątpię, żeby cię to interesowało.

Nagle nikt nic nie mówi. Chyba przesadziłam. Wbijam więc wzrok w koszyk brzoskwiń, które mi przyniósł. Znam doskonale te brzoskwinie, bo to z jego ogrodu. Wiem nawet, kto sadził to drzewo i że dobre owoce są co dwa lata, a nie co roku. Znam ich smak. Rozpływają się w ustach. Pamiętam, jak ich sok spływa po wargach mężczyzny, którego kocham. Ale nic nie mówię. Zrobię z nich ciasto dla dzika.

– Żyjesz z tego?  
Z czego? Z ciast dla dzika?, myślę. Nie.  
– Z pisania? Nie całkiem.  
– To z czego żyjesz? Nie zauważyłem, żebyś chodziła do pracy. – Nie

podoba mi się ta zmiana tematu, ale brakuje mi sił, żeby się do tego przyznać. Nie lubię się nikomu tłumaczyć z mojego życia. Marszczy brwi i spogląda na mnie zdziwiony.

– Nie chodzę do pracy. Mam trochę kasy z pisania, trochę oszczędności z czasów, kiedy pracowałam, no i brat mi pomaga, czasami też rodzice.

Kłamię, bo prawda jest taka, że utrzymuje mnie Janek. Ale nie pyta o brata, nie pyta o byłą pracę. Jak zwykle o nic w sumie nie pyta.

– Czyli jesteś na utrzymaniu rodziny. – Chyba mam go dosyć. Chcę, żeby sobie poszedł. – Nie szukasz niczego nowego? – kontynuuje.

– Nie szukam. – Nie mam ochoty wyjaśniać, a już na pewno opowiadać o białej kopercie. Siedzę cicho, ale on nie przestaje.

– To z czego będziesz żyć, jak skończą ci się oszczędności?

– Myślę, że to ja się skończę, zanim skończą się pieniądze – wyrwało mi się. Bierze to za żart, sili się na uśmiech, więc i ja się sztucznie uśmiecham. Po chwili dodaje:

– Na twoim miejscu rozejrzałbym się za pracą albo za francuskim wydawcą. Pewnie na dłuższą metę można się tu nudzić.

Tyle że ja nie mam dłuższej mety. Moja meta jest już widoczna i zbliżam się do niej bardzo szybko. Albo to ona do mnie się zbliża. Magnus mówi tak, bo nie wie, że ja już nie muszę się za niczym rozglądać. Tak naprawdę jego wizyty mi nie przeszkadzają. Chodzi bardziej o to, że nie potrafię przyznać się do tego, co się ze mną dzieje. Trudno jest mówić prawdę. Poza tym to, że Marnix będzie tu za parę dni, dodatkowo mnie stresuje.

Co do białej koperty, żeby było jasne: etap pytania „dlaczego ja?” mam już za sobą. Chciałam dodać „dawno”, ale to nieprawda. Teraz rzadziej się nad tym zastanawiam, bo w sumie niby dlaczego nie ja? Rozmyślałam raczej na temat: jak?, jak długo? i kiedy?

Francuz przylatuje w piątek. Spędzimy razem trzy wieczory. Chciałabym jeszcze raz dotknąć jego ust moimi. Wiem, że to nie nastąpi. Wiem, że nie powinnam. Ale jakby jednak do tego doszło, to wiem też, jak się skończy. Marnix nie muska, nie gładzi. Marnix pożera łapczywie wargami. Postanowiłam też, że razem otworzymy skrzynię z pamiątkami. Z nim będzie mi raźniej. Z nim się odważę. Odwiedzimy nasze wszystkie wspólne miejsca. Zjemy to, co jedliśmy zawsze razem. Poproszę, żeby zagrał mi na gitarze, i pogadamy o moich książkach. Potem, w poniedziałek, odwożę go na lotnisko, wraca do domu. To będzie najgorszy moment. Wiem to i zaczynam się martwić, co będzie dalej. Bo teraz jeszcze na coś czekam, na coś bardzo ważnego, a później? Zanim ktoś powie, że przegrałam walkę z chorobą, co będę robić? Poza tym ja przecież nie walczę. Więc nikt nie ma prawa mówić tu o przegranej. Nie mówcie tak, błagam.

Dlaczego ciągle chce mi się spać jedynie w dzień, a nie w nocy? Mój kręgosłup nie może już znieść starego materaca. Człowiek zapada się w nim niczym w plażowym ciepłym piasku. Jest otulany nim wbrew własnej woli. Nie cierpię tego. Poza tym jest za gorąco. A nie mam pieniędzy na nowy materac. Postanawiam więc spać codziennie w innym łóżku domu, żeby wypróbować, które jest najwygodniejsze. Sześć pokoi. Osiem łóżek, w tym jedno znajome. Mam tydzień nocnego podróżowania przed sobą. Nie ścielę. Narzucam tylko dwa prześcieradła. Jedno pod, drugie na siebie. Poduszkę mam zawsze tę samą. Z wytartą i spłowiałą przepoconą poszewką w kwiatki. Przewracam się na sprężynach, gąbce, piance i trawie morskiej. Bezsensowność jest wszędzie jednakowa. Plecy jak bolały, tak bolą.

Marnix. Powiedziałam mu w końcu, żeby się wynosił. I wyniósł się. Poszedł i uparcie twierdził, że nie wróci. Nie wiem, czy się pakował, czy zabrał swoje rzeczy, jak to w ogóle wyglądało. Może wyszedł, jak stał? Czy przeproszał? Nawet nie wiem. Tak bardzo chciałam wymazać to z mojej pamięci, że w końcu się udało. Nie dbam o to, czy krzyczał, czy płakał, tłumaczył, czy coś mówił. Czy trzasnął drzwiami? Pewnie tak. Bardzo to lubił. Nie wiem, jak sama wtedy się zachowałam. Wiem tylko, co było potem. Potem było źle. Następnie wracał i zaczęliśmy wszystko od nowa. I tak w kółko. Raz jeszcze i kolejny. Do znudzenia.

Koncert. Próba. Impreza. Koncert. Próba. Impreza. Muzyka. Uwielbiałam słuchać, jak gra i śpiewa, ale czasami myślałam, żeby schować mu tę gitarę. Były momenty, kiedy marzyłam o paru godzinach ciszy. Bo dajesz komuś siebie na otwartej dłoni. Całą miłość, jaka w tobie rosła od urodzenia. Czułość, którą przejąłeś po matce. Odwagę po ojcu. Cierpliwość i wyrozumiałość, której uczyłeś się latami. Stoisz nago rozumem, duszą i ciałem. Ofiarowujesz to wszystko i masz wrażenie, że nie wystarcza. Kiedy odszedł, poczułam się bezwartościowa, pusta. To całe moje wszystko na nic.

Najlepiej, kiedy życie płynie falą. Raz lepiej, raz gorzej. Góra, dół. Zdarzają się też burze, a nawet tsunami. Kiedy tafla wody jest spokojna i nieruchoma, staje się nudna. Lubię małe fale, ale po co ten wiatr w oczy?

Po naszym kolejnym i ostatnim rozstaniu chciałam uciec z Francji. Dostałam pracę przez niewyobrażalny przypadek. Pojechałam odwiedzić koleżankę – nauczycielkę do Warszawy. Tam, pomagając jej w przygotowaniach do rozpoczęcia roku szkolnego, spotkałam dyrektora szkoły francuskiej. Po krótkiej rozmowie zapytał, gdzie pracuję. Gdy odpowiedziałam, że nigdzie, zaproponował mi klasę. Zgodziłam się. Do dziś nie mogę tego pojąć, chyba po prostu znalazłam

się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Potem była Hiszpania, bo zatęskniłam za gorącym słońcem. Pracowałam tam dwa lata w szkole francuskiej, ale wiele nie pamiętam. Wiem, że potem zachciało mi się Ameryki. Był więc telefon i jakimś cudem dobre stanowisko w szkole w Nowym Jorku. Spędziłam tam cztery lata.

Czy w tym czasie trzymałam inne dłonie? Trzymałam. Ale nawet nie pamiętam, do kogo należały. Nie zapamiętałam tych mężczyzn bez twarzy, nie wiem, jakie mieli usta czy uśmiechy. Nie przywołuję i nie chcę przypominać sobie ich zapachu. Kochankowie, którzy przeszli obok mnie, czasami nawet dosyć blisko, ale ich nie zauważyłam. Nie wiem, kim byli. Oni się ledwie o mnie otarli.

14

Dziś niespodziewanie przyjechała do mnie policja. Czy coś przeskrobałam? A może świadome umieranie jest teraz nielegalne? Kobieta i mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, od progu proszą o dowód tożsamości. Zapraszam ich do środka. Jego twarz wydaje mi się znajoma, ale nie poznaję go od razu. Siedzimy w salonie, gdzie częstuję gości zimną wodą z bąbelkami. Policjantka stawia szklanke na skrzyni ze sterczącym kluczem jak na stoliku do kawy. Widocznie pozwoliłam na to, choć jej ruch sprawia, że nie mogę się skupić. Jeżdżą po okolicy i zadają pytania. Spisują zeznania ewentualnych świadków, bo szukają dziewczynki z Cipières. Wczoraj dziecko zapadło się pod ziemię. Wyszło do lasu koło domu i ślad po nim zaginął. Zastanawia mnie, jak może się zapodziać kilkuletnie dziecko, ale jak widać – może. Przeszukali i nadal przeszukują lasy, a teraz wypytyują też ludzi z sąsiednich wiosek. Niczego nie widziałam, ale obiecuję, że się odezwę, jeżeli ją przypadkowo znajdę lub zobaczę coś podejrzanego. Może jeszcze żyje. W nocy jest bardzo ciepło. Mija dopiero pierwsza doba. Potem pytają o mojego sąsiada. Mówię, co wiem. Pytają, gdzie pracuje. Nie wiem, ale chyba na budowie. Nie ma go w domu. Nie wiem, kiedy wróci. Policjant znał rodzinę Lanteri. Opowiada, że grał z ich synem w piłkę, jak byli mali. Proszę, żeby powtórzył, jak się nazywa.

– Yannik Legrand – oświadcza, a ja się uśmiecham. Teraz go rozpoznaję. Zostawia mi na wszelki wypadek wizytówkę. Nie mam odwagi o cokolwiek zapytać. Nawet o to, czy mnie pamięta, bo cały czas patrzy na mnie spode łba. I teraz wraca do mnie ten obraz, kiedy zbliżał się z nową piłką na polanie. Malutka rączka Chudego ścisnęła moją dłoń, a Robert z Marnixem szamotali się w trawie, chichocząc. Słyszę ich śmiech. Zamykam za nimi drzwi. Oddzielam się od nich, bo wiem, że tak będzie lepiej. Inaczej znowu nie zasnę. Nie chcę płakać, nie chcę wspomnień. Chcę się przed nimi zabarykadować.

Tymczasem kiedy już wychodzą, Yannik zawraca w połowie drogi do samochodu. Jednak mnie pamięta.

– Może wpadłabyś do nas na aperitif? Do domu. Po-wspominalibyśmy stare czasy – proponuje, jakby szykował się do tego latami.

– Ciągłe mieszkasz z rodzicami?

– Z ojcem. Mama umarła dwa lata temu. – Spogląda mi w oczy.

– Przykro mi – odpowiadam, choć nawet jej nie pamiętam. Jego ojciec za to jest mi dobrze znany.

– To co? Wpadniesz?

– Dobrze. Koło dwudziestej.

– Fajnie. – Uśmiecha się i macha ręką na pożegnanie. Gapię się, jak odjeżdżają, i myślę, dlaczego się na to zgodziłam. Przecież nienawidzę wspominać.

Robert nigdy jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Bez niego już na zawsze będzie mi czegoś brakować. Tracąc go, bezpowrotnie straciłam część samej siebie. Kawałek mnie odszedł z nim na zawsze gdzieś tam, gdzie teraz jest, i obecność Yannika mi o tym przypomniła.

Znalazłam jego rakietę tenisową. Naciąg jest popękany. Macham nią jednak w powietrzu przed domem, a Magnus obserwuje mnie zaciekawiony z ogrodu. Je-stem wariatką. Wiem to. Jestem niekompletna, uszkodzona i wybrakowana. Z Robertem mieliśmy to samo spojrzenie, te same ruchy i rysy twarzy. Graliśmy tak samo źle w tenisa. Mama mówi, że jak płakaliśmy w nocy, to razem. Czy Marnix patrząc na mnie, widział mojego brata? Bliźniacza tożsamość to bycie tym samym i jednocześnie świadomość siebie i swojej odrębności. Czy po tej tragedii mam jeszcze poczucie własnej tożsamości? A może Robert zabrał mi ją, odcinając się ode mnie raz na zawsze? Kim jestem bez brata bliźniaka? Które z nas było w życiu autorem, a które narratorem? Czy główny bohater jest tożsamy z narratorem? Czy da się nas tak rozdzielić? Jemu się chyba udało, choć czasami mam wrażenie, że tu przy mnie jest, że mnie obserwuje. Jak dzik nad schodami. Biedaczysko, ma żalony widok.

\*

Do domu Yannika przy placu Kasztanowców idę pieszo. To blisko, więc powinnam dać radę. Po drodze mijam kilku spoconych turystów kupujących kolorowe mydła i kilkunastoletnią dziewczynę ze słuchawkami w uszach sprzedającą lawendę. Dwanaście euro wiązka. Tylko nietutejsi mogą się na to nabrać. Zatrzymuję się przy drodze, w tym miejscu, z którego można podziwiać panoramę regionu. W oddali La Baie des Anges<sup>14</sup>, po lewej pagórki, po prawej *Chemin du Paradis*. „Rajska droga”, wąski i niebywale stromy szlak, jedyny dostęp do miasteczka przed budową głównej drogi dojazdowej, dopiero po drugiej wojnie światowej. Przez dziesiątki lat można było się tu dostać wyłącznie pieszo, -ewentualnie na grzbiecie jakiegoś odważnego zwierzęcia, które nie miało lęku wysokości. Swoimi czasy święta trójca prześlizgiwała się tym szlakiem

niejednokrotnie, dniem, a nawet nocą, w bezmyślności i bez strachu.

– Wiesz, dlaczego to się nazywa „droga do raju”? – Marnix kiedyś udawał znaną sobie rzecz przewodnika.

– Bo na końcu jest pięknie? – zgadywałam z uśmiechem.

– Bo kiedyś, zanim wybudowali szosę, z Le-Bar-Sur-Loup nosili nią zmarłych, żeby pochować ich na cmentarzu w Gourdon. Taszcząc trumnę nieboszczyka na plecach, w tym upale, sami się ocierali o śmierć. Trasa stroma i niebezpieczna. Smród musiał być nie do zniesienia. Gorąc! Jak po dwóch godzinach piekielnej wspinaczki dochodzili w końcu do pachnącego kwiatami Gourdon, mieli wrażenie, że dotarli do raju.

– Ja zawsze mam takie wrażenie, gdy tu docieram.

Chałupa policjanta nie zmieniła formy ani koloru. Wąska, z kamienia, nie odbiega stylem od innych budynków miasteczka. Podnoszę dłoń, żeby zapukać, ale drzwi otwierają się przede mną wcześniej.

– Fajnie, że jesteś. Wchodź! – Yannik zaprasza mnie do ciemnego wnętrza. Jest chłodno i od razu czuję się lepiej. – Ojciec już nie może się ciebie doczekać – do-daje, a ja się zastanawiam, czy pamiętam, jak ma na imię. Niestety, pamiętam. Idę za gospodarzem, przechodzimy przez zaniedbaną kuchnię, w której małe, czarne oliwki rozmakają w plastikowym wiadrze. Zaprawą prowansalską pachnie całe wnętrze. Pamiętam ten zapach z dzieciństwa. Mama Marnixa marynowała takie same. Potem długi korytarz aż do saloniku. Tam przy oknie siedzi starszy mężczyzna. Ożywia się na mój widok.

– Dzień dobry, Patrycjo! – Wstaje z krzesła, żeby się przywitać.

– Dzień dobry, panu. – Całuję go w policzki. Dwa razy. Nie wiem, o czym będziemy rozmawiać, ale od razu go rozpoznaję. Postarzał się, lecz nie zmienił.

– Czyli to prawda, że wróciłaś?

– Na to wygląda – potwierdzam, żeby się upewnić, że nie śni.

– Jesteś sama?

– Tak. – Nie ma sensu zaczynać tematu o przyjeździe Marnixa, bo co będzie, jeżeli jednak się nie pojawi. Jak się z tego potem wytłumaczę?

– Co zamierzasz? – pyta dalej, ale tym razem nie jestem pewna o co.

– To znaczy?

– Zostajesz?

– Zostaję. – To akurat jest pewne. Na sto procent.

– To dobrze. Bardzo mnie to cieszy. Patrzenie, jak dom Claude’a pustoszeje i popada w ruinę, było dla mnie bardzo bolesne. Teraz przynajmniej jest w nim jakieś życie.

Nie na długo, myślę, ale nic nie mówię. To chyba jedyny dom, jaki znam, gdzie zmarło więcej osób, niż żyło. Nie o tym jednak będziemy rozmawiać, mam

nadzieję.

– Wciąż na posterunku? – Pytam.

– Ależ gdzie tam. – Macha ręką z dezaprobatą. – Swoje już odsłużyłem. Teraz młody robi, co trzeba. – Z dumą patrzy na syna i zmienia temat. – Chętnie się zajmę twoim ogrodem, jak chcesz, bo widziałem, że marnieje, a ja mam dużo czasu. Emerytura to straszna rzecz. Człowiek myśli, że będzie odpoczywał, a tymczasem się nudzi.

Młody spogląda na mnie i korzysta z momentu ciszy:

– Czego się napijesz?

– Masz czerwone? – proszę. Starszy pan mówi dalej, nie dając mi szansy na odpowiedź w sprawie ogrodu.

– Byłem tam ostatnio się przejść do was i widziałem, że wszystko wyschło i zarosło. Nie można tak przyrody zostawić. Trzeba jej pomóc, szczególnie jak panuje taka susza, jaką teraz mamy.

– Tato, daj jej spokój, może ona nie chce, żebyś się zajmował jej ogrodem.

– Chcę, chcę – zapewniam, choć wiem, że będę musiała odmówić, jeżeli będzie chciał za to jakieś wynagrodzenie. – Ale nie mam funduszy na zapłatę.

– Ale w ogrodzie nie o pieniądze się rozchodzi, moje dziecko, a o duszę. Kwiaty i drzewa trzeba kochać i pielęgnować, wtedy dobrze rosną. Wodę można pociągnąć z Le Loup, są tam chyba jeszcze jakieś stare rury sprzed wojny. Trzeba sprawdzić.

Yannik znika na chwilę w kuchni, a ja rozglądam się dookoła. Nic się tu nie zmieniło od ostatniego razu. To jakieś dwadzieścia lat temu, jak nie więcej. Może odmalowali ściany, ale na ten sam kolor: jasny błękit, który po latach płowieje, zmieniając się w szary. Wszystko oddycha tu dymem papierosowym i od kiedy weszłam, chce mi się palić.

– Czym się zajmujesz? – Brunon Legrand nie zapomniał, jak się przesłuchuje.

– Piszę książki.

– Naprawdę? Jakie? – Młody dopytuje się, wchodząc z pełną tacą do pokoju.

– Dla kobiet.

– I nie przyniosłaś?

– Nie widzę tu żadnych kobiet. – Wrywa mi się słaby dowcip, więc od razu próbuję się ratować: – Ale i tak nikt by nie przeczytał, piszę po polsku.

– Moja Jaśmina już w niebie, a temu gamoniowi nie udało się długo kobity w domu zatrzymać! Dwa lata po ślubie jak dała nogę, to nawet po swoje rzeczy nie wróciła – odpowiada ojciec za syna.

Spuszczam wzrok, zaraz się zapadnę pod ziemię. Mam ten sam problem i nadzieję, że o niego nie zapyta.

– Kiedy tłumaczenie? – Yannik najwyraźniej przestał zwracać uwagę na



zaczepekki starego, więc i ja udaję, że nie słyszałam.

– Nie mam pojęcia. Pewnie nie za mojego życia – wzdygam i podziwiam ten moment, kiedy jeszcze nikt nie bierze tego na poważnie.

W towarzystwie dwóch samotnych mężczyzn i papierosów noc przychodzi szybciej, niż się tego spodziewałam. Jemy kanapki z pasztetem z gęsi i pijamy stołowym czerwonym. Rozmawia się z nimi przyjemnie, nawet wspominając. Skrupulatnie omijamy dwa tematy: śmierć Roberta i odejście Marnixa. O reszcie mówimy z nostalgią, aż w końcu rozmowa schodzi na temat Cassy, poszukiwanej dziewczynki z Cipières.

– Nie dopilnowali jej, ciągle latała sama koło domu! Dziecko małe, a to już nie te czasy, co kiedyś!

– Tato, przecież nikt się nie spodziewał, że u nas może być niebezpiecznie!

– Dziś wszędzie jest niebezpiecznie, synu.

Ojciec stracił werwę, którą zapamiętałam. Jego oczy widziały wiele i zastanawiam się, czy potrafią się jeszcze uśmiechać. Yannik rozwiódł się z żoną, której nie zdążyłam poznać. Nie mieli dzieci. Dziś jest sam i pracuje bez przerwy. Wydaje mi się smutny i przygaszony, ale nie mnie to oceniać. Sama nie tryskam ani szczęściem, ani energią, więc nic mi do tego. Rozstajemy się po dwudziestej trzeciej, kiedy Yannik musi wrócić na patrol. Odwozi mnie policyjnym autem do domu. Cieszę się, że u niego byłam. Czas szybciej mi minął. Mam teraz o jeden wieczór mniej czekania.

– Znowu go nie ma – mówi, kiedy wjeżdżamy na podwórze, a przed domem Magnusa nie widać jego samochodu. Spoglądam na budynek z pogaszonymi światłami. Taki smutny, pusty, osamotniony.

– Szukasz go? – zagaduję zdziwiona, widząc, jak rozgląda się po podwórku.

– Nie całkiem. Chcielibyśmy go przepytać, sprawdzić, czy nikogo nie widział, nie słyszał. Jak wszystkich. Ale jakoś nigdy go nie ma. To jedyny nowy mieszkaniec Gourdon w tym roku, bo ty się nie liczysz. Jesteś przecież nasza.

Uśmiecham się. Wzruszam prawie. Ale się powstrzymuję. Nie będę płakać.

– Jak chcesz, to mu powiem, jak go zobaczę, żeby się do was zgłosił.

– Nie... Pisemko mu się wyśle.

– Jak wolisz – rzucam i otwieram drzwiczki. – Dzięki za miły wieczór. Chyba nie jest łatwo mieszkać z ojcem na co dzień?

– Bywają takie dni, że mam ochotę go zamknąć w naszej celi za samo gadanie. Ale co począć, przecież nie wywalę go na ulicę, bo to jego dom. Zresztą, to dobry człowiek. Ale od kiedy moja matka umarła... – Nie kończy. – A ty? Nie było trudno tu wrócić?

– Było – szepczę speszona.

– Odważna jesteś. Ja po tym wszystkim, co tu się wydarzyło, już bym chyba nie potrafił.

– Nie miałam wyjścia. To miejsce przywołało mnie do siebie. Nie mogłam się oprzeć.

– Podziwiam cię. Serio...

Rozstajemy się po tych słowach, bo nie wiem, co powiedzieć. Żegnam się i wracam do domu. Kiedy policyjne auto znika za zakrętem, pojawia się światło w kuchni Magnusa. Chował się? Widział nas? Gdzie był? Nie zamierzam jednak rozpoczynać śledztwa w tej sprawie. To nie mój problem. Idę spać. Jutro z nim może pogadam.

Nie udaje mi się jednak zasnąć, więc o trzeciej nad -ranem idę z latarką do Perfumowanego Źródła. Siadam na krześle i tak siedzę. Do rana.

15

Kto miał ochotę rzucić wszystko w cholerę i uciec? Ja. Tysiąc razy. Od początku wiedziałam jednak, że nigdy nie wytrzeźwieję z tej miłości. A może to on kazał mi się wynosić w gorącą noc, pod niebem pełnym spadających gwiazd? Może wyrzucił mnie za drzwi, a ja błagałam na klęczkach o wybaczenie, o ostatnią szansę i o miłość. Albo wyszłam od niego, oddychając z ulgą. Nie wiem. Nie pamiętam tego dokładnie. W sumie to wcale.

Wiem za to, że gdy się rozstaliśmy, to Marnix był silny. Ja sypałam się kawałek po kawałku. Rozpadałam się trochę bardziej każdego dnia. Kruszyłam się powoli, ale systematycznie. Dzwoniłam i pisałam. W dzień i w nocy. A on się nie odzywał. Nie oddzwaniał ani nie odpowiadał na moje e-maile. Pewnie wyrzucał listy do kosza, kasował wiadomości bez czytania, gdy widział nadawcę. Nie odbierał telefonów. W końcu prawdopodobnie zmienił abonament, bo w słuchawce słyszałam tylko: nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru...

Boję się momentu, w którym się zobaczymy. Myślę, że mnie nie rozpozna. Ostatni raz widzieliśmy się sześć lat temu na pogrzebie ciotki Malwiny. Już wtedy mnie nie poznał. Ale w końcu to nie ja byłam tam najważniejsza, a Malwina: gwiazda wieczoru. Byliśmy skłócenii, z niedomówieniami i gorzkim smakiem w ustach. Przyleciałam jednak specjalnie z Nowego Jorku, bo Malwina zmieniła moje życie. To dzięki niej poznałam Marnixa. Nie zdążyłam zobaczyć ciotki przed śmiercią. A tak bardzo chciałam jej przeczytać bajkę na dobranoc. Drugie niespodziewane odejście i bez pożegnania. Któryś już koniec świata z kolei. Nie do zniesienia.

Poprzednim rodzinnym pochówkiem, w którym uczestniczyłam, był pogrzeb mojego brata. W tym samym miasteczku, na tym samym cmentarzu. Z prawie tymi samymi ludźmi, cztery alejki dalej. I tak jak wtedy, kiedy tam dotarłam, tym razem też zrobiło mi się niedobrze. Ale nie mogłam nie iść. Nie chciałam nie iść. Byłam

jej to winna. Cała moja rodzina się pojawiła i spodziewałam się, że on też tam będzie. W końcu to była jego ukochana sąsiadka. Może nawet dlatego tak naprawdę polecałam do Francji. Żeby go zobaczyć. Skonfrontować – w pewnym sensie. Zapytać, dlaczego od trzech lat udaje, że mnie nie ma. Dlaczego nie odpisuje na wiadomości, nie odbiera tych telefonów. Nie mogło go zabraknąć. I nie zabrakło, choć było go tak mało, że miałam wrażenie, że nie do końca tam jest. Jednak stał w pierwszym rzędzie, obok moich rodziców i braci, pochylony, zamyślony, z wyrazem twarzy złamanego człowieka. Nie zauważył, kiedy podeszłam.

Czy się postarzał? Nie bardzo. Wcale. Ale schudł. Tak, bardzo schudł. Choć wcześniej wydawało mi się, że już nie może być chudszy. Najwyraźniej nasze rozstanie wywarło na nas zupełnie odwrotny skutek: on zrzucił, co jeszcze znalazł do zrzucenia, ja przytyłam mimo woli. Ohydne osiemnaście kilo w trzy lata. Ja spuchnięta. On wymizerowany. Wyglądał jakby za chwilę miał się złamać. Zbladł, zepsuł się. Włosy powiewały mu na wietrze i czekałam, aż ten wicher go przewróci. Czy Marnix coś jeszcze w ogóle jadł? Czy uśmiechał się jeszcze? Patrzyłam na niego, czekając na wyrównanie oddechu, które nigdy nie nastąpiło. Raczej rosła we mnie złość i chęć pobicia go za tę jego prawie trzyletnią nieobecność, za milczenie pomieszane z wybuchem miłości, której nie mogłam się pozbyć od pierwszej sekundy, gdy go tam zobaczyłam. Kochałam go bez przerwy, bardzo mocno i mimo wszystko. Wbrew sobie. I nawet ta, która stała przy nim i ścisnęła mu mocno rękę, tuląc się do jego ramienia, nie była w stanie mnie powstrzymać. Rzuciłam się na niego z krzykiem i waliłam go pięściami na oślep. Mocno. Najmocniej na świecie. Chciałam, żeby ponownie mnie kochał. Ale wszystko na nic.

Skończyło się tragicznie. Jak na pogrzeb przystało. Ktoś mnie spoliczkował, ktoś mną potrząsał, żebym stanęła prosto. Były krzyki, że znowu wstyd, że znowu hańba, że raz jeszcze moja wina. Brunon Legrand mnie odciągał, zdierał z niego, wzdychając. Zostałam wyprowadzona siłą w asyście żandarmerii. Bardziej żałośnie się nie dało. No, może oprócz wyjścia na czworakach, ale tego mi nie było wolno. To mógł zrobić tylko on. To był przecież jego popisowy numer. Mnie mogło być najwyżej niedobrze.

Noc spędziłam na plaży w Cagnes-sur-Mer na twardych kamieniach, rozpamiętując całe zajście i udając, że nie widzę nieodebranych połączeń od Janka. Chyba się jednak wstydziałam. Nad ranem pojechałam na lotnisko i błagałam o przebukowanie biletu, żeby wrócić wcześniej do domu. Nie zgodzili się, więc następną noc spędziłam tam na krześle. Załatwienie noclegu wykraczało poza moje możliwości organizacyjne, a o powrocie do Gourdon nie było mowy. Gdy w końcu wróciłam do siebie, napisałam do niego. Krótko i rzeczowo. Przeprosiłam za moje okropne zachowanie. Błagałam o wybaczenie. Obiecałam, że przestanę go dręczyć.

Poprosiłam też Janka, żeby postawił na progu jego domu dwie kbiałki malin. Musiał coś zjeść! Wyglądał tak źle, tak słabo... Brat obiecał, że to dla mnie zrobi. Marnix nie odpisał, jak zwykle. Pierwszy raz nie miałam mu tego za złe.

Wielka ręka Magnusa uderza w moje drzwi. Zawsze puka tak samo. Powoli i głośno. I tym razem nie mówi, po co przyszedł. Ale jest tu, więc wchodzi.

– Nie wyglądasz za dobrze. – Już nawet się nie złoścę. Tyle razy słyszałam to na dzień dobry. Chyba przyciągam te słowa.

– Nie wyglądam. Nie mogę spać. – Wydaje się lekko zawstydzony, ale nie przeprasza za nietakt.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Piszesz?

– Teraz nie. Ale myślę o pisaniu. Zastanawiam się, czy uda mi się skończyć powieść, którą zaczęłam. Czasami się stresuję. – Próbuję zmienić temat, ukryć przed nim prawdziwe źródło mojej bezsenności. Źródła bezsenności, bo jest ich wiele.

– Masz jakiś termin?

– Mam. Za trzy miesiące – komunikuję i zapraszam go do salonu, gdzie na samym środku na podłodze stoi skrzynia mojej ciotki.

– No to musisz się spieszyć – odpowiada. Patrzy na skrzynię. – Co to jest?

I co ja mam mu odpowiedzieć? Że to oryginalny stolik do kawy? Skrzynia jest duża i ciężka. Odstrasza swym jestestwem. Krótko i na temat: boję się jej. Nie wiem, co w niej tkwi, a jednocześnie wyraźnie to przeczuwam. Tam jest lawenda, maliny, jego nuty, nasze pocałunki i listy. Jest wszystko, o czym chcę zapomnieć i o czym pamiętam, bo tym wszystkim właśnie jestem. Są płyty, zdjęcia i zapisy nutowe. Jest w niej ostatnie poruszenie dłoni ściskającej kawałek papieru i czołganie się na czworakach. Jest w niej lepkie powietrze ze szpitala. Puszka Pandory czy odpowiedź na to, co tu robię? Więc gdy ponawia pytanie zniecierpliwiony, ripostuję:

– Skrzynia. Nie widzisz?

Wzrusza ramionami i mówi:

– Nie muszę wiedzieć, co jest w środku. Nie denerwuj się.

Nie musi. Może ja też nie muszę. Decyduję, że dzisiaj nie muszę.

Poranne wizyty mojego sąsiada stają się coraz częstsze. W sumie przychodzi codziennie i razem jemy śniadanie. Miły z niego gość, mimo że nie czyta. Prosty, w dobrym tego słowa znaczeniu. Zaprasza mnie na kolację i zaczynam czuć w tym podstęp. Nie chcę, żeby się mną interesował. Nie chcę, żeby cokolwiek ze mną planował. Wiadomo dlaczego. Nie wyobrażam już sobie tworzenia związku, nawet

gdybym nie była chora. Poza tym zaraz będzie tu Marnix. Wtedy zobaczy, że nie ma sensu o mnie myśleć. Mówię, że nie mogę, a potem udaję, że mnie nie ma.

Nie jestem nawet kobietą. A przynajmniej -przestałam się nią czuć. Jestem wielorybem. Nie należę też chyba do żadnej kultury. Do żadnej grupy. A już tym bardziej do -jakiegokolwiek narodowości. Nie wiem, czy na powitanie mam ścisnąć komuś dłoń, czy go całować, w co i ile razy. Nie wiem, czy zaproszona na kolację powinnam przynieść kwiaty, deser, czy butelkę wina, a może wódki? Co wypada, a czego nie wypada. Męczą mnie konwenanse i nienawidzę tradycji. Religii nawet nie mam. Wieloryb-ateista ze mnie. I chyba już nie ma miejsca, które nazywam domem. Jestem u siebie, kiedy jestem w ciemności. W głębi oceanu. Na jego dnie, zatopiona w chłodnym mule. A jednak...

„I jeszcze to”. Tymi słowami, bądź też bardzo zbliżonymi, Janek obdarował mnie domem na Lazurowym Wybrzeżu kilka miesięcy po śmierci naszej ciotki. Wujek odszedł parę lat wcześniej, w polu, na zawał. Ona umarła sześć lat temu po długiej chorobie. Wszystko nam zostawiła, ale przez samobójstwo Roberta rodzice niczego nie chcieli. Staliśmy więc w trójkę, bo jeszcze był z nami Chudy, dookoła stołu w jadalni warszawskiego mieszkania Janka. Opierałam się o wypolerowany blat, nogi miałam z waty. Powróciła atmosfera z pogrzebu Malwiny. Spojrzenie mojego brata było krótkie, ale wymowne, i zrozumiałam, że nie chciał kłótni czy nawet słownych przepychanek, które zazwyczaj towarzyszyły naszym rozmowom. Nie tym razem. Przytaknęłam. Albo tak mi się wydaje. Nie pamiętam. Z tej sceny pozostał mi jedynie widok i dźwięk rzuconego przez niego pęku kluczy z Gourdon. Nie wiem też, czy było to zamierzone, ale metalowa wiązka w głośnym poślizgu pojechała po blacie stołu w moim kierunku. Prosto pod moją dłoń, która przyciągnęła ją jak magnes. Już wtedy wiedziałam, że nikt oprócz mnie i tak nie będzie chciał ponownie przekroczyć progu tego domu. Wszyscy przez chwilę na nią patrzyliśmy, aż w końcu schowałam ją bez słowa do kieszeni.

Sześć lat później wróciłam na mój Zachód. Do mojej Mekki. Do Gourdon. Oślepiające słońce kazało mi odgadywać znajomy dojazd. Droga mnie rozpoznała i zakręcała radośnie, jak pies machający ogonem na powrót właściciela. Droga zakręciła mi w głowie. Jechałam nią po omacku, pijana jej wirowaniem, na pamięć. Szczęśliwa. Zwalniałam, żeby podziwiać znane widoki. Żeby przedłużyć ten moment. Żeby trąbiący mnie wyminęli. Żeby dać mu więcej czasu na pojawienie się, na czekanie na mnie w progu.

Bo w wieku lat jedenastu wszystko już dla nas zaplanowałam. Zgodził się.

– Jak będę dorosła, to za ciebie wyjdę i będziemy mieli dziecko – oznajmiłam, kiedy nakrywaliśmy do stołu u Malwiny. Zastanowił się przez moment, po czym odparł z poważną miną:

- Dwójkę.
- Dlaczego dwójkę? – Zatrzymałam się.
- Bo samemu jest nudno.
- No dobrze, dwójkę. Ale więcej nie. – Pokiwałam głową i wróciłam do naszego zajęcia.
- Może uda się mieć bliźniaki – dodał po chwili namysłu.
- Zapytaj mojego taty, on wie, jak to się robi.

Marnix miał lepszy kontakt z moim ojcem niż ze swoim. Szczególnie w okresie dorastania i później, kiedy postanowił zająć się profesjonalnie muzyką. Nie wykazał zainteresowania przejęciem rodzinnego interesu. Nie chciał już uprawiać kwiatów. Przez krótki okres próbował nawet stworzyć nowy zapach, ale szybko dał temu spokój, bo od olejków eterycznych i esencji kręciło mu się w głowie. Zawiódł ojca, który liczył, że jedyny syn będzie kontynuował jego pasję. A ten nie chciał. Nie pola, nie kwiatki, nie woda i słońce. Nuty i struny. A w nich słowa piosenki, a w słowach my. Był w tym tak dobry, że trudno nie przyznać mu racji. Urodził się, żeby śpiewać, a nie zrywać badyle. Czasami zastanawiam się, czy urodziłam się, żeby pisać. I odpowiedź przychodzi od razu. Negatywna. Kocham pisanie, ale chyba nie wychodzi mi najlepiej. Nie wiem więc, po co tu jestem. Ale może jeszcze się dowiem. Choć czasu na to już zostało bardzo mało.

Wychodzę przed dom, żeby sprawdzić, czy Magnus jest u siebie. Jest. I to jak mocno! Kręci się szybko i tupie po drewnianej podłodze. Wbił sobie gwóźdź w palec wskazujący lewej dłoni. Duży chłopiec zwija się z bólu i nie wie, co robić. Kręci nosem, kiedy proponuję pomoc, ale nie zwracam na to uwagi. Zabieram go do szpitala w Grasse, bo nie może sam prowadzić. Pyta mnie tylko, czy wiem, gdzie jechać. Odpowiadam, że znam drogę na pamięć. Lazurowe Wybrzeże to jedyne miejsce na Ziemi, po którym mogę jeździć bez nawigacji. Po piętnastu minutach jesteśmy w szpitalu Clavary. Staję przy wejściu z napisem „Pogotowie”. Wysiada i sam wchodzi do budynku. Odjeżdżam, żeby zaparkować dalej. Po chwili jestem już w środku. Rozglądam się. I nagle czuję, że zaraz zemdleję. Robi mi się gorąco i zimno jednocześnie. Coś jest nie tak. Nie lubię tego miejsca. Serce bije mi szybko i dopada mnie niezrozumiały strach. Panika. Chcę wyjść. Wyjść i nigdy tu nie wracać. Biała koperta chyba sprawiła, że boję się szpitali. Biegnę do samochodu.

Przypomina mi się ostatni dzień pracy. Zakończenie roku dwa lata temu. W mojej klasie sześciolatków urządziliśmy przyjęcie. Byłam wykończona rokiem szkolnym, szumem i nieustającą ruchliwością dzieci. Pod koniec imprezy z głośników komputera, z którego odtwarzałam muzykę dla uczniów, wydobyła się jego piosenka. Nie wiem, jak to się stało, ale stało się. Może któryś z maluchów coś

zmajstrował w mojej liście ulubionych. Jego głos wypłynął w przestrzeń i zmieszał się płynnie z gwarem dzieci. Zamarłam. Nie udało mi się powstrzymać łez. Mały chłopiec podszedł do mnie i z troską zapytał, co mi jest. Przykucnęłam i skłamałam, że wszystko jest okej. Że się wzruszam, bo mi smutno, że to koniec roku. Wtedy wyciągnął rękę i z uśmiechem na ustach wydmuchał mi prosto w twarz trzymane w dłoni kolorowe konfetti. Przykleiło mi się do rzęs. Wpadło mi do oka i do gardła. Mało się nim nie udusiłam. Nie mogłam już tam wrócić. Ani potem, ani nigdy. Po prostu stamtąd uciekłam, jak dziś z tego szpitala. Straciłam pracę dwa lata temu. Od tego czasu zajmuję się tylko pisaniem.

Siedzę w kuchni przy oknie i piję kawę. Ja, filozofka od siedmiu boleści. Mam wyrzuty sumienia. Jak mogłam zostawić Magnusa samego? W dodatku bez wyjaśnienia. Z zamyślenia wyrywa mnie telefon. To on.

– Gdzie jesteś? – Zaczyna spokojnym, ciepłym tonem, który mnie trochę uspokaja i łatwiej mi teraz mówić.

– W domu.

– Dlaczego? Co się stało? Nie poczekałaś na mnie?

– Nie mogłam.

Następuje chwila ciszy. Chyba powinnam się teraz wytłumaczyć, ale nie wiem jak. A może nie muszę. Ja już nie chcę się nikomu z niczego tłumaczyć. Za późno na to przecież.

– Możesz po mnie przyjechać? – Przerywa milczenie.

– Tak. Ale czekaj na mnie przed wyjściem, na zewnątrz. Będę za trzydzieści minut.

– Jedź powoli!

Jadę i zastanawiam się, skąd ma mój numer telefonu.

Dlaczego Marnix nie zajmuje się już muzyką? Jak udało mu się zniknąć ze sceny z dnia na dzień? Dlaczego od dziewięciu lat, od momentu, kiedy się rozstaliśmy, robi coś innego. I co robi? Czym może zajmować się człowiek, który oddychał melodią całe swoje życie i nie ma innego zawodu ani wykształcenia? Któremu nuty śniły się po nocach? I którego piosenki nadawały wszystkie radia? Nie wiem. Ale zapytam.

Zapytam, bo mogę z nim rozmawiać o wszystkim i o niczym. Bo mężczyzna, którego kocham, jest wrażliwy na moje słowa i nigdy nie jestem mu obojętna. Cierpliwym, nie odrzuca mnie, bo mnie zna na wylot, dlatego tak dobrze rozumie. Tak przynajmniej było kiedyś. Nie powinnam więc używać czasu teraźniejszego w tej sprawie. Znał. Rozumiał.

Mam wrażenie, że całe życie za nim tęsknię. Tęsknię, od kiedy pamiętam, i nigdy nie przestałam. Tyle że od dziewięciu lat on już nie jest mój, więc tęsknię za

czyimś Marnixem. Ale to, że on należy do jakiejś tam jej czy może jego, nie przeszkadza mi w moim tęsknieniu. To jest jak choroba, której nie mogę się pozbyć. Nie znalazłam na nią lekarstwa. Brakuje mi tych zielonych oczu wpatrujących się we mnie znad gryfu gitary.

Postałabym teraz w deszczu na wprost tej wysokiej sylwetki na piedestale i wbiła wzrok w porywający spektakl. Posłuchała gitary przez telefon albo choć odebrała zagubioną przez pocztę kopertę z czystą kartką papieru w środku. Cokolwiek, ale od niego. Jakikolwiek sygnał, że o mnie pamięta. Gdzieś tam, daleko, beze mnie, ale jest.

Bo umieram tu bez Marnixa. Usycham normalnie. Ro-mantycznie to brzmi, cukierkowo prawie, rodem z harlekina, ale w rzeczywistości takie nie jest. Gorzkie i mdłe raczej. Nieustannie beznadziejne. Nie powinien tu chyba jednak wracać. Załamie się przecież, jak wyjedzie po tych trzech dniach, które też są jednym wielkim znakiem zapytania. Umrę z przepłakania? Z miłości? Da się? Nie powinnam była do niego pisać. Prawdopodobnie popełniłam błąd.

A może jednak dobrze, że przyjedzie. Może się okaże, że jest głupim chamem. W dodatku jak ja: przytył osiemnaście kilo i ma siwe włosy. Opieprzy mnie na dzień dobry, że mu dupę zawracam umieraniem, kiedy on taki zajęty życiem. Kto wie, może żeby mnie przerazić, zapuścił wąsy i obciął na krótko włosy. Prawdopodobnie jego jedynym tematem są teraz dzieci. Będzie siedział i godzinami głądził o zmienianiu pieluch, bezzębnych uśmiechach i kolkach w nocy. A potem wyciągał komórkę i pokazywał mi zdjęcia słodkich bobasów. Albo dzwonił co godzinę do żony. Być może przestał pić wino i słuchać muzyki. Bo grać, to już wiem, że na pewno. I to ostatecznie sprawi, że mi w końcu przejdzie. Odkocham się, przestanę żałować i wymyślać bzdury. Po tym będę umierać naprawdę bez niego. Sama i szczęśliwa, że go przy mnie nie ma. Z poczuciem ulgi, że tamten Marnix, którego pamiętam, nie istnieje, a nowego nie lubię. Będzie mi łatwiej. Oby. Sprowadzam go więc tu dla własnego dobra. I tak mi dopomóż...

Dziś mam zły humor. Naprawdę parszywy. Czytam moje stare pamiętniki i zastanawiam się nad stopniem naiwności moich wypowiedzi sprzed lat. Wkurza mnie to wszystko na maksa. Co ja sobie myślałam? W co wierzyłam? Po jakiej ziemi stapałam? Bo to już nie jest ślepy brak krytycyzmu, donkiszoteria czy infantylizm. To zakrawa na frajerstwo. Wieczna miłość? Ludzie! Jak można być do tego stopnia głupim?

*Jestem jego oddechem, choć czasami dla odmiany zamieniam się w dotyk jego dłoni, w szept melodii i wzruszenie ramionami. W pot na plecach zdarza mi się zmieniać, gdy mokry schodzi ze sceny. Naj-bar-dziej jednak jestem realna w tym zielonym spojrzeniu (...).*

*Spać i wstawać bez ciebie już się nauczyłam. Jeść śniadanie i wracać z pracy*



*też. Myć bez ciebie ręce, spoglądać na ludzi za oknem, odpowiadać na e-maile umiem. Ogarniam. Ale kochać bez ciebie nie potrafię.*

Żenada.

Pisać pamiętniki. Uciekać. Spisywać słowa bez celu, dla zasady, dla tortury. Plastusiowe pamiętniki mojego dzieciństwa, przez które dziś nie mogę przebrnąć, bo robi mi się niedobrze od tamtej rzeczywistości, od tego, jak są wierne. Od ich autentyczności krew zwalnia mi w żyłach i nienawidzę tego uczucia emocjonalnego obciążenia. Czasami zupełnie nie mam ochoty wracać do tamtych dni.

16

Jutro jadę oddać wypożyczone auto. Janek wynajął mi je na dwa tygodnie, na początek, żebym mogła to wszystko ogarnąć. Teraz muszę radzić sobie inaczej, bo nie stać mnie na przedłużenie wynajmu. Dziś nieskutecznie próbowałam odpalić stary samochód Malwiny, który od lat stoi w garażu. Na mechanika też nie mam pieniędzy, tym bardziej na nowy zakup. Czym pojadę po Marnixa do Nicei? Nie mogę więcej prosić Janka o pieniądze. I tak dużo mi pomaga. Może Magnus na tym się zna? Zna się. Przynajmniej trochę. Tak twierdzi. Prowadzę go do mojego garażu. Wytrzeszcza oczy, kiedy widzi białą dwieście piątkę Malwiny.

– Powiedziałem, że znam się na samochodach, nie na miniaturowym złomie.

– Nie da się go jakoś wskrzesić? – Patrzę na niego błagalnym wzrokiem i podaję mu kluczyki. Rzuca mi ironiczne spojrzenie, ale wsiada za kierownicę. Ledwo się tam mieści. Uśmiecham się. Potrzebny jest nowy akumulator. Nie mam. On też nie, ale z miejsca jedzie do miasta i wraca z nowym. Przynosi mi go i zaczyna wymontowywać stary. Siadam obok i patrzę, co robi.

– Ludzie w miasteczku o ciebie pytali – rzuca spod nosa. Postanawiam nie brać tego za pytanie. Mimowolnie zaciskam szczękę i czuję, jak wszystkie mięśnie mojego ciała się naprężają. Widząc, że nie mam zamiaru nic mówić, ciągnie dalej:

– Wygląda na to, że znają tu twoją rodzinę i tych, którzy mieszkali w moim domu.

– Nie ulegam jego badawczemu spojrzeniu. Trzymam się. Legrandowie puścili farbę. – To dziwne, że teraz nikt z nich już tu nie mieszka. Od kilku lat dwa domy stały puste, a nagle pojawia się ja, potem zaraz ty. Gdzie byłaś przez ostatnie lata?

– Różnie. – Reaguję, machając dłonią.

– Ludzie w Gourdon gadają.

– Co gadają? – Nie wytrzymuję wreszcie.

– Mówią, że to wszystko przez jakąś wielką tragedię, co tu się wydarzyło. Dziwią się, że wróciłaś. Ale nikt nie chciał mi podać szczegółów, więc nie nalegałem. Nie ufają mi, bo jestem nowy. Więc może ty mi powiesz?

– To stare dzieje.

Próbuję się wymigać, ale wiem, że to nie ma sensu. W końcu i tak kiedyś się dowie.

– Domyślam się.

– Mój brat tu się powiesił, jak miał szesnaście lat.

Ze zdziwieniem zdaję sobie sprawę, że powiedziałam to zupełnie normalnie. Chyba pierwszy raz w życiu.

– Przykro mi – oznajmia i na moment przerywa majsterkowanie. Patrzy na mnie, ale odwracam wzrok.

– Miał na imię Robert. Byliśmy bliźniętami.

Jego ręce znów zastygają w bezruchu.

– Wiesz, dlaczego to zrobił? – pyta w końcu i nienawidzę go za to pytanie.

– Wiem – odpalam i podnoszę się z krzesła. – Zrobić ci kawy? – Zmuszam się do myślenia o kawie. Wyobrażam sobie jej brązowy kolor. Potem zapach. Wszystko, tyl-ko nie to.

– Tak, chętnie. Dziękuję.

Potem przeprasza. Wybaczam mu i postanawiam, że nie będę go o nic pytać. Pokażę mu, że potrafię się opanować i nie zajmować się nie swoimi sprawami. Dam mu dobry przykład, żeby mnie już więcej nie męczył.

Po południu jadę do Nicei. Nie wiem po co. Może jak kiedyś, na kawę? W małym bistro nieopodal plaży siadam przy wysokim drewnianym barze. Espresso. Naburmuszony kelner. Dwa euro. Niespodziewany zapach *la socca*<sup>15</sup>. Później spaceruję moją ulubioną Promenade des Anglais<sup>16</sup>, ale nie pomaga. Idę więc na zakupy. Jednak posiadacze białej koperty mają z tym problem. Nie wiedzą, czy warto cokolwiek kupować. Zmarnuje się, czy nie? Czy ten płyn do prania się przyda? Dlaczego nie robią mniejszych butelek? Nie wykorzystam w całości. Zdanie: „W życiu tego nie skończę!” nagle jest takie prawdziwe. Książki kupuję nie za grube, mimo że szybko czytam. Bo też nie wiadomo. Już dawno odpuściłam sobie wielotomówki. Po co zaczynać, jak się wie, że się nie skończy.

Ponad dwadzieścia lat temu późnym popołudniem biały peugeot 205 sunął gładko po cudownej promenadzie. Czekałyśmy na morską bryzę, aby wdarła się w końcu przez otwarte okna i upajała nas swoją świeżością, ale nie nadchodziła. Tylko to gorące, ciężkie sierpniowe powietrze falujące długimi włosami Malwiny. Bagażnik pełen włoskich nasion i trochę szynki parmeńskiej, którą ratowałyśmy przed upałem, maczając w lodowatych wodach Le Loup w drodze do domu z targu we włoskiej Ventimiglia. Opony dymiły na zakrętach, kiedy liczyłam kilometry i minuty, żeby go zobaczyć. Czekał na nas na progu z gitarą i zimną lemoniadą.

Kiedyś Marnix kazał mi nagrać, jak gra i śpiewa. Od kolegi ze studiów pożyczył kamerę na małe kasety. Miał to potem wysłać do wytwórni muzycznej. W

wolny weekend w ogrodzie w Gourdon robiliśmy milion powtórzeń. Po całym dniu na planie odtwarzaliśmy nagrania w jego pokoju. Był zły.

- Nie miałaś robić zbliżeń na mnie, tylko na gitarę!
- Ciebie też musi być przecież widać!
- Nie musi.

Nagrywałam to, co najważniejsze, ale moje nieprzy-zwyczajone palce nie mogły opanować szybkości zbliżeń. Słońce nas oślepiało. Miał na sobie okulary słoneczne, więc próbowałam bokiem dostrzec jego oczy. Nie podobało mu się, jak go filmuję. W końcu wyjął kasetę z kamery i teatralnym ruchem wypruł z niej całą taśmę.

- Nagram się na płytę. Sam wokół z gitarą. Przecież nie muszą mnie oglądać. Dałam spokój.

Jego ojciec zrobił potem z tej błyszczącej taśmy serpentyny na stracha na wróble, wystające ze sterczących na boki rękawów starej koszuli. Miało to udawać palce, mienić się w słońcu i skuteczniej odstraszać ptactwo od drzew owocowych w sadzie. Nigdy się nie przydało. Frędzle nie powiewały na wietrze, bo prawie nigdy tu nie wiało, a blask taśmy szybko spłóviał od gorących promieni. Dzisiaj zwłoki ogrodowej kukły przeplatanej zardzewiałymi prętami rozkładają się powoli na górze rupieci pozostawionych za ich domem. Sterta śmieci. Nikt tego nigdy nie wywiózł na wysypisko ani nie uprzątnął. Ja się za to oczywiście nie biorę.

Gdyby nie było kawy na szafce nocnej, to nie podniosłabym się. Jej brak uwięziłby mnie w łóżku na długie godziny, kto wie, może nawet na zawsze. Ból wstawania bez kawy jest nie do zniesienia. Dlatego codziennie przed snem zaparzam jej filiżankę i stawiam obok łóżka. Po przebudzeniu chwytam ją i małymi łydkami spijam czarną, zimną ciecz. Bez cukru, bez mleka, na leżąco. Tak budzę się do życia. Kiedyś budziłam się, patrząc, jak śpi. Wcześniej byłam w stanie podnieść się bez niczego i przygotować nam śniadanie. Teraz to zimna kawa przygotowuje mnie do stawienia czoła wszystkiemu. Nic bym bez niej nie zrobiła.

Moja cierpliwość jest dziś wystawiona na wielką próbę. Od rana wszystko mnie boli i zastanawiam się, czy będę zdolna do jakiegokolwiek wysiłku. Zimną ciecz piję łyk za łykiem, tak żeby kofeina równomiernie rozpląnęła się w moim krwiobiegu. Potem gramolę się z łóżka. Dobrze, że nic nie zaplanowałam. Siedzę na tarasie i robię zapiski, kiedy widzę Magnusa wracającego do domu. Noc znowu spędził poza nim.

- Cześć!
- Cześć! – odzywam się i zastanawiam, dlaczego jest taki rześki. Jak to się robi?
- Nie piekłaś czasem ciasta?

– Nie, nie piekłam.  
– Mogę przynieść kilka brzoskwiń z ogrodu, jak chcesz.  
– Nie chcę. Nie mogę. Nie dam rady. Złe się dzisiaj czuję.  
– Błada jesteś.  
– Skąd wracasz? – Wyrywa mi się, bo wolę zmienić temat.  
– Z piekarni – odpowiada pospiesznie i dodaje: – Możesz do mnie na chwilę przyjść? Pomożesz mi.

Nie mogę mu odmówić, naprawił mi auto. Idę więc. Powoli, ale idę.

Za każdym razem kiedy przechodzę przez ten próg, mam w gardle gulę. Czy to kiedyś minie? Może po wizycie Marnixa mi przejdzie. Zakoduję sobie raz na zawsze, że to już nie jego dom, że tu nie mieszka i że życie trwa i będzie trwało dalej, nawet jak mnie już tu nie będzie. Ale na razie się duszę. Znów prowadzi mnie na piętro. Mam ochotę zawrócić, ale co mu powiem? Wlokę się więc za nim. Wchodzimy do pokoju, który był sypialnią państwa Lanteri. Tyle że teraz jest tu tak wysprzątane, że ledwo ją poznaję. Duże nowe łóżko stoi w miejscu poprzedniego. Obok jest szafa. Dokładnie ta, co wtedy. Zostawili ją. A Magnus nic nie zmienił. Na jej widok staję jak wryta.

– Możesz mi pomóc? Nie mam pojęcia, jak to się robi. – Wyrywa mnie z paraliżu i sprawdza, na co tak patrzę. Pokazuje mi nową zapakowaną jeszcze pościel. – Co?

– Nic – odpowiadam speszona i odwracam wzrok od mebla.

Prześcieradło zakrywające siennik, potem to na materac i jeszcze pod kołdrę. Poszwy na kołdrę, na poduszki i na wałek. Tylko Francuz może wiedzieć co do czego. Uśmiecham się i jednocześnie zastanawiam, gdzie i w czym spał przez pierwsze pół roku, skoro dopiero teraz ściele łóżko. Trzymam jednak język za zębami.

– Spróbuję.

Każę mu zdjąć materac, stawia go przy ścianie, i zaczynam zakładać pierwszą warstwę.

– To się nawleka na siennik, żeby nie było widać jego boków.

– Okej – rzece zdziwiony i naciąga ze mną materiał.

– Połóż materac.

Robi to, o co go proszę. Nagle dobiega nas dźwięk telefonu. Przeprasza i migiem zbiega na dół. Zostaję sama. Stoję nad łóżkiem i puszczam trzymane w rękach prześcieradło. Nie mam siły. Wiem, że muszę się od tego odciąć emocjonalnie. Podchodzę jednak do szafy i robię wszystko to, czego nie powinnam. Patrzę, gładzę fronty drzwi, wacham. Zastanawiam się, czy nie otworzyć. Chowaliśmy się w tej szafie podczas zabawy. Odkryłam tam kryjówkę Marnixa i potem ukrywałam się w niej razem z nim. Za kurtyną ubrań jego mamy oddychaliśmy zakurzonym ciężkim powietrzem. Śmiałam się, a on mnie uciszał.

Im dłużej Robert nie mógł nas znaleźć, tym bardziej nie mogłam się -powstrzymać. Im bardziej mnie uciszał, tym głośniej się śmiałam. Bliskość Marnixa wywoływała we mnie nieopanowaną radość, a jego zapach już wtedy wyłączał mi rozum. Tak bardzo chciałabym teraz wejść do szafy i przesiedzieć w niej te kilka dni, które zostały do jego przyjazdu. A potem przyprowadzić go tutaj i zamknąć nas razem w środku. Niech mnie trochę poucisza. Może przypomnę sobie, jak się śmiać. Ale jest Magnus. I teraz stoi tu i patrzy, jak tulę się do mebla. Jak ja mu to wytłumaczę?

– Lubisz stare meble?

– Uwielbiam.

– Chcesz tę szafę? – pyta półgłosem, unikając mego wzroku. Pewnie bierze mnie za nienormalną. Nie dziwię mu się.

– Tak.

– Okej. Przeniosę ją do ciebie, jak będę miał czas. Nie jest w moim guście.

Nic nie mówię. Cieszę się, że będę miała naszą szafę. Po chwili Magnus dodaje, patrząc na łóżko: – Widzę, że czekałaś na mnie z robotą.

– Mówiłam ci, że nie mam siły. Nie jestem dziś w formie.

– To powiedz mi jak, a ja to zrobię.

Nagle mam trudności z przypomnieniem sobie, jak ściele się łóżko. Ale jakoś się udaje. Potem wracam do siebie. Nie daję się namówić na wspólny obiad. Wchodząc do domu, odbieram telefon od Janka:

– Jak sobie radzisz?

– Dobrze.

Moja odpowiedź chyba mu nie wystarcza albo jestem mało przekonująca, bo nic nie mówi i czeka na kontynuację. Nie chcę kłamać. Prawda jest taka, że ledwo sobie radzę, że szaleję ze stresu i podniecenia jednocześnie, że umieram ze strachu, co będzie potem. Albo że mnie wszystko boli. Kto by chciał wysłuchiwać tak okrutnej prawdy? Oszczędzam mu tego, bo go kocham.

– Cieszę się – odzywa się w końcu zrezygnowany. Pewnie mi nie wierzy. Ma rację. Ja też sobie nie wierzę.

– Jak wygląda dom?

– Nawet nieźle. Bałam się, że będzie gorzej. Nie trzeba remontować.

– To świetnie! – Udaje zadowolonego, ale w jego głosie słyszę smutek.

– W domu Marnixa mieszka Amerykanin – rzucam, żeby znów udawać.

– Sprzedali jednak?

– Sześć miesięcy temu.

– Czym się zajmuje?

– Twierdzi, że buduje domy, ale nie widzę, żeby dużo pracował. Dziwny jest trochę.

– Często się widujecie?

Nie odcinam się od razu, bo mnie zaskakuje. W końcu strzelam do niego,

kiedy udaje mi się uspokoić oddech:

– Nie widzimy się. Czasami go widzę. Czasami wpadnie. Zresztą, co za głupie pytanie.

– O to właśnie pytałem.

– Nie. Pytałeś o to, czy się z nim spotykam, a nie, jak często go widzę. To różnica.

– Podenerwowana jesteś. Coś się dzieje? Coś jest nie tak?

Wszystko jest nie tak, myślę, ale reaguję:

– Nie. Prze-praszam. – Jak mu powiem, że za parę dni będzie tu Marnix, to znów się pokłócimy.

– A może on jest w twoim typie, co? – Nawet nie wysila się na żartobliwy ton. Pyta poważnie i to najbardziej mnie denerwuje. Mam ochotę rzucić słuchawką, ale tego nie robię. W razie potrzeby właściwie tylko do niego mogę zadzwonić.

– Nie jest – rzucam i udaję spokój. Jestem bałaganem. Jednym wielkim chaosem. Tak po prawdzie nawet nie wiem, czy Magnus jest w moim typie. Naprawdę się nad tym nie zastanawiałam. Nie patrzę na niego w takich kategoriach. W ogóle na niego nie patrzę. Nie potrafiłabym określić, jakie ma rysy twarzy, kolor włosów czy oczu. Wiem, że jest wysoki i umięśniony. Boże, nawet nie znam jego uśmiechu. Czy się uśmiecha? Skąd mam wiedzieć? Czy ja w ogóle mam swój typ? Mam. Oczywiście, że mam! Będzie tu w piątek.

– Mama się o ciebie martwi. – Janek przerywa moje rozmyślenia, rozpoczynając kolejny trudny temat, z którego próbuję wybrnąć jak najszybciej:

– Od tego są mamy.

– Mogłabyś do niej zadzwonić.

– Nie mogę. Nie mam kasy. Ty zadzwoń i powiedz, że wszystko dobrze.

– Opłaciłem twoje rachunki. Za telefon i internet też.

Zapada kłopotliwa cisza, którą kończę pospiesznym:

– Dzięki.

– Spoko – stwierdza i nie wiem już, komu robi się bardziej głupio z tego powodu: mnie czy jemu.

– Na razie nie mogę. Ale zadzwonię. Obiecuję.

Co ja bym zrobiła bez Janka? Jest moim aniołem stróżem. Tyle razy wyciągał mnie z tarapatów. Zawsze mogę na niego liczyć. Jest cudownym starszym bratem, ma idealną pracę i rodzinę. Syn, mąż i ojciec na medal. Ucieleśnienie perfekcji. Nadrabia za nas wszystkich. Jedyny, który się udał. O reszcie lepiej nie wspominać. Jedno gorsze od drugiego.

Ogólnie biorąc, Janek jest zajęty, ale zawsze znajduje dla mnie czas. Między odwożeniem dziecka numer trzy do żłobka, dziecka numer dwa do przedszkola i dziecka numer jeden do szkoły, musi zdążyć do pracy w wielkim warszawskim biurowcu i siedzieć tam do wieczora. Potem wraca do domu i jest wspaniałym

ojcem i mężem. Znosi naczynia do zmywarki po kolacji, daje dzieciom buziaka na dobranoc. A w weekend bawi się klockami, lalkami i w szkołę. Jest mistrzem Duplo Zoo i zna imiona wszystkich księżniczek Disneya. Jak on to robi? Nie wiem. I pomyśleć, że ten dzieciak zbierał kiedyś kolorowe puszki po zagranicznych napojach!

Zastanawiam się, dlaczego nie widzę tego, co dzieje się wokół mnie. To niepokojące, że nie wiem, jaki kolor włosów ma Magnus. Chyba krótkie i ciemne. A może nie ma włosów? Chyba je goli. Przecież widziałam go już z dziesięć razy. Więcej, może ze dwadzieścia. Przychodzi do mojego domu. Jadłam z nim kilka posiłków. Byłam z nim na pogotowiu. Ścieliłam mu łóżko, a nie wiem, jakie ma oczy! To już chyba przesada. TO nie może być jedyną przyczyną. Naprawdę przeginam. Od tygodni skupiam się na jednym: na przyjeździe Marnixa. Na naszym zaplanowanym spotkaniu. Może nie powinnam aż tak bardzo tego przeżywać. Na pewno nie powinnam, bo co zrobię, jak wyjedzie? No właśnie. Co będzie potem? Bo wyjedzie na pewno. Wróci do swojego życia, do swojej rodziny. Potem zostaniemy: biała koperta i ja. I to będzie koniec. I to nie taki zwykły, ale najgorszy z możliwych końców.

Złość. Często wpadam w złość. Denerwuję się. Rzucam mięsem. Rozdaję darmowe kopniaki meblom. Nie potrafię się buntować, ale czasami się boję.

Żeby czas leciał szybciej, o zgrozo!, postanawiam usiąść do komputera i popracować trochę nad książką. Tym bardziej, że gdy otwieram skrzynkę mailową, odkrywam kolejne ponaglenie od wydawcy. Chce, żebym przesłała mu to, co mam. Chociaż fragment, aby wiedzieli, „na czym stoimy”. Na skrzyni, do diaska, na skrzyni! Przeglądam, poprawiam, kartkuję. Jak mam to wysłać? Tekst jest tak słaby, że wstyd mi nawet przed samą sobą. Zdania nieporadne, słowa niedobrane, fabuła się nie klei, flaki z olejem, wątki pootwierane, wszystko się rozłazi co trzy akapity. Każdy największy wydrukowany gniot tego świata to przy tym arcydzieło. O postaciach nie wspominając. Tego nie da się czytać, a co dopiero pisać. Daję sobie spokój. Zwalniam się z tego obowiązku. Odpuszczam. Muszę na razie zapomnieć o pisaniu. I tak nikt tego do końca pewnie nie doczyta.

W dodatku wieczorem usłyszałam jego piosenkę w radiu. Stało się. Jak już się zaczęła, nie mogłam wyłączyć. Nie byłam na nią przygotowana, więc zmiotła mnie z powierzchni ziemi na dwa dni. Dwa długie dni bez gruntu pod nogami, w wodzie po sam czubek głowy. Potem fale wyrzuciły mnie na brzeg. Leżę teraz, drzę z przejścia i nie potrafię się otrząsnąć. Jak ten wieloryb. Ocieżała, spanikowana i wykończona tym leżeniem. Tkwię w łóżku do wieczora jak ofiara losu. Czekam, aż ktoś przyjdzie i powie mi, jaka jestem żałosna. Aż skopie mi

tyłek, da mi w mordę albo chociaż mną potrząśnie i wykrzyczy: „Przestań się nad sobą użalać! Wstań i zrób coś, kobieto!”.

Ale nikt nie przychodzi.

Budzę się po dwudziestej zupełnie mokra. W dzień musiało być ze sto stopni. Prawie się rozpuściłam. Po-ściel cuchnie moim potem. Zdejmuję ją i wrzucam do pralki. Potem nalewam sobie różowego wina i kiedy słońce w końcu chowa się za górami, w piżamie leniwie wyłamiam się na ganek. Siadam i sącę mój ulubiony świeży napój. Magnus podjeżdża swoim wielkim autem.

– Gdzie się podziewałaś, sąsiadko? – zagaduje, wysiadając i idzie w moim kierunku.

– Nigdzie. Chowalam się przed upałem.

– Dwa dni? – Nie odpowiadam. Sama się dziwię, że jedna piosenka sprawiła, że zniknęłam na tyle czasu. – Przy-grzewa, to fakt. Podobno ma być jeszcze gorzej.

– W sierpniu będzie tu jak w piekle. Zobaczysz. Chcesz wina? – Wskazuję na kieliszek.

– Nie, dziękuję, przy tych temperaturach wolę wodę – oz-najmia niepewnie, jakby moje wino było trucizną. Jest tanie, ale nie najgorsze. A na lepsze i tak mnie nie stać. Poza tym jest już przecież wieczór. Magnus mierzy mnie wzrokiem. Naciągam więc przykrótkawą koszulę. Siada ze mną na schodach i bierze wielkiego łyka wody z butelki. Denerwuje mnie. Przez chwilę nic nie mówi, aż w końcu zadaje mi pytanie:

– Miałaś kiedyś rodzinę? – O nie...

– To znaczy? – Strugam wariata.

– To znaczy męża, dzieci...

– Nie. Miałam chłopaka, ale się rozstaliśmy. A ty?

– Już ci mówiłem, że jestem rozwiedziony.

– Dlaczego się rozwiodłeś?

– Miałem powód. – Teraz on udaje, że konwersacja go nie interesuje. Sam zaczął, to ma.

– Nie wątpię. – Łapczywie spijam zimne wino.

– Ale nie chcę o tym rozmawiać. Świeże rany...

– Rozumiem. Nie musisz. Tylko po co zaczynać? – szepczę, a on przyznaje mi rację małym, niemym skinięciem. Magnus jest emocjonalnym rozbitkiem. Tak jak ja. Wiem, co czuje. Wiem, o co mu chodzi. Ale nie mam na to siły. Kończy mi się wino. Idę do kuchni i wracam z dwoma pełnymi kieliszkami. Musi problem zapać i tyle. Zgadza się, to słaba rada. Ale jedyna, jaką teraz mam w rękawie. Podaję mu alkohol, bierze go, nie walczy, upija trochę i wzdycha głośno:

– Masz problem z hydrauliką?

– To znaczy?

– Nie masz wody w łazience?



– Mam. Bo co? – Z jego miny wyczytuję nagle, o co chodzi.  
– Bo... Mogę rzucić okiem, jak chcesz. Znam się na tym.  
– Śmierdzą? – pytam po chwili kłopotliwej ciszy. Kłopotliwej dla niego, bo mi nawet nie jest wstyd. Mam to naprawdę gdzieś.  
– Trochę. – Jego oczy pospiesznie mierzą wzrokiem moją osobę. Wstydy się za mnie. Robi mi się go żal, więc ratuję sytuację:  
– Obiecuję, że jeszcze dzisiaj wejdę pod ten okropny prysznic.  
Kiwa głową i odchodzi bez pożegnania czerwony jak burak. Zaplanowałam, że się umyję. Serio. Przed wyjazdem na lotnisko. Wiem, że śmierdzą, ale już się do tego przyzwyczaiłam. Zrobię coś z tym, żeby nie musiał się ze mną tak męczyć. Szkoda, że pod prysznicem razem z brudem nie da się zmyć z siebie tłuszczu i wspomnień. Szorowałabym się wtedy szczotką dwa razy dziennie. On pewnie tak robi.

Czy stracić rodzinę, rozwieść się, to to samo, co stracić brata bliźniaka? Chyba nie. To chyba coś zupełnie innego. Rozmyślam. Nie mogę spać, zaprzatają mnie myśli o dziewczynce z Cipières. Sprawdzam w internecie lokalne wiadomości. Nadal jej szukają. W końcu udaje mi się zasnąć.

Śni mi się, że nocą biegnę przez rzadki gaj. Ten, który otacza dom, który dobrze znam. W moim śnie las powoli się zagęszcza. Przyspieszam kroku. W końcu cwałuję. Ściemnia się, zaciemnia. Drzewa stają się wyższe, szersze i nagle przerwy między nimi robią się wąskie. Wpadam w ich głębię. Muszę się przez nie przeciskać, wrywać. Biegnę co sił, aż do momentu, kiedy ich gęstość mi na to nie pozwala. Upadam i wydieram nogi z oplatających mi kostki konarów. Krzyczę w mroku, przerażona, ale nikt mnie nie słyszy. Szarpię się, walczę, jednak korzenie wrastają mi pod skórę, wbijają się do ust. Na siłę. Las mnie pochłania. Je mnie łapczywie. Pożera niczym potwór.

17

Umyłam się. Chciałabym napisać, że wyglądam teraz bardziej rześko, ale tak nie jest. Przynajmniej nie śmierdzą. Po umyciu samodzielne ścięcie włosów odkryło swoje prawdziwe oblicze. Mam na głowie strzępy kłaków. W sumie można by to nazwać samookaleczeniem, wygląda naprawdę okropnie. Do tego stopnia, że zaczynam wyrównywać, ale idzie mi coraz gorzej, bo nie mam oczu dookoła głowy. Jedyne rozwiązanie, to iść do Magnusa i poprosić o pomoc. Idę. Jego auto stoi przed domem, powinien więc być w środku. Pukam. Cisza. Dzwonię. Nie odpowiada. Zaglądam na tył domu, ale w ogrodzie też go nie ma. Wracam do drzwi i próbuję raz jeszcze. Po chwili wzdycham głośno i wołam:

– Magnus, jesteś tam?

Nie chcę wchodzić nieproszona jak wtedy, bo wiem, że tego nie lubi.

– Magnus! MAGNUS! – Nie odpowiada. Naciskam lekko na klamkę, a ta otwiera przede mną jego dom. Niepewnie robię krok do przodu. Jedną nogą już jestem w środku. Wołam. Nie słyszy. Jak to możliwe, że jest w domu i mnie nie słyszy?

– Magnus, to ja. Gdzie jesteś? Słyszysz mnie?

Nie ma go. Badawczo posuwam się dalej. Zapuszczam się w głąb pustym korytarzem, w którym kiedyś stały dwie konsolki i wąskie lustro. Jestem w salonie. Nie ma tamtych mebli, jest za to nowiutka czerwona kanapa z Ikei i ława ze szklanym blatem, lśniącym jakby ktoś dopiero go wypolerował. Pod ścianą, która oślepia śnieżnobiałą bielą, na ziemi stoi ogromny telewizor. Kilka wypalonych świeczek na kominku stanowi jedyną i wątpliwą dekorację. Pusto tu i tak czysto, jakby ktoś codziennie dokonywał pełnej sterylizacji każdego kąta, myślę, przypominając sobie dawny wygląd salonu i tony kurzu. Brakuje stołu z krzesłami, foteli i komody, które stały tu od zawsze, a papierowy biały żyrandol naprawdę do niczego nie pasuje. Przechodzę do kuchni, zdjęcie blondyneczki zniknęło z lodówki, a na stole stoi napoczęty słoik małych korniszonów i pusty karton po piwie 1664. Czyli jednak tu mieszka. W pokoju, który kiedyś był biurem, zastaję tylko pustkę. Wchodzę na górę. I będąc na schodach, zdaję sobie sprawę, że nie szukam już Magnusa, że jedynie zwiedzam dom. Jakbym odbywała wycieczkę po muzeum mojego życia. Robię dokładnie to, na co miałam tak wielką ochotę od momentu, kiedy tu wróciłam, i czego się tak bardzo bałam. Wychodzi na to, że samej jest mi tu różniej. Rozkoszuję się więc każdym momentem. Łazienka u góry jest dokładnie taka, jak wtedy. Zielona. Z tą dziwną połówką wanny, której druga część jest siedzeniem, gdzie myłam mu kiedyś plecy, gdzie kochałam się z nim milion razy... Do której wślizgnął się raz gwałtownie i niezdarnie niczym zapite w trupa ocieźnięte ciało. Obok jest małe okno, na którego parapecie stały butelki perfum jego matki. Całe rzędy pachnących flakonów, kilometry kolorowych fiolek. Dalej wita jego pokój, ten z kablami i gitarami. Staję przed nim i zastanawiam się, czy wejść. Biorę głęboki oddech i uchylam drzwi. Potrzebuję chwili, żeby mój wzrok przyzwyczaił się do półmroku, jaki w nim panuje. Tu jest jak było – kurz i bałagan. Patrę w kierunku okna, pod nim powinno stać jego łóżko. I stoi. Robię krok w tył i zamykam drzwi, bo więcej nie zniosę. Muszę przestać histeryzować. To przecież niepojęte i niczym nieuzasadnione. Prostuję plecy i ruszam do sypialni rodziców Marnixa. Szafa nadal tam jest. Nie mogę się powstrzymać. Otwieram ją. Po lewej stronie wiszą nagie wieszaki. Po prawej, na półkach, też nie ma wielu ubrań. Koszulki i spodnie, wszystko w ciemnych kolorach. Jedna rzecz się różni i dlatego przyciąga mój wzrok. Nie jest złożona na kupce razem z resztą, ale wciśnięta w głąb i zwinięta niedbale w kłębek. Sięgam więc po nią, bo tu nie pasuje. To dziewczęca lekka sukienka. Jest z cienkiej różowej bawełny. Odkładam ją szybko, żałując, że jej dotknęłam. Schodzę najszybciej, jak mogę i dopiero teraz

przypominam sobie, po co tu przyszłam. Wołam więc z nadzieją, że jednak go znajdę, ale nie odpowiada. Dobrze się chowa. Ostatnie miejsce, gdzie może być, to piwnica i stamtąd rzeczywiście mógłby mnie nie słyszeć. Idę więc schodami na dół.

Podziemie ma dwa główne pomieszczenia połączone wąskim korytarzem. Jedno małe, drugie duże. Byłam tu kilka razy. Między innymi z chłopakami, kiedy założyliśmy się, które z nas wyniesie potajemnie dwie butelki wina. Mieliśmy po piętnaście lat i bardzo nas suszyło. Pamiętam wilgoć i jasną lampę zwisającą z niskiego sufitu z kablami na wierzchu. Marnix wygrał nasz zakład. Miał wprawę. Potem pijani, śpiewaliśmy piosenki Francisa Cabrela.

Zatrzymuję się w połowie drogi, bo uderza mnie ostry smród. Im bliżej piwnicy, tym większy. Kiedy stoję już pod jej drzwiami, odór jest praktycznie nie do zniesienia. Zatykam nos i pukam. Wtem dobiega mnie głuchy dźwięk zza drzwi. Uderzenia. Dlaczego myślę o tasaku i drewnianej desce? W piwnicy domu Magnusa musi być trup. Nic innego nie może wytłumaczyć tego smrodu i odgłosu. Wyobrażam sobie teraz, jak gospodarz stoi nad wielkim stołem i tnie czyjeś martwe ciało na kawałki. Nie pukam więcej. Uciekam stamtąd najszybciej i najciszej jak potrafię, mimo że nawet nie mam pojęcia, czy ktoś tam jest.

Kiedy sąsiad odwiedza mnie wieczorem, nie przyznaję się, że u niego byłam. Po raz pierwszy obserwuję go uważnie. Boję się pytać o podziemne lochy w jego domu, zapach i trupa. Pytam więc o włosy i stwierdzam, że jest praktycznie łysy.

– Umiesz strzyc?

– Nie. Golę się maszynką, jak widzisz. – Przejeżdża ręką po kilkumilimetrowych włoskach na głowie.

– No to chodź, nauczysz się.

Idziemy do łazienki. Jej widok robi na nim wrażenie. Nie dziwi mnie to, na każdym by zrobił. Podaję mu nożyczki i zastanawiam się, czy to dobry pomysł. Wyrównuje, jak potrafi. I tak lepiej ode mnie. Widzę, że go to peszy, dlatego staram się skupić na jego ruchach, a nie na zakłopotanej twarzy odbijającej się w zapaćkanym lustrze. Ręce najbardziej przyciągają mój wzrok. Duże, władają nożycami z zadziwiającą lekkością. Może ma w sobie ukryty talent? Po pół godzinie mam włosy do ramion. Równe. Wydaje się zaskoczony wynikiem, a ja myślę, że nadawałby się na fryzjera. Na rzeźnika pewnie też.

Dwa dni. Tyle zostało do przyjazdu Marnixa. Od wczoraj boli mnie głowa. Nie spałam przez to prawie całą noc. Nad ranem wzięłam tabletkę przeciwbólową i tylko dlatego udało mi się zasnąć na całe dwie godziny. Potem znów obudziło mnie ostre pulsowanie skroni. To zaczyna być nudne. Ta bezsenność, migreny, ten upał i czekanie. Dwa dni jak dwa lata. Wykończę się. Zastanawiam się, jak zacząć ten

dzień. Piję w łóżku kawę i zerkam na drzwi łazienki. Polacy myją się wieczorem przed spaniem. Francuzi robią to rano, przed pracą. Ja nie myję się wcale. No, może nie do końca. Powiedzmy, że myję się rzadko, na specjalne okazje. I mimo dobrych chęci, chyba tak zostanie. W końcu zmuszam się, żeby wstać i zejść do kuchni. Sprawdzam termometr za oknem. Trzydzieści dwa stopnie, a jest dopiero dziewiąta rano. Na stole czeka na mnie telefon z dwoma nieodebranymi połączeniami z polskim kierunkowym. To nie jest numer Janka ani mamy. Rzykuję. W końcu raz się żyje.

– Cieszę się, że dzwonisz. Martwimy się o ciebie, bo nie odpowiadasz na wiadomości e-mailowe. – I po co mi to było? Mój wydawca udaje, że się martwi. Tak naprawdę chce wiedzieć, co z książką, czy zdążę ją skończyć. Skąd mam to wiedzieć.

– Idzie mi jak krew z nosa.

– To niedobrze.

– No niedobrze, ale co począć? Staram się, jak mogę. – Kłamię jak z nut. Ostatnio jestem w tym coraz lepsza. – Prze-stańcie do mnie dzwonić. Odezwę się, jak będzie gotowe. A jak nie zdążę, to mój brat prześle wam nieskończony plik. Ktoś to może dociągnie do mety. Najlepiej Kinga. – Kinga to moja redaktorka. Zna mój styl, rozumie moje książki.

– Wolałbym, żebyś to była ty.

– Wiem, ale cały czas boli mnie głowa. Na razie o pisaniu nie ma mowy. Notuję coś zaledwie od czasu do czasu.

Słyszę, jak Patryk wzdycha do słuchawki, ale nic nie mówi. Po chwili ciszy, kiedy już mam zamiar się żegnać i uwolnić od tej rozmowy, podpytuje jednak:

– Zdecydowałaś się na terapię?

– Tak.

– To świetnie. Jesteśmy dobrej myśli. Kiedy zaczynasz?

– Za dwa dni.

Są dobrej myśli? Co to w ogóle znaczy? Przebranzowali się na lekarzy czy jak? Nie ma dla mnie terapii ani dobrej myśli. Wydaje się, że oni tego nie wiedzą. Tak jak ja nie wiem, co tak naprawdę jest w prochowickim pasztecie z kurcząt, i szczerze mówiąc, wolę, żeby tak zostało, bo się domyślam. Jednak nie czytam składu, bo czasami mam na niego wielką ochotę. Dzisiaj na przykład. Chce mi się polskiego chleba z pasztetem i ogórkami, ale nie mam.

Jak ja to zrobię? Jak skończę tę książkę? Skoro już teraz nie mogę się skupić, to potem na pewno nie będzie lepiej. Dobrze byłoby trochę podgonić akcję, żeby zostały wyłącznie opisy. W najgorszym wypadku opisy może dokończyć za mnie ktoś inny.

Okej. Akcja. Skupienie. Komputer.

Wstydzę się, bo nie piszę wszystkimi palcami. Uży-wam trzech u każdej

ręki. Pewnie komicznie to wygląda. Nigdy nie nauczyłam się stukać dziesięcioma, bo pan od informatyki w szkole też tego nie opanował. Jest mi głupio, bo pisarka powinna to potrafić. Po śniadaniu zbieram się na odwagę i otwieram laptopa. Robię kolejne podejście. Szukam pliku. Nigdy nie musiałam tego robić, a teraz nie jestem w stanie przypomnieć sobie, jak nazywa się dokument z tekstem mojej książki. Tak źle jeszcze nie było. *Na zawsze Marnix*. Jest. Klikam. Otwiera się. Czytam i mam ochotę wszystko skasować. Wyczuwam ten nieprzyjemny smak w ustach, który przepowiada złe rzeczy. Zamykam okienko z tekstem, zanim emocje przejmą nade mną kontrolę. Internet wydaje się bezpieczniejszy. Czytam bzdury, marnuję czas. Cały świat w zasięgu trzydziestu centymetrów od mojej twarzy, a ja siedzę tu sama i się męczę. Bez niego. Sprawdzam godzinę. Odmierzam -minuty i chwile. Jest już po południu. Jakoś się trzymam. Może nawet wytrzymam. Muszę, więc wytrzymam.

– Pati, czy twój sąsiad często wraca na noc? – Yannik dzwoni do mnie z pytaniami.

– A skąd mam to niby wiedzieć? – Udaję idiotkę, bo nie chcę, żeby wziął mnie za śledzącą ludzi wariatkę tudzież sąsiadkę-podrywaczkę. Ale chyba na jedno wychodzi.

– No, może widzisz, kiedy jego auto stoi przed domem. Mieszkacie na jednym podwórku przecież.

– A... No tak, rzeczywiście zauważyłam, że raczej znika na noc – przyznaję nieśmiało. Nie zniosę pytań o znajomość, przyjaźń czy, nie daj Boże, flirtowanie.

– Nie wiesz gdzie?

– Nie mam pojęcia. A co? Macie coś?

– Nic. Dlatego pytam.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy wyjawic mu informacje o piwnicy. Ale co mu powiem? Że czasami ponosi mnie wyobraźnia? I tak już wszyscy tu myślą, że jestem szalona.

Potem znowu siedzę sama. Wariuję. Myślę. A może ja potrzebuję tej samotności, żeby wszystko wreszcie zrozumieć? Żeby w końcu do mnie dotarło. Żeby prawda tragedii, przeszłości i naszego rozstania przesiąkła przez wszystkie komórki mojego ciała? Bo na razie spływa po mnie tylko jak po kaczce.

„Uwielbiam cię. Uwielbiam cię. Uwielbiam cię”... I nawet jakbym zapełniła tysiąc stron jego słowami i tak nie oddadzą tego, jak bardzo byłam z nim szczęśliwa. Marnix ciągle to powtarzał. Nigdy „kocham cię”, zawsze „uwielbiam”. Jak zapytałam kiedyś, dlaczego tak mówi, odpowiedział, że uwielbiać kogoś znaczy więcej niż kochać. Bo do kochania można się czasem czuć zobligowanym. Uwielbiać można tylko z własnej woli. Dlatego nigdy ich nie zapomnę. Tego nie da

się zapomnieć. Po polsku mówi się jeszcze „ubóstwiam”, ale to raczej ja ubóstwiałam jego.

Dziś, w ostatni dzień przed przyjazdem Marnixa, wyruszam do Châteauneuf na zakupy. Muszę zaopatrzyć się w jedzenie na trzy dni, w rzeczy, które może jeść i które lubi. Zajmuje mi to pół dnia, bo nie mogę się zdecydować. Bo jest upał i nawet w sklepie panuje duchota. Bo wlokę się jak żółw noga za nogą. Dwa razy wycofuję się z kasy i wracam między regały, żeby coś jeszcze dokupić, wymienić, bo zmieniłam zdanie. Wydaję większość moich pieniędzy. Mam nadzieję, że *450 stron* sprzedaje się świetnie i że za parę dni dostanę trochę forsy z wydawnictwa. Inaczej nie wiem, za co przeżyję następny miesiąc. Nie mogę ciągle dzwonić do Janka.

Wieczorem, zanim upiję się różowym winem, tłumaczę Magnusowi przez płót, że nazajutrz jadę do Nicei po Marnixa. Przez następne trzy dni będę zajmować się moim gościem. Niech nam nie przeszkadza. Wpadniemy na pewno do niego, żeby rzucił okiem na rzeczy pozostawione w domu.

– To twój były chłopak? – Ciągnie mnie za język i zastanawiam się, skąd to wie.

– Tak.

– Będiesz o niego walczyć?

– A powinnam?

– Nie wiem.

Potem jest noc. Udaje mi się zasnąć. Śnię realistyczne sny, a po przebudzeniu czuję, że się spełnią i chciałabym, żeby tak to wyglądało. W moim śnie Marnix i ja jesteśmy razem na łóżku: on siedzi, ja leżę. Trzymam głowę na jego kolanach. Gładzi moje włosy, a jego usta szepczą słowa pocieszenia, efemeryczne formułki jak z kruchej porcelany. Zapewnia, przysięga, zarzeka. Rozczuła się. Kłamie jak z nut, że będzie dobrze. I robi mu się po tym obrzydliwym kłamstwie niedobrze. Ale się powstrzymuje i trwamy tak razem aż do końca. Dobrze mi, bo jest ze mną. Nie boję się, bo jest ze mną. Właśnie tak chciałabym umierać.

Rano leżę, zwijam się w kłębek. Chciałabym mieć apetyt. Brakuje mi rzucania się z chęcią na jedzenie, rozkoszowania się smakami. Ale to chyba jedyna zaleta TEGO: utrata wagi. Chudnę i to w chorym tempie. Może nawet uda mi się wkrótce odzyskać młodzieńczą figurę.

Na dole dzwoni telefon, ale nie mam siły biec po schodach. Czekam, aż przestanie. Wczoraj widziałam nieodebrane połączenie z hiszpańskim kierunkowym. Czyżby Janek dał cynk Chudemu? Inaczej by do mnie nie zadzwonił. Krzysio zabronił mi pisać o nim w książkach, ale nie przejmuję się jego

zakazami. Poza tym i tak nie mam zamiaru rozwlekać się na temat jego ćpania, odwyku, znowu ćpania i znowu odwyku czy nieudanych związków, udawanych (lub nie) prób samobójczych i innych bardziej lub mniej żałosnych sposobów zwracania na siebie uwagi. Krzysio, daj sobie spokój, jestem w tym lepsza. Nie ma bata. Ale życie didżeja na Ibizie pewnie łatwe nie jest, więc Chudemu daję spokój. Nie oddzwaniam.

Nagle prawie umieram na zawał. Ktoś nade mną stoi. Magnus. Jaki on jest potężny! To, że go rozpoznaję, wcale mnie nie uspokaja.

– Co tu robisz?

– Pukałem, dzwoniłem, telefonowałem nawet, ale nie słyszałaś.

– Trafił swój na swego – cedzę pod nosem.

Patrzy na kolekcję buteleczek z lekami nasennymi i przeciwbólowymi, która zalega na szafce nocnej. Z tego na pewno nie będę mu się tłumaczyć. Niech myśli, co chce, jest mi wszystko jedno, nie wstydzę się ani bólu, ani bezsenności. Wczoraj przez to całe zamieszanie z piwnicą i zakupami zapomniałam zrobić sobie kawy na rano. Nie wstanę.

– Co?

– Nic. Mocno spałam.

– No właśnie widzę.

Wymownie rzuca okiem na flakoniki z tabletkami. Niech spada.

– Czego chcesz?

– Mam problem z urzędowym francuskim. Możesz mi to przetłumaczyć? – Prosi i podaje mi kartkę papieru. Chowam się pod kołdrą, bo widzę, jak zerka na moje gołe nogi.

– Co to jest?

– Listonosz mi to właśnie przyniósł poleconym.

Czytam i zaczynam się denerwować.

– Wezwanie na komisariat.

– No właśnie. Tak myślałem, ale nie byłem pewny. O co może chodzić?

O piwniczną kryptę, mówię w myślach, i zastanawiam się, czy mam to również wypisane na czole. Czuję, jak -język staje mi kołkiem, ale jakoś udaje mi się powiedzieć:

– Policja szuka tej dziewczynki z Cipières. Nie słyszałeś o tym?

– Nie – odpowiada ciszej. Chcę spojrzeć mu w oczy, ale nie mam odwagi.

– Zaginęła. Wszędzie jej szukają. U mnie też byli. Przesłuchują okolicznych mieszkańców. Nie było cię wtedy. Może chcą nadrobić i dlatego cię wzywają.

– Pewnie tak – odpowiada i dodaje: – Zbieraj się. Wsta-wiłem wodę na kawę. Czekam na dole. – Pospiesznie zbiega do kuchni.

Dlaczego tak się spoufala? Od kiedy staliśmy się kumplami? Od zabawy w fryzjera? Pewnie chce mnie teraz w swojej piwnicy na stole. Ubieram się

najszybciej jak mogę i układam sobie mowę. To musi się skończyć. Nie może przychodzić tu co rano na śniadanie, nie może wchodzić jak do siebie i się do mnie przyzwyczajać. Szczególnie teraz, jak nie będę sama. Przecież go prosiłam! Nie może gapić się na moje gołe nogi, robić sobie nadziei ani prosić mnie o cokolwiek. Muszę być z nim szczerą. Schodzę do kuchni i zdobywam się na odwagę.

– Słuchaj, tak nie może być dalej. – Zaczynam. Na stole stoi talerz z croissantami, dzbanek świeżo zaparzonej kawy, a obok dwa kubki, w tym jeden niebieski. Teraz już cedzę słowa przez zęby, żeby nie wybuchnąć. – Musisz przestać tu przychodzić. To nie knajpa. Nie chcę, żebyś tu był co rano. Nie chcę twoich pytań i tego wszystkiego. Mówiłam ci, że będę miała gościa. Chcemy być sami. Poza tym zapomnij o mnie, bo mnie niedługo i tak nie będzie. Nie ma sensu, żebyś się przyzwyczajał. Idź i daj mi święty spokój!

– Wyjeżdżasz? – Wyłapał to najważniejsze z potoku moich słów.

– W pewnym sensie.

– A mówiłaś, że zostajesz tu już na zawsze.

– Zmieniłam zdanie.

Nie wiem, po co to powiedziałam i jak to zrozumiał, ale wyszedł, nie żegnając się. Czuję się teraz okropnie. Na szczęście moje myśli szybko wracają na swoje miejsce. Do najważniejszego punktu dnia, tygodnia, miesiąca i roku. To dzisiaj. W końcu zaczynam się szykować do wyjazdu na lotnisko do Nicei. Biorę prysznic. Tuszuję rzęsy i myję zęby. Nakładam dezodorant. Zakładam dawno temu przygotowane ubranie, które nagle okazuje się za luźne: sukienkę i czarne buty. Obcasy grube, ale wysokie. Na uszach szajsowate długie kolczyki. Za cztery euro udają diamenty. Tak jak ja udaję szyk i powabność. Nie sprawdzam, jak wygląda całość, bo jeszcze się wystraszę. Jednak kryształ lustro łapie mnie w biegu po schodach. Lśniące oczy dzika też mnie rejestrują. Dom mnie sprawdza i obserwuje. Zerkam więc. Nie przypominam siebie. W lustrze wyglądam dobrze. Pewnie mam omamy.

Jadę! Jego samolot ląduje o szesnastej piętnaście. Od czasu, kiedy kilka tygodni temu zakiełkował w mojej głowie pomysł nawiązania kontaktu, wyobrażałam sobie tę chwilę. Teraz wreszcie nadeszła.

1 Katarzyna Nosowska, Piotr Banach, *Zazdrość*, w: Hey, *Fire*, Izabelin Studio, 1993.

2 Mowa o katastrofie reaktora atomowego w 1986 roku w Czarno-byłu (Ukraina), po której dzieciom w Polsce podawano doustnie płyn Lugola, będący wodnym roztworem jodu i jodku potasu, aby uchronić je przed niebezpiecznymi dla zdrowia skutkami promieniowania wywołanego przez awarię reaktora.

3 Perfumowane Źródło/Pachnące Źródło (franc. *La Source Parfumée*) – nazwa odnosi się do sklepu z tradycjami *Vieille Fabrique de la Source Parfumée*, w centrum Gourdon, gdzie można nabyć mydła, perfumy i inne pachnące produkty,



wytwarzane z destylacji roślin z regionu. Jest to również oddalony o kilka minut drogi od miasteczka teren upraw kwiatów przeznaczonych do produkcji perfum. Dziś miejsce otwarte dla turystów, gdzie organizowane są kursy olfaktoryczne i przyrodnicze. Zarówno sklep, jak i pola uprawne należą do rodziny Roux, właścicieli firmy Galimard. Zwiedzanie Perfumowanego Źródła jest bezpłatne.

4 Chodzi o perfumy Chanel numer 5.

5 Kieszeń (franc. *poche*) – wydanie książki w małym formacie (wydanie kieszonkowe).

6 *L'apéro* (franc. *apéritif*) – alkohol podawany z małymi przekąskami przed posiłkiem dla pobudzenia apetytu. Najczęściej spożywany na stojąco, w gronie znajomych.

7 Różowe wino podawane z lodem przy dużych upałach, zwane „różowym basenowym”.

8 Jestem rozsądna (franc.).

9 Popularny program dla dzieci i młodzieży nadawany przez telewizję francuską w latach 1978–1988, na programie drugim: Antenne 2.

10 Francuski kanał telewizyjny.

11 Ekskluzywna restauracja, dziś już nieczynna.

12 Artur Rojek, *Beksa*, w: Artur Rojek, Bartosz Dziedzic, Radek Łukasiewicz, *Składam się z ciągłych powtórzeń*, Kayax Production & Publishing, 2014.

13 Kultowy film we Francji. Komedia dla dzieci produkcji francuskiej z 1962 roku w reżyserii Yves'a Roberta. Tytuł oryginalny: *La Guerre des boutons*.

14 Zatoka Aniołów – zatoka śródziemnomorska -rozciągająca się od Nicei, przez Saint-Laurent-du-Var, Cagnes-sur-Mer i Villeneuve-Loubet do Antibes.

15 Placki z cieciorki – specjalność nicejskiej kuchni.

16 Promenada Anglików – największa promenada nadmorska w Nicei.

TERAZ

DZIEŃ PIERWSZY

18

Jestem gotowa. Wszystko już czeka. Jest tak, jak to zaplanowałam. No prawie. Poza jednym małym szczegółikiem. Nie mam paliwa. Niech to szlag jasny trafi! Rezerwa świeci się od wczoraj. Miałam zatankować, wracając z zakupów, i zapomniałam. Nie wiem, czy dojadę do La Colle-sur-Loup, gdzie znajduje się najbliższa stacja benzynowa. Co robić? Ryzykować? Jechać przez Grasse? Do Châteauneuf też pewnie nie starczy. Cholera, jak mogłam nie zatankować?! Chodzę w kółko po podwórku. Muszę coś wymyślić, i to szybko, inaczej się spóźnię albo utonę we własnym pocie. Przed domem Magnusa stoi jego wielka terenówka. Moja ostatnia szansa, żeby tego wszystkiego nie zawalić.

Pukam. Oczywiście nie otwiera. Dzwonię, walę z całej siły w te ogromne drzwi. Nie odpowiada. Mam dosyć jego głuchoty. Śpi z zatyczkami w uszach, które rano zapomina wyjąć? Nie. Obrzął się. Nie mam odwagi zejść do piwnicy, rozmawiać z nim, a już tym bardziej go o coś prosić. Oddycham głęboko. Myślę. Czy mam coś do stracenia? Zdecydowanie nie mam. Podchodzę do jego auta. Szyby są spuszczone, a kluczyki wiszą w stacyjce. Jest też klima i skórzane siedzenia. Bazgram na kartce związane wyjaśnienie, które zostawiam mu na progu. Tak miało być. Wszechświat pożycza mi wypasioną toyotę rzeźnika. Biorę, wsiadam i odjeżdżam z piskiem opon. Niech się dzieje, co chce. W podzięce upiekę ciasto dla niego i dla dzika.

Lotnisko, gdzie setki razy wpadaliśmy sobie w ramiona. Znów stoję tu sama, w gąszczu zniecierpliwionych podróżujących. Zestresowana i spocona, mimo że jestem wcześniej, aby uniknąć paniki. Ale ona jest i tak. Wiedziałam, że będzie, dlatego nałożyłam podwójną dawkę supermocnego, zakupionego specjalnie na tę okazję antyperspirantu, którego reklama zapewniała o suchych pachach przez czterdzieści osiem godzin. Jakbym się szpachlowała cementem. Klima w aucie chodziła na maksa. Ale niestety, nie te pachy, nie w tej sytuacji, nie w tym mieście. Płynę. W końcu lot z Amsterdamu oznaczono na zielono: wylądował. Puls mi przyspiesza. Podnoszę się z krzesła i podchodzę bliżej, choć wiem, że minie jeszcze dobre dwadzieścia minut, zanim się pojawi. Zależy, czy nadał walizkę, na którą będzie musiał czekać, czy przyleciał tylko z bagażem podręcznym. Znajac

go, na trzy dni przyleciał z podręcznym. No, chyba że wziął gitarę. Mam cichą nadzieję, że tak. Nie. Tak naprawdę to mam głośną, wrzeszczącą nadzieję, że ją zabrał. Po trzydziestu minutach nerwowego przestępowania z nogi na nogę powoli zaczynam w to wszystko wątpić, aż w końcu wpadam w panikę. Zmienił zdanie. Nie ośmielił się. Nabrał mnie. Wystawił do wiatru. Nie przyleci, ale nie wiedział, jak mi o tym powiedzieć. Zrobił mnie w balona. Śmieje mi się teraz w oczy. Nie uwierzył, że naprawdę tu jestem, i chcę się spotkać. Że czekam. Nie uwierzył w TO. Robię wszystko, żeby się nie denerwować, żeby powstrzymać łzy. Ale na to już za późno. Jestem wściekła. Jestem przerażona. Mam ochotę rzucić się na ziemię, krzyczeć, drzeć się, ile sił w płucach. Aż nagle wychodzi. Rozgląda się. Jest. On tu naprawdę jest.

W sekundzie wszystko wraca do mnie jak bumerang. Melodie, szepty, słowa. Tęsknota, radość i rozpacz. Wszystko razem, jakbym nie mogła się zdecydować, a przecież wybieram miłość. Łapię oddech i ocieram łzy, przez ułamek sekundy zastanawiając się, czy chociaż wodoodporny tusz to wytrzyma, bo antyperspirant dawno się poddał. Prostuję plecy. Podążam za nim wzrokiem. Wydaje mi się, że na mnie patrzy, ale chyba mnie nie widzi. Tak jak myślałam, nie poznaje mnie. Normalne. Nie przypominam już tej dziewczyny z przeszłości. Wyglądam zupełnie inaczej. Sto razy gorzej. Tysiąc razy gorzej. Jestem otyła, mam zmarszczki i siwe włosy. Biorę więc głęboki wdech i silę się na uśmiech, podnosząc rękę. Macham lekko. Jego oczy wracają i nagle mnie widzą.

To niesprawiedliwe. Marnix Lanteri wygląda tak samo pociągająco i młodo jak dziewięć lat temu. Nic się nie zmienił. Jest wysoki, szczupły i przystojny. Dalej nosi dłuższe włosy, tak jak ja od wczoraj, do ramion. Ubiera się jak kiedyś. Jeansy i modny T-shirt. Na ramieniu ma plecak, a w ręku... W ręku nie ma nic. I to jedyna rzecz, jaka razi mnie w tym pięknym obrazku, który mam przed oczami, kiedy zbliża się do mnie ten Marnix bez gitary.

Wpadam w jego ramiona i wybucham płaczem, którego paskudnie się wstydzę.

– Hej, nie płacz. – To są jego pierwsze słowa od dziewięciu lat, skierowane do mnie. Bo pogrzebowego wrzeszczenia na siebie sześć lat temu przecież nie liczymy. „Hej, nie płacz!” wiruje mi w głowie, aż zdaję sobie sprawę, że to nie słowa, a jego głos zwala mnie z nóg i mam wrażenie, że stoczę się na ziemię i nie będę miała siły się podnieść. Będzie musiał mnie nieść, a nie da rady. Ale nie. Trzyma mnie. Trzyma mocno. W końcu udaje mi się wydukać:

– Chodźmy!

Szukanie samochodu na parkingu zajmuje nam kilka minut, bo nie od razu przypominam sobie, że nie przyjechałam peugeotem. Mózg mi się rozjeżdża i nie mogę się skupić. W końcu znajduję auto Magnusa. Zbliżamy się, stajemy oboje przed bagażnikiem, który otwiera się na polecenie automatycznego pilota, żeby

Marnix mógł schować swój bagaż. Takie luksusy! Powoli ukazuje się nam jego zawartość. Patrzę i przestaję oddychać. Magnus Heilbron wozi w aucie strzelbę. Poluje na swoje ofiary, żeby móc potem je kroić na stole w piwnicy. Marnix wzdycha głośno. Spoglądamy na siebie bez słowa. Widzę, że chce o nią zapytać, ale chyba nie wie jak. Jakkolwiek na to patrzeć, przyjechałam po niego uzbrojona.

– To pożyczony samochód – dukam w końcu.

– Od kogo pożyczasz samochód z dubeltówką?

– Od faceta, który kupił twój dom.

Na krótką chwilę odwraca wzrok w stronę lotniska. Chce zawrócić. Boi się. Bierze mnie za nieobliczalną wariatkę. Nie dziwię mu się. Też bym tak zareagowała. Jeśli zechce uciec, będę go gonić.

– Kto to taki?

– Magnus Heilbron. Amerykanin. Rzeźnik, fryzjer pasjonat i najwyraźniej strażnik Teksasu. Nie znasz go?

– Jeszcze nie. Ale już nie mogę się doczekać spotkania.

Podnosi brwi. Marszczy czoło. Nie odpowiadam. Wsia-damy do auta i ruszamy.

Przez większość drogi nikt nic nie mówi. Zasycha mi w gardle na amen. Zerkamy na siebie co chwila. Odwzajemniam jego ciepłe uśmiechy. Patrzy na mnie.

– Nic się nie zmieniłaś. – Kłamię.

To nic. Biorę. Bezwstydnie i zachłannie. Oczywiście, że biorę każdy moment, łykam każdy komplement. Nawet ten maksymalnie naciągany. Każdą spędzoną z nim sekundę, jaką się dzieli i mi hojnie daje. Nie oglądam się za siebie. Nawet tego nie żałuję. Dziwne, bo całe życie wołałam dawać. Teraz idę najwyraźniej w nowym kierunku. Co robi z człowiekiem umieranie! Kiedy terenówka zaczyna się wspinać w górę i aura staje się przyjemniejsza, zjeżdżam na parking. Jest tu piękny widok. Wiem, że zna to miejsce tak samo -dobrze, jak ja. Wyłączam silnik. Stajemy nad przepaścią koło drogi. Powoli wciąga powietrze, obserwuje horyzont. Przeciąga się. Żebra przebijają mu przez koszulkę. Nie mogę się na niego napatrzeć. Nagle podchodzi, bierze mnie w ramiona i mówi mi dwa centymetry przed nosem:

– Dzień dobry, Pati. – Jego usta lądują na moich.

Czekałam na to „dzień dobry” lat dziewięć. Albo i sto. Nawet nie wiem ile. Za długo czekałam i teraz, kiedy je słyszę i czuję, nie wiem, co z nim zrobić. Pachnie tak samo. Ma te same miękkie usta. Zapamiętuję je więc, wykuwam w pamięci razem z obrazem, z całą otoczką, z tym spojrzeniem, na później. Na te wszystkie niedobre dni, kiedy będzie mi go brakowało. Na ciemność w pokoju. Na ten moment, kiedy trzeba będzie ostatni raz podnieść słuchawkę telefonu. Na

umieranie. I chcę mu odpowiedzieć, ale mi nie wychodzi. Nie widzieliśmy się sześć lat, a on mnie całuje. Nie odpisywał na moje listy, a mnie całuje. Nie odbierał telefonów, a całuje. Ma rodzinę, a ja jestem gruba i śmierdzą. On całuje. Robert przeze mnie nie żyje. Mam białą kopertę, a go całuję. Chowam twarz w jego szyi. W tym miejscu, gdzie zaczynają się kościste ramiona. Nie odrzuca mnie. Obejmuje i ucisza. Wstydzę się.

– Kiedy byłeś tu ostatni raz? – Zaczynam skrupulatnie przygotowaną serię pytań.

– Wtedy, co ty. Na pogrzebie.

– Nie wróciłeś potem?

– Nie.

– Dlaczego?

– Po co miałbym wracać?

Dziewięć lat od naszego rozstania. Dziewięć lat czekania, dziewięć lat zgadywania jego rzeczywistości i wymyślania, gdzie jest i co robi. Dziewięć lat niepewności, złości i darcia szat. I taki dialog. Taka rozmowa na -powitanie. Nic się nie zmienił. To jest właśnie mój Marnix.

– Czytałeś moje książki? – Pytanie numer dwa z bardzo długiej serii. Specjalnie dla niego przetłumaczyłam książki na francuski i wysłałam elektronicznie już jakiś czas temu. Nie odezwał się nawet wtedy, ale wiem, że je dostał, bo e-mail nie wrócił.

– Nie. – Replikuje bez cienia wstydu, współczucia czy zażenowania. Nawet jego ton niczego nie udaje. Jest mi trochę przykro. Staram się to ukryć i pytam, maskując uczucia możliwie neutralnym głosem:

– Dlaczego?

– Bo boję się, że napisałaś w nich o nas.

Ma prawo się bać. I dlatego pewnie nie spodoba mu się moja odpowiedź:

– Ta książka dopiero powstaje.

– To o czym były te poprzednie?

– O niczym.

Śmieje się.

– A ta jest o czymś? – Uśmiech nie opuszcza jego twarzy. Najwidoczniej dla niego to bardzo lekki temat.

– Ta jest o tobie i o mnie – wyjaśniam i jest mi lżej.

– Denerwujesz się, bo nie wiesz, co o niej pomyślę albo co inni o niej napiszą?

Pisanie to przecież jedna wielka prowokacja. Jed-no-stronna i prywatna perspektywa. Mój punkt widzenia, ubrany w moje słowa. Wiem to i prowokuję, więc mam to, na co zasługuję. Ale uśmiecham się szeroko, bo nie o to tak naprawdę chodzi. Żebym miała tylko takie problemy! Umieram. Wszystko inne

jest zupełnie nieważne, bo umieram. Rozdwojone paznokcie nieważne, plama na kanapie i przypalony garnek też. Strajki na kolei, ceny chleba i długie upały. Wszystko naprawdę staje się nieistotne. Umieram. Liczy się obecność tych, których kocham. Bo nie ma czasu, bo reszta to ledwie pył w oku, ziewnięcie kota sąsiada, śnieg, kiedy czekasz na wiosnę, a ja przecież umieram. A potem i tak będzie mi obojętne. Chcę jednak, żeby wiedział, że o nas piszę.

– Nie. Nie denerwuję się – przyznaję.

Jadę i staram się skupić na drodze, żeby nas nie zabić. Zmuszam się do przypomnienia sobie pierwotnego planu, który tak pieczołowicie przygotowywałam od miesięcy, ale jego obecność zupełnie mnie rozprasza. Jest piękny jak dzień. Przystojny jak noc. Znam go na pamięć. Nieodpowiedzialnie i niezrozumiale kocham każdy milimetr tego istnienia. I nagle na naszej drodze pojawia się sznur samochodów. Hamuję powoli, aż w końcu zatrzymuję w kolejce. Przy wjeździe do Gourdon policja ustawiła blokadę, a ja jadę kradzionym samochodem, w dodatku z bronią. „Zawróć”, podpowiada rozum, ale zamiast to zrobić, gapię się na pasażera.

Ruszam. Powoli posuwam się w tej zakręconej kolejce. Za mną czeka kilka samochodów. Na drugim końcu czteroosobowy patrol policji sprawdza dokumenty i każe otwierać bagażnik. Leżymy.

– Co robimy? – pytam zniechęcona.

– Nie wiem. Powiedz mi raz jeszcze: czyje to auto?

– Tego gościa, który kupił twój dom, Magnusa.

– Pożyczył ci?

– Sama pożyczyłam – mówię ciszej, bo robi mi się głupio.

– To znaczy?

– No, wzięłam. W moim nie było dość paliwa, a nie chciałam się po ciebie spóźnić. Nie miałam jak zapytać o zgodę właściciela, bo zapadł się pod ziemię. A że kluczyki były w stacyjce, to sam rozumiesz... – Chyba nie rozumie, a może i tak, bo uśmiecha się i kiwa głową, mierzając mnie wzrokiem.

– Oj, Pati...

– No co miałam zrobić? Poza tym zostawiłam mu notkę na progu. Wyjaśniłam, że pożyczam auto i wrócę za cztery godziny.

– Czyli czujesz się rozgrzeszona.

– Nic mu nie będzie. – Macham ręką. – Być może nawet nie zauważy. – Marnix spogląda na mnie badawczo. Teatralnie kontynuuję więc ten naciągany monolog. – Martwię się tylko o tę broń. Jeśli każą nam otworzyć bagażnik, to koniec. Noc spędzimy na komisariacie. W Cipières zaginęło dziecko. Wszędzie go szukają. Założę się, że to dlatego wszystkich sprawdzają.

Marnix spogląda nerwowo w kierunku patrolu.

– Zawróć – mówi. Patrzę na niego zdziwiona. On też się boi?

– Już nie mam jak.

Nieubłaganie zbliżamy się do policjantów. Staram się wymyślić jakąś historyjkę w razie rewizji, ale nic prawdopodobnego nie przychodzi mi do głowy. Wszystko przez niego. Przez to, że tak bardzo tu jest. Przez te kościste nadgarstki o smaku orzechów z ogrodu i te cudne elfie uszy. Auto przed nami zjeżdża na bok. Dwóch funkcjonariuszy zabiera się do sprawdzania pojazdu. Trzeci policjant podchodzi do nas i puka głośno w zamknięte okno. Spuszczam szybę. To Yannik.

– A, to ty. – Lustruje mnie, nie pasażera. – Skąd wracasz?

– Z Nicei.

– Wszystko w porządku? – pyta i spogląda teraz na Marnixa. Zastanawiam się, czy go rozpoznaje, bo nic nie mówi. Ten wita się skinieniem głowy. Musi go pamiętać, przecież dopiero co o nim wspominał. Ale w sumie to oni chyba za bardzo się nie lubili.

– Tak. Co się dzieje?

– Szukamy Cassy Plume – anonsuje, rozglądając się po pustych tylnych siedzeniach.

– Rozumiem.

Ktoś trąbi z tyłu.

– Możesz jechać – dodaje i puszcza nas wolno. Od-dycham z ulgą.

19

Dojeżdżamy do domu. Magnusa nie ma na zewnątrz. Parkuję auto dokładnie tam, skąd je wzięłam i zostawiam kluczyki w stacyjce. Kartka, którą mu zostawiłam na progu leży nietknięta. Zabieram ją i chowam do kieszeni. Marnix wyskakuje z pojazdu i pewnym krokiem podchodzi do wejścia swego dawnego domu. Naciska na klamkę, po czym dotyka drewnianej powierzchni drzwi. Zamknięte na cztery spusty. Stoi tak chwilę, po czym cofa się i patrzy na całość. Okienne szczelnie przykrywają okna i nie da się zajrzeć do środka. Przeszłość pozostaje wewnątrz, nieosiągalna, zamaskowana. Musi tam zostać, taka jest kolej rzeczy.

– Byłaś w środku? – Spogląda na mnie zaintrygowany i zastanawiam się, jak mnie widzi. Tak jak wtedy czy terazniejszą? A może on mnie w ogóle nie widzi. Tak jak ja nie widzę Magnusa, nawet kiedy na niego patrzę.

– Tak.

– I jak?

– Inaczej. Chcesz się przekonać? – proponuję, przypominając sobie o szpitalnej czystości domu. Przytakuje. – Spróbujemy jutro rano, teraz najwidoczniej go nie ma.

Do domu Malwiny wchodzi jak do siebie. Obchodzi pospiesznie parter,

wygląda do ogrodu, uśmiecha się nerwowo, a potem poważnie i pyta, czy może iść na górę.

– Pewnie.

Ruszam, żeby mu towarzyszyć, jednak przed schodami zwalnia i zatrzymuje mnie gestem dłoni.

– Sam pójdę.

– Jak chcesz – szepczę. Wolałabym, żeby poczekał z tą wizytą do jutra albo chociaż do wieczora. Jednak nie mogę go zatrzymać. Dobrze wiem, że musi tam wejść. Ja już tam byłam.

Czekam. Długo go nie ma i zaczynam się w końcu niepokoić. Staję przy schodach i jak ten dzik na ścianie nastawiam uszu.

– Marnix? – wołam wreszcie, a mój głos dzwoni mi w głowie. Od lat go nie wołałam. No, chyba że we śnie. Melodia jego imienia niespodziewanie uwalnia motyle z mego brzucha. Stoję i śmieję się na głos. Sama nie wiem, z czego. Pierwszy raz od bardzo dawna. Marnix nie odpowiada. Pewnie mnie nie słyszy. Mam wielką ochotę tam iść, ale się powstrzymuję. Wracam do salonu i siadam w fotelu. Słyszę jego kroki nad głową: powolne, wybite z rytmu. Zwiedza, chodzi, błądzi po jego pokoju. Muszę przestać o tym myśleć. Przypomnieć sobie, co mam robić dalej. Skupić się. Wbijam wzrok w skrzynię, którą mamy wspólnie otworzyć wieczorem. Klucz z niej nie wystaje. Jeszcze tego mi brakowało! Gdzie on jest?! Podrywam się i rzucam na ciężkie wieko. Zamknięte. Szukam klucza na ziemi, dookoła skrzyni, wszędzie, gdzie mógłby być, gdyby wypadł z zamka. Nie znajduję go, więc zwiększam zasięg obserwacji. Teraz wzrokiem skanuję całą podłogę, potem resztę pomieszczenia. Klucz zniknął! Jak teraz wrócimy do wspomnień?

Po dwudziestu minutach, przerażona brakiem klucza, nie wytrzymuję. Już cały parter przewróciłam do góry nogami. Martwię się, więc postanawiam sprawdzić, co Marnix robi na górze. Drzwi do pokoju Roberta są otwarte. Zbliżam się i coś mi to przypomina. Nie mogę uciec od tamtego widoku. Pamiętam światło, ciszę, upał i zapach. I jedynie myśl, że to Marnix tam teraz jest, pozwala mi kroczyć dalej, choć mam wrażenie, że się cofam. Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Drżę z przerażenia, przechodząc przez próg. Nikt tam nie wisi. On leży na podłodze, z czerwonymi oczami i ze wzrokiem wbitym w jeden punkt. Nie widzi, że nad nim stoję. Kładę się obok i teraz oboje leżymy na skrzypiącym parkiecie. On patrzy na sufit, a ja na niego.

– Co robisz?

– Sprawdzam, czy pamiętam.

– I co?

– Jakby to było wczoraj. On siedział przeważnie tu, a ja tam. – Wskazuje kierunki ruchem głowy. Wzdycha. – Pamiętam wszystko dokładnie. Zbyt



dokładnie...

Leżymy tak chwilę. Chcę go złapać za rękę, ale nie mam odwagi. Chcę go całować i się z nim kochać. Ale on nie odrywa wzroku od tej drewnianej belki. Jak długo jeszcze? Jak długo mój brat będzie stał między nami?

– Kochałeś go? – pytam w końcu, choć nie powinnam. Choć znam odpowiedź.

– Tak. – Wciąż zerka na ten punkt u góry.

– Jak bardzo? – Nalegam.

– Bardzo.

– Kiedy zorientowałeś się, że z jego strony to więcej niż przyjaźń? Że jest gejem?

Spogląda na mnie w końcu. Duma przez moment, uśmiecha się delikatnie i szepcze, patrząc mi w oczy:

– No co ty? Zawsze o tym wiedziałem. Ty nie?

Zastanawiam się, od jakiego momentu Robert wiedział, że jest homoseksualistą. Czasami myślę, że od urodzenia. Albo może od tej samej chwili, kiedy ja wiedziałam, że jestem heteroseksualna. W dniu naszych siódmych urodzin, kiedy poznaliśmy tego, który nas poróżnił. Pamiętam jego pierwszą i ostatnią rozmowę z naszą mamą na ten temat. Siedzieliśmy przy kuchennym stole i odrabialiśmy lekcje. Mieliśmy wtedy osiem lub dziewięć lat.

– Jak to się robi, żeby się z kimś ożenić? – Robert zaczął rozmowę.

– Kiedy ludzie się kochają i są razem szczęśliwi, mężczyzna prosi kobietę o rękę i jeżeli ona się zgodzi, to biorą ślub. Dlaczego pytasz, kochanie? – Uśmiech nie schodził z jej twarzy.

– A jeżeli mężczyzna chce się ożenić z mężczyzną, to jest tak samo? Kto kogo prosi o rękę?

– Mężczyzna z mężczyzną? – Radość spłynęła nagle z jej różanych policzków. Zawahała się chwilę, ale trwało to krótko, ułamek sekundy zaledwie, zanim odpowiedziała: – Nie, kochanie, tak się nie da. Ślub jest tylko dla kobiety i mężczyzny.

– Ale dlaczego? – Nalegał.

– Bo tak jest i koniec. – Jej głos przybrał surowy ton. I koniec.

Bardzo nie lubiliśmy tego końca...

Nagle coś innego przyciąga uwagę Marnixa. Spod łóżka Roberta wyciąga czarną gitarę. Zdziwiony siada i zdmuchuje z niej kurz.

– Co ona tu robi?

– A co ma robić? Tak jak ja: czeka.

Zagra mi tę melodię, która mnie uleczy? Zrobi to, na co czekałam tyle lat? Spełni moje marzenie i da mi odlecieć? Już teraz, od razu, bez proszenia, nalegania,

pytania? Nie. Nie tak szybko. Bierze ją, podnosi się i wystawia rękę w moim kierunku.

– Chodź! – mówi. No to idę.

Na dole dopada mnie nieprzyjemna woń. Zawsze jak przyjeżdżam do Gourdon, mój nos wariuje. Bogactwo aromatów rozstraja jego spokojne z natury usposobienie. Zapach perfum, bagietek i francuskich serów sprawia, że robię się wrażliwa na wszystko, co wyczuwam w powietrzu. Od kiedy pojawił się Marnix, coś mi podejrzanie śmierdzi w salonie.

– Czujesz?

– Co?

– Ten odór. – Robię skwaszoną minę.

– Gdzie? Tu?

– Sama nie wiem, gdzieś tu w pokoju. Nie potrafię zlokalizować jego źródła.

Marnix przez chwilę przemieszcza się po salonie, wciągając głośno powietrze nosem, niczym pies myśliwski.

Nic nie czuję – wyrokuje.

A może to ja tak ciągle śmierdzę, mimo że się myłam, i w końcu to wyczuwam?

Otwiera okna, żeby wywietrzyć. Ugotujemy się wieczorem, myślę, ale z drugiej strony muszę pozbyć się tego okropnego zapachu. Nie gra na gitarze. Zostawia ją w salonie. Chce jechać do Perfumowanego Źródła i to najlepiej na rowerze. Nie udaje mi się go przekonać do ponownej kradzieży toyoty. Wpada do garażu i wyciąga nasze stare rowery. Są w opłakanym stanie. Trudno uwierzyć, że jeszcze działają. Po chwili jedziemy tam, gdzie wydarzyło się dużo ważnych rzeczy. Wysiłek fizyczny jest dla mnie nie do zniesienia. Duszę się. Na miejscu odgrywamy zaplanowany scenariusz. Bierze mnie za rękę i prowadzi wszędzie tam, gdzie już byliśmy. Śmieje się z mojego krzesła. W końcu siadamy przy pojemnikach na wodę i patrzymy na widok między górami. Wspominamy. Tam też mnie obejmuje, więc wtulam się w niego z całą mocą.

Dlaczego gra ze mną w tę grę? Dlaczego postanawia tak dobrze odgrywać wyznaczoną mu rolę? Oboje wiemy, że to nie ma sensu, że za dwa dni wróci do siebie i więcej się nie zobaczymy. Nie boi się konsekwencji? Mogę przecież znów do niego pisać, dzwonić, nagabywać! Wie, że nie na długo. Może dlatego sobie na to pozwala. A może on też tego potrzebował i czekał na to jeszcze bardziej niż ja? Dopadły go wyrzuty sumienia?

Na kolację przygotowałam ratatouille i żeberka baranie na grillu. Moje jedyne popisowe danie. Na deser miętowy sorbet ze świeżymi malinami, dawną specjalność Malwiny. Uśmiecha się, gdy widzi stół zastawiony porcelanowymi talerzami. W końcu jest dobra okazja, żeby ich użyć. Cieszę się. Ja nie jestem głodna. Pewnie niczego nie przełknę. Za to bardzo chce mi się pić i palić.

- Czego się napijesz?
- *Rosé piscine*, jeśli masz.
- Mam.

Napełniam dwie szklanki, lód i wino. Siadamy przy stole. Wyciągam moje cienkie papierosy.

- W dodatku palisz.
- W dodatku do czego? – Uśmiecham się wrednie, jakbym chciała się na nim za coś odegrać i sama się temu dziwię.
- Do całej reszty. Tym się nie wyleczysz.

Nie chcę podejmować tego tematu. To zakazane. Mie-liśmy udawać, że go nie ma. Ale się pojawił, więc postanawiam go zakończyć:

- Ja w ogóle się nie wyleczę, kochanie.
- Nawet nie próbujesz.
- Zgadza się. – Przytakuję zbyt sztucznie i odpalam papierosa.
- Dlaczego? – Bierze mnie za rękę.
- Bo to nie ma sensu.
- Nie ma żadnej nadziei?

– Nie ma. – Suche policzki, ale to już ostatni dzwonek. Musimy zacząć rozmawiać o czymś innym, inaczej się rozplączę. Dlatego dodaję od razu, nie pozostawiając mu czasu na odpowiedź: – Dziękuję, że przyjechałeś. To dla mnie naprawdę dużo znaczy.

- Też byś to dla mnie zrobiła.

Nagle jego twarz się zmienia. Rozprasza się. Wzrok zatrzymuje się na szybie kuchennego okna. Marszczy brwi i pyta:

- Kto to?

Puszczam jego dłoń, podnoszę się i spoglądam w tę samą stronę. Magnus stoi i gapi się na nas ze zdziwioną miną. Kiedy nasze spojrzenia spotykają się, kiwa z niedowierzaniem głową, po czym odwraca się i odchodzi. Co jest grane?

- To Magnus, właściciel toyoty z dubeltówką – ogłaszam spokojnym tonem.
- Kawał faceta z niego.
- Kawał.
- Jaki on jest? – dopytuje, kiwając się na krześle.
- Skąd mam wiedzieć? Czy wyglądamy na przyjaciół? – Dziwię się, że, podobnie jak Janek, on też szybko ocenia naszą znajomość.
- Nie znacie się?
- Znamy, ale mało. Dziwnie się zachowuje.
- To znaczy?
- Znika gdzieś na całe noce albo ukrywa się w piwnicy.

Rozmawiamy do późna. Wspominamy szczególnie długo czasy z Robertem.

Płaczemy. Nie pytam o jego rodzinę. Nie pytam o terażniejszość. Nie mam odwagi. On też o tym nie mówi. W środku nocy odprowadzam go do pokoju Janka, gdzie przyszykowałam mu łóżko. Dziękuję i zamyka drzwi. Idę do siebie, kładę się i zasypiam w sekundzie, szczęśliwa i przerażona jednocześnie. Śni mi się, że jestem na aukcji mebli Malwiny. Ludzie oglądają każdy stolik i krzesło. W powietrzu czuć kurz. Wszystkie meble mają przyczepioną cenę wywoławczą. Chodzę i oglądam. Zaczynam spoglądać na metki, powiewające na cieniutkich niteczkach w rytm podmuchów mroźnej klimatyzacji. I wtedy okazuje się, że na każdej jest napisane to samo: „Co łaska”. Wpadam w szal i zaczynam biec, krzycząc, że ich wszystkich nienawidzę. W napadzie złości uderzam ciałem o kuchenny kredens i niechący zwałam całą porcelanową zastawę z różyczkami. Naczynia Malwiny z hukiem rozbijają się o posadzkę. Budzę się z krzykiem, spocona i zastanawiam, skąd ten sen. Mam gdzieś meble, talerze, a tym bardziej pieniądze. Marnix, obudzony moimi wrzaskami, przychodzi do mnie i się przytula.

– Tęskniłem za tym zapachem – mamrocze.

– Jakim?

– Twoim.

Zasypia w rytm westchnień mego podziwu. Śpi, a ja czuwam, wącham go i kosztuję. Pachnie i smakuje niezmiennie. Na mojej skórze ciarki, na jego mech. Miłość to jednak zabawna sprawa. Nieskończona wraca nieproszona. Zostaje na zawsze. Trwa i trwa. Nie ustaje. Daje mi co łaska. Biorę bez grymaszenia i dziękuję.

*Patrzę, jak miesza się to, czego nie ma, i to co jest.*

*A potem kiedy mówię wprost, milczysz i odwracasz wzrok.*

*Tysiąc wypitych razem kaw, głupi myślałem, że cię znam.*

*W rzucaniu kamieniami słów znowu przegrywam trzy do dwóch.*

*Chociaż jak syreny budzą mnie o tobie sny,*

*jedno wiem na pewno: nie chciałbym bez Ciebie...17*

17 Artur Rojek, *Syreny*, w: Artur Rojek, Bartosz Dzedzic, Ra-dek Łukasiewicz, *Składam się z ciągłych powtórzeń*, Kayax Pro-duction & Publishing, 2014.

## DZIEŃ DRUGI

20

Otwieram oczy. Nie ma go. Zastanawiam się, czy to sen, czy jawa. Marnix rzeczywiście tu jest? Wypijam łyk kawy i nastawiam uszu, bo wydaje mi się, że coś usłyszałam. Próbuję to zlokalizować. Kiedy kończę zimny napój, już wiem, że to dźwięk gitary. Wstaję i nogi same mnie do niego niosą. Siedzi w fotelu, gra. Staję boso na progu i spoglądam w jego stronę. W sekundę moje spojrzenie zostaje odwzajemnione. Zdradziły mnie pewnie skrzypiące drewniane schody. Przerywa, uśmiecha się, a ja nie mogę się nadziwić, że to on.

– Gitara to był pomysł Roberta. Nigdy wcześniej ci tego nie mówiłam, a chcę żebyś wiedział.

– Wiem – oznajmia zadowolony.

– Od kogo?

– Od niego.

Chryste Panie!

– To czemu nic nie mówiłeś?

– Miałem dość waszych kłótni. Poza tym, co to za różnica, czyj to był pomysł? Najważniejsze, że trafiony.

Już mam do niego podejść i spytać, dlaczego przerwał granie, jednak stwierdzam, że rozsądniej będzie pójść najpierw pod ten okropny prysznic. Tym bardziej, że znowu czuję ten ohydny fetor.

– Umyję się i zaraz schodzę – zapowiadam. Kiwa głową i rozsiada się w fotelu, zakładając nogi na skrzynię bez klucza. Szarpie struny. Przysiadam na chwilę na schodach i w ukryciu przed nim rozkoszuję się dźwiękami -gitary. Nie widzi mnie stąd, więc mogę płakać, ile chcę.

Grzyb, zardzewiałe sitko i wanna bez zasłonki. To przeżycie mam już za sobą. Po osuszeniu powodzi na podłodze pozostaje nałożyć trochę cementu pod pachy. Potem biały klej na szczoteczkę do zębów. Po pracach remontowych schodzę do kuchni, w której Marnix robi śniadanie. Jajecznica. Nie jadłam jej całe wieki.

– Nie rzucił ci się w oczy mój klucz? – Zaczynam.

– Jaki klucz? – pyta, nie przestając mieszać jajek na patelni.

– Ten od skrzyni w salonie. Ten, który mi dałeś na urodziny. Pamiętasz?

– Jasne. – Uśmiecha się. – Nie, nie widziałem. Zginął dawno czy teraz?

– Był tu jeszcze wczoraj rano, kiedy jechałam po ciebie na lotnisko, a potem

już nie. Nie wiem, jak mógł zniknąć. Nie rozumiem. Przecież jakby spadł, to leżałby obok, a go nie ma.

– Szukałaś?

– Tak.

– Co jest w skrzyni?

– Jakieś pamiątki po nas.

– Sterta białych kartek udających listy, które wysyłałem ci latami? – Zadaje pytanie i nie potrafię ocenić, czy żartuje, czy mówi poważnie. Chyba jednak za długo się nie widzieliśmy. Straciłam dar czytania w jego twarzy i bardzo mnie to zasmuca.

– Pewnie coś w tym stylu – rzucam.

– Zachowałaś je?

– Oczywiście. – Podnoszę na niego wzrok, bo pytanie wydaje mi się nedorzeczne.

– Po co?

– Żeby pamiętać na starość. Nie wiedziałam wtedy, że starości nie będzie.

– Chcesz zachować gładkie stopy! – dodaje z przekorą. A ja nie mogę uwierzyć, że to mówi.

Miałam nie poruszać tematu. Wybawia mnie pukanie do drzwi. Spodziewam się Magnusa, ale to nie on stoi na progu. Nieznajomy.

– Dzień dobry. Organizujemy piesze poszukiwanie zaginionej Cassy Plume na terenach otaczających Gourdon i Perfumowane Źródło. Zna pani tę okolicę? Nie chciałaby pani pomóc? – mówi jednym tchem. Chcę się zastanowić. Odwracam się w stronę Marnixa, który ruchem głowy daje mi do zrozumienia, że powinniśmy dołączyć do mieszkańców.

– Znam te tereny jak własną kieszeń. Kiedy zaczynacie?

– Teraz.

Nie tak zaplanowałam nasz dzień, ale po piętnastu minutach przygotowaliśmy ruszamy razem w umówione miejsce. Jeżeli Marnix chce pomóc szukać małej Cassy, to ja też. Kiedy już opuszczamy podwórko, kątem oka widzę, jak Magnus wychodzi z domu i wsiada do swojej toyoty. My idziemy pieszo. Mija nas na drodze, ale nie zatrzymuje się. Chyba wziął sobie do serca moją prośbę o prywatność. I bardzo dobrze. Zbiórka jest na polanie przed starym miastem. Jest nas ze dwadzieścia osób. Myślałam, że będzie więcej. Yannik Legrand stoi po drugiej stronie drogi i wita mnie z daleka ruchem ręki. Pozdrawiam go i patrzę na Marnixa. Ciekawe, czy go dostrzegł.

– To Yannik? – zagaduje.

– No. Wiedziałaś, że jest policjantem?

– Tak. Poza tym widzieliśmy go na tym patrolu przy wjeździe do miasta wczoraj. Zapomniałaś? Poszedł w ślady ojca.

– No rzeczywiście. Dziwne, nie? Yannik policjantem.

– Teraz przynajmniej ktoś go czasem musi słuchać.

Szturcham go łokciem, brakuje jeszcze, żeby inni nas usłyszeli. Kilka kroków od nas stoi zamyślony Brunon. Magnus też tu jest, ale daleko ode mnie, i udaje, że patrzy w drugą stronę. Po paru minutach starszy Legrand, najwyraźniej dowodzący tym zgromadzeniem, ożywia się i wspina na ławkę. Zaczyna przemawiać, przywołując wszystkich do siebie. Ludzie cichną i zbliżają się do mówcy, który z braku profesjonalnego nagłośnienia wykrzykuje donośnym głosem:

– Dziękujemy wszystkim za tak liczne przybycie. Policja przeczesuje teren od trzech dni, ale że nie ma wystarczającej liczby funkcjonariuszy, razem z rodziną Plume prosimy was o wsparcie. Znacie te miejsca. Wiecie, jak się po nich poruszać, bo większość z was tu się urodziła i wychowała. Cassy nie ma od czterech dni, ale policja nie znalazła jeszcze żadnych śladów porwania czy zabicia dziewczynki. Dlatego wciąż mamy nadzieję, że dziecko się po prostu zgubiło i błądzi gdzieś samo, wystraszone i głodne, po lasach. Podzielimy się na trzy grupy. Każdą z nich będzie dowodzić mężczyzna w odblaskowej pomarańczowej koszulce. Ta osoba ma też przy sobie najnowsze zdjęcie zaginionej dziewczynki, jeżeli nie wiecie czy nie pamiętacie, jak wygląda Cassy Plume. Mamy także żółte koszulki dla wszystkich pozostałych uczestników poszukiwań. Spotykamy się tu o trzynastej na godzinną przerwę i piknik, który z serca, na koszt właścicieli, został przygotowany przez Oberżę Gourdon. Kochani, znajdziemy ją! A teraz w drogę!

Nie mogę się doczekać pikniku przygotowanego z dobrego serca przez ludzi, którzy o mnie plotkują. Magnus już gada z dwoma mężczyznami. Na razie nikt nie zauważył obecności Marnixa, wygląda na to, że wszyscy są skupieni na małej. Jak trzylatka mogłaby przeżyć cztery dni sama w naturze? Bzdura! Ja bym nie przeżyła. W naszej grupie większość osób to mężczyźni. Przed samym wyjściem w teren wciskam się w za mały wściekle żółty podkoszulek, podobny do tych, jakie noszą zwycięzcy etapów Tour de France. Los się ze mnie śmieje. Nigdy w niczym nie zwyciężyłam, a już tym bardziej nie mam sylwetki sportowca. Wyglądam w nim jak parówka wciśnięta w plastikową odblaskową torbę na przecenach. Dziewczynka ze zdjęcia kogoś mi przypomina, i chyba nawet wiem kogo, a Magnus z daleka wrogo łypie na mnie okiem. Nie wygląda na zadowolonego. Odwracam się i ignoruję go.

– Słuchaj, to jest bardzo podejrzane. – Zaczynam do Marnixa, kiedy jesteśmy już w lesie.

– O czym mówisz?

– O moim sąsiedzie.

– Dlaczego?

– Powiedział mi, że się tu przeprowadził, bo się rozszedł z żoną. Ale nie chce powiedzieć dlaczego.

– I to ma być podejrzane? Mówiłaś, że mało się znacie. Dlaczego więc miałby ci się spowiadać ze swojego rozvodu czy innych rzeczy?

– No niby tak, ale w jego kuchni, na lodówce było zdjęcie małej dziewczynki.

– Połowa ludzkości posiadająca lodówki ma dziś na nich zdjęcie kogoś bliskiego.

– Ale...

Przerywa mi i pyta:

– Może to jego siostra albo córka. Pytałaś o dzieci?

– Nie odpowiedział, gdy pytałam o rodzinę. Ale tak teraz myślę o tej zaginionej Cassy i tej blondyneczce ze zdjęcia... – Mam wrażenie, że są do siebie podobne. Ale czy wszystkie małe dziewczynki z blond kucykami nie wyglądają tak samo?

– Nie wiesz, kto jest na tej fotografii u Magnusa?

– Nie mam pojęcia. Gdy zapytałam o dziewczynkę ze zdjęcia, naburmuszył się, że to nie moja sprawa. A potem zdjęcie zniknęło. Podczas ostatniej wizyty znalazłam w jego szafie małą różową sukienkę. To trochę dziwne, nie uważasz?

– Pati, co ty robiłaś w jego szafie? – Zadaje złe pytanie.

– W naszej szafie. – Poprawiam go.

– Nie zmieniaj tematu, podobno się nie znacie! – Podnosi teraz głos i przypomina mi tego młodego, zazdrosnego Marnixa, któremu musiałam się kiedyś ze wszystkiego tłumaczyć. Nawet z niczego. Na myśl przywołanego wspomnienia mam ochotę się uśmiechnąć, ale tego nie robię, bo wiem, co pomyśli. Że bywam u Magnusa w sypialni. A nie bywam przecież.

– Znamy tylko trochę. Ale to długa historia. Chodzi mi o to, że w jego domu jest nienaturalny porządek, a w tej szafie była zwinięta w kłębek i wepchnięta w głąb sukieneczka!

– Co to znaczy nienaturalny porządek? Sprzątasz u niego?! – Śmieje się.

– No taki przesadny porządek. Wszystko zawsze na swoim miejscu, nic się nie wala po podłodze, po krzesłach... Wszędzie czysto. Zero kurzu! No który facet tak sprząta, co?

– Może gość lubi porządek?

– Albo ma na tym punkcie bzika.

O chorobliwym czyszczeniu i wietrzeniu auta nawet nie wspominał. Widział zresztą. Powinien zrozumieć mój niepokój. Tymczasem mi dogryza:

– Ludzie mają różne zboczenia.

– Wiem. Ale to jednak dziwne.

– A może od początku pomaga policji w poszukiwaniach? Stąd u niego zdjęcie i ubranie zaginionego dziecka?

– Przestań. Nie wiemy, kto jest na tej fotografii. Poza tym to nie pies



śledczy, tylko budowlaniec!

– Mówiłaś o tym wszystkim policji?

– Nie.

– No to może powinnaś, skoro cię to niepokoi.

– Może. Ale to jeszcze nie koniec. On coś trzyma w piwnicy.

Marnix znów się zatrzymuje i tym razem w jego spojrzeniu dostrzegam kpinę. Nabija się ze mnie.

– No dawaj, co ma w piwnicy?

– Nie wiem, ale na pewno coś, co śmierdzi.

– Pedant czegoś nie posprzątał? – Wybuchła śmiechem, który podziwiam ukradkiem i który na moment mnie leczy.

– Na to wygląda – odpowiadam, kiedy jego spojrzenie sprawdza, czy go słucham.

– Skąd to wiesz?

– Bo stałam pod jej drzwiami i odór był nie do zniesienia.

– To trzeba było sprawdzić!

– Nie odważyłam się, ale myślę, że on tam był, bo coś wydawało dosyć głośne dźwięki, jakby ktoś walił czymś twardym.

– Pati, masz halucynacje czy już tak wielką wyobraźnię pisarską, że płata ci figle?

Cholera wie, myślę, ale duma nakazuje mi wygłosić z wyrzutem w głosie:

– Nie wierzysz mi!

– No jak mam uwierzyć? – Wybałusza na mnie oczy. – Opowiadasz coś, co jest żywcem wyjęte z amerykańskich seriali. Stoisz pod drzwiami, czujesz smród i nie pukasz, nie wchodzisz! Szperasz mu po szafach, a twierdzisz, że się nie znacie. Jak ja mam to rozumieć?

– Tak, że się wystraszyłam i wróciłam do siebie. Samotna, chora kobieta w domu uzbrojonego rzeźnika!

– Jak mogłam zapomnieć o strzelbie! – Teraz już zrywa boki.

– Sam widziałeś.

– Słyszysz się? – Nie czekając na moją odpowiedź, odwraca się i rusza w drogę. Czuję się tak, jak jakieś piętnaście lat temu, bo wkurza mnie dokładnie tak samo, jak wtedy. Mam wrażenie, że pozostajemy na tym samym poziomie konwersacji, jakbyśmy w ogóle nie dorośli. Może nie dorośliśmy. Idziemy jeszcze kawałek w ciszy, aż stwierdzam, że muszę się zatrzymać. To nie na moje nogi.

– Marnix, poczekaj. Nie mogę tak szybko...

Zatrzymuje się i staje przede mną. Patrzy na mnie zaniepokojonym wzrokiem.

– Usiądź!

Dyszę jak pies z zaprzęgu na mecie, tyle że nie przebiegłam nawet stu

metrów. Szłam dwadzieścia minut po płaskim. Siadam na skale i próbuję złapać oddech. Nienawidzę się. Nienawidzę tego ciała i tego, co się z nim dzieje.

– Jak jest w tym domu? – Marnix stawia niespodziewane pytanie.

– Jak? Inaczej. Przeróżająco czysto i pachnie nowością. Zupełnie nie tak, jak kiedyś. Wszystkie ściany są przeraźliwie białe. Nie podoba mi się. Z wyjątkiem twojego -pokoju. Tam wszystko jest tak, jakbyś ciągle w nim mieszkał.

– Serio?

– Meble, rzeczy, wzmacniacze, gitary. Dlaczego to zostawiłeś? I kiedy to w końcu stamtąd zabierzesz?

Myśli przez chwilę, patrzy na niebo. Potem przemawia ściszym głosem, ale pewnie:

– Nie wracam do przeszłości. Postanowiłem, że tak będzie lepiej. Trzeba wszystko wywieźć na wysypisko.

– Gitary też? – Aż się podnoszę z wrażenia. Koniec świata. Znowu.

– Gitary też – wyznaje, bierze mnie za rękę i w ciszy ruszamy w dalszą drogę. Zmiany w jego życiu nie są duże, one są kolosalne. Zastanawiam się, czy na pewno chcę się o nich dowiedzieć.

Robimy przerwy częściej niż inni. On skacze jak sarenka, ja się ciągnę jak żółw. Ale nie taki normalny, zdrowy, pełen życia żółw, ale żółw kaleka albo żółw po przejściach. Jestem powolna, mokra i sapię. W końcu oddzielamy się od naszej grupy z powodu tej mojej niedołężności. Naprawdę nie nadążam. Jest mi gorąco i słabo. Jest mi wstyd, bo mój organizm zachowuje się, jakbym miała sto lat. Siadam na ziemi i chce mi się płakać. Podaje mi butelkę wody. Chwilę tak siedzimy, aż pyta:

– Czy ty mnie nadal kochasz?

Zna mnie i mimo że nie widzieliśmy się tak długo, jestem pewna, że wie o mnie wszystko. Nie rozumiem, po co pyta. Nie byłam gotowa na tę stratę i nigdy nie będę. Jest napędem mego tętna. Krąży we mnie niczym życiodajna krew w ciele. Nie mogę go oszukać. Dlatego nawet nie próbuję.

– Przecież znasz odpowiedź.

Zna i dlatego bierze mnie w ramiona i ściska mocno. Pyta, bo mi pewnie nie wierzy. A tak bardzo chcę, żeby w końcu uwierzył. Zaklinam go. Czaruję, świadomie omamiam. Z całych sił. Daję wszystko, niczego w zamian nie biorę.

– Pati, nie żyj dla mnie. Żyj dla siebie. Korzystaj z życia. Bądź sobą – szepcze.

– Jestem sobą. Już bardziej sobą być nie mogę.

– Myślę, że możesz. – Całuje mnie. Odpływam i nie chcę, żeby przestał. – Przepraszam – mówi, kiedy nasze usta się rozdzielają.

– Za co? – Marszczę czoło.

– Za wszystko.

– Wybaczam. – Choć nie do końca jestem pewna co. Potem dodaję: – Łatwo ci to przychodzi. Nie widzieliśmy się przez tyle lat, a ty zachowujesz się, jakbyśmy ciągle byli razem albo rozstali się dwa dni temu. Nie zastanawiasz się? Nie zadajesz pytań? Nie boisz? Sporo ryzykujesz. – Rzucam mu kłody pod nogi. Chcę, żeby dobrze wiedział, co robi.

– Nie tego chciałaś, ściągając mnie tutaj?

Nie odpowiadam. Robi to z litości. Wiem i bardzo mi z tym źle. Poza tym trochę mnie zaskoczył tą konwersacją. Planowałam ją na ostatni dzień i to nie byłam pewna, czy w ogóle nastąpi. Życie po raz kolejny uczy mnie, że nie warto planować. Ciesz się chwilą. Żyj dniem dzisiejszym. Liczy się tu i teraz. A tu TO. Milczę, a on wyjaśnia:

– Wszystkie ważne pytania zadałem sobie, zanim zdecydowałem się na ten przyjazd. Wierz mi, nigdy tak długo nad niczym nie myślałem. Za i przeciw. Czy warto? Czy to coś da? Czy aby na pewno ci to pomoże? Domyślanie się, o co ci tak naprawdę chodzi... To wszystko było trudne, ale mam to już za sobą. Podjąłem decyzję i jestem. Teraz jestem po prostu sobą. Jestem tu dla ciebie. I nie na pół gwizdka.

I jest sobą bardzo pięknie. Nie ma zmarszczek. Ja mam. Ja mam siwe włosy, on nie. U mnie cienie pod oczami, a jego policzki są rumiane. I dużo mnie, kiedy jego tak niewiele.

– Kochałeś mnie kiedykolwiek? Tak na serio – pytam jeszcze.

– Oczywiście, że kochałem. Najbardziej na świecie. Zawsze.

21

Poszukiwania Cassy nie przynoszą spodziewanego rezultatu. Nie zostajemy na pikniku, bo Marnix i tak pewnie nie mógłby niczego zjeść. Wracamy do domu Malwiny i od wejścia jej duża skrzynia rzuca mi się w oczy. Gdzie się podział ten klucz? Nie mam jednak siły, aby -ponownie przeszukiwać cały dom. Sprawdzam jedynie kieszenie. Nic z tego.

– Co słyhać? Jak sobie radzisz? – Janek dzwoni do mnie po południu, w momencie kiedy wychodzimy z Marnixem do ogrodu. Wracam więc do domu, żeby z nim poroz-mawiać.

– Jest okej. Jest dobrze, nawet lepiej, niż myślałam. Serio.

– Cieszę się. Bardzo się cieszę. Masz pogodny głos.

– Nie uwierzysz, jak ci powiem, z kim tu jestem od dwóch dni. – Prawie chichoczę, promienieję szczęściem. Po drugiej stronie absolutna cisza. Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwa. Nawet w takich okolicznościach, wiedząc, że zostało nam zaledwie paręnaście godzin razem, a mnie pewnie parę miesięcy w ogóle... Ale teraz, przez ten krótki moment, jest

dobrze. Naprawdę dobrze.

– Co?

– Kto, a nie co? – Poprawiam go zadowolona.

– Dobrze, kto? – Zadaje pytanie, a w jego głosie wybrzmiewa początek irytacji, której nie rozumiem.

– Marnix Lanteri tu jest... Jest ze mną w Gourdon od dwóch dni. Rozmawiamy, wspominamy... Czy to nie wspaniałe? – I znowu słyszę, jak wymawiam jego imię. Wypowiadam je na głos, a nie w myślach. Dźwięk głosek odbija się od ścian i wiruje mi w głowie. Mam od razu ochotę je powtórzyć, bo zabrzmiało nad wyraz pięknie, czysto i prawdziwie.

– Pati, błagam. Nie zaczynaj!

– Nie zrobiłam nic głupiego. Przysięgam. Marnix przyjechał tu z własnej woli.

Znowu dwie sylaby zadźwięczały śpiewnie w moich uszach.

– Przestań! Weź się w garść – prosi, ale podekscytowana nie daje mu dojść do słowa, prawie że krzycząc teraz do telefonu:

– To długa historia i tak naprawdę to ściągnęłam go tu, bo jak wiesz, mam powód. I to poważny. Ale nie będę teraz o tym rozmawiać, bo Marnix czeka na mnie w ogrodzie. Oddzwonię do ciebie jutro wieczorem. Wszystko ci opowiem – szczenięcę podniecona niczym mała dziewczynka, która ukrywa się w szafie podczas zabawy w chowanego.

– Ile to jeszcze będzie trwało? Niszczysz sobie życie, nie rozumiesz tego? – W głosie mojego brata pobrzmiwa napięcie. Ignoruję to.

– Przysięgam, wszystko ci wyjaśnię. Obiecuję. A teraz muszę kończyć. Oddzwonię, okej?

Nie odpowiada. Rzuca słuchawką. Wiem, że ma mi za złe, że skontaktowałam się z Marnixem. Wie, co to dla mnie oznacza, ile już się przez niego nacierpiałam. Może nawet wie, że Marnix ma rodzinę, i myśli, że chcę ją rozbić. Nic w tym stylu. Chcę pomóc. Jemu i sobie. Zakończyć to po ludzku, raz na zawsze, żeby umierać w spokoju. Ale Janek nie może przecież o tym wszystkim wiedzieć. To nic. Wyjaśnię mu potem. Odkładam słuchawkę i ruszam do ogrodu, gdzie czeka na mnie Marnix. Miłość mojego życia. Nie chcę go tracić po raz kolejny. A muszę. Pocieszyć się mogę jedynie tym, że ten raz jest tym ostatnim. Nawet ostatecznym.

Chwyta za gitarę. Gra. Boję się odezwać, żeby nie przestał. Obserwuję go bez słowa z mojego leżaka i zastanawiam się, co takiego jest w tej muzyce, że nie da się jej zapomnieć, że ma się ją latami w głowie. Marzyłam o tych dźwiękach. Jak widać, marzenia czasami się spełniają.

Nagle zaprasza mnie do swej prywatnej przestrzeni. Tej intymnej – między

nim a gitarą. Idę więc, siadam tyłem i opieram się o niego. Plecy przyjmują znajomą formę jego klatki piersiowej. Zapomniałam, że jest taki twardy. Lubię tę skałę. Zanurzam się w niej z przyjemnością, tak głęboko, jak tylko da się zatopić w skale. Kiedyś robiliśmy to często, ale dzisiaj nie wiem, jakim cudem jeszcze tam się mieszczę. Po chwili wychyla się znad moich ramion, przysuwa instrument, który lgnie do mnie ciasno. Słyszę pierwsze nuty, znane na pamięć wersy, ukochane teksty, sekretne wyznania. Jestem w jego muzyce, a ta jest wszędzie. Tonę i dobrze mi z tym. W końcu wieloryby lubią wodę.

Światełki i ćmy krążą gdzieś nad naszymi głowami. Na gapę słuchają koncertu jakich mało. Na niebie tysiąc gwiazd, jasnych i błyszczących. Tylko w tym miejscu widać je tak dobrze. Cała droga mleczna przygląda się temu, co ma miejsce teraz w tym ogrodzie.

Ręce mu w końcu drętwieją i musi przestać. Albo skończył mu się repertuar. A może noc nam się kończy? Widzę ciemność i chłód niepewnie wślizgujące się do ogrodu. Nie ma już muzyki, ale jesteśmy my. A może na odwrót? Łapię jego dłoń i kładę na mojej. Na palcach nie dostrzegam ani zgrubień, ani zadrapań. Nawet skóra, która w tym miejscu zawsze była u niego grubsza od ciągłego szarpania strun, teraz wyróżnia się delikatnością. Wygląda na to, że długo nie miał w rękę gitary. Dziwne. Przecież kocha na niej grać. Całuję więc każdy palec. Tak jak za pierwszym razem. Muskam i liżę. Celebрую. Smakuje jak zawsze: jak nasz tort urodzinowy.

Nie napiszę więcej o naszej intymności, bo nie chcę, bo nie potrafię, nie znajduję odpowiednich słów. Bo po tych wszystkich zapisanych stronach już wiele z niej nie zostało. Całe życie patrzyłam, jak się z niej obdzieramy. Najpierw on piosenkami, potem ja książkami. Jej resztki zostawię dla siebie, na później, na ten moment, kiedy będą mi ostatnim pocieszeniem, wspomnieniem miłości. Kiedy już tylko to mi zostanie.

Jakiś czas temu znalazłam w internecie jedną z tych list, które wyliczają, co i jak należy robić, aby być szczęśliwym. Punkt pierwszy brzmi tak: „Poślub właściwą osobę. Ta decyzja zdeterminuje dziewięćdziesiąt procent twego życiowego szczęścia lub nieszczęścia”. Szkoda, że porada, jak należy żyć, nie wpadła w moje ręce dziesięć lat temu. Ale najgorsze jest to, że teraz, kiedy on tu ze mną jest i jest mi dobrze, zaczyna mi się chcieć żyć. Czy właśnie tego pragnę? Zakochać się w nim ponownie na zabój? Na śmierć? Przecież brakuje na to czasu. Ale teraz mam chociaż wybór. Mogę umierać na TO albo z miłości. Wybieram umieranie z miłości. W pojedynkę oczywiście, bo wiadomo, że jego mieć przy

sobie na dłużej nie mogę.

- Dlaczego przez dziewięć lat niczego nie napisałeś? – pytam wreszcie.
- Bo cię nie było – odpowiada najzwyczajniej na świecie.

Wracamy do domu. W nocy jemy makaron bezglutenowy z sosem pomidorowym i kozim serem. Naprawdę obrzydliwe. Nawet nie staram się udawać, że mi smakuje. Ale to nic. I tak nie jestem głodna. Nalewa mi czerwonego wina i spoglądając na mnie ze zmartwioną miną, zaczyna:

– Pati, co się dzieje?

Jak to, co się dzieje, myślę. Umieram, a on jeszcze pyta!

– Co masz na myśli? – Upewniam się jednak.

– Dlaczego tak wyglądasz?

– Jak?

– No nie myjesz się, nie czeszysz, nie dbasz o siebie? Wyglądasz jak szkielet.

– Strajkuję – obwieszczam i szyderczy uśmiezek sam się wyrywa. Francuzi to naród strajkujący. Powinien zrozumieć. Nie myję się, bo mycie oznacza dbanie o siebie. Nie dbam, bo nie dano mi szansy na wyzdrowienie. Nie jem, bo nie jestem głodna.

– Co robisz? – pyta z niedowierzaniem, więc tłumaczę:

– Wkurza mnie to wszystko. Po co mam się myć? Po co mam dbać o siebie, o to ciało? Przecież ono mnie zupełnie oszukało. Postanowiło, że mnie uśmierci, zdecydowało za mnie, nie dało żadnej szansy ratunku! A ja mam jeszcze się starać?

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo to prawda.

– Nie. To ty panujesz nad swoim ciałem, a nie ono nad tobą. To ty możesz się postarać, żeby coś z tym zrobić. A nie robisz nic. Nie rozumiem. Takiej chudej cię jeszcze nie widziałem. Zjedz coś, bo mnie naprawdę martwisz. – Jego wzrok wbija się w moje oczy i przez chwilę waham się, co odpowiedzieć. Ja chuda? Wydawało mi się, że -jestem wielorybem. Nie mogę jeść. Nie pamiętam, jak to się robi.

– No właśnie. Nie rozumiesz. Więc lepiej nic nie mów. Albo powiedz mi, dlaczego się rozstaliśmy. Dziewięć lat temu. Dlaczego mnie zostawiłeś? – Zastygam na moment, bo sama nie wiem, czy dobrze robię, ale muszę zmienić temat, bo napoczęty makaron zerka na mnie z talerza. Może Marnix ma rację, mówiąc, że nie należy wracać do przeszłości.

– Tak wyszło.

Milczę. Analizuję dźwięk po dźwięku, sylabę po sylabie. Szydzi ze mnie?

– Sama wiesz – dodaje.

Nie. Nie wiem i chyba w sumie nawet nie chcę tego wiedzieć, już nie chcę sobie przypominać. Żałuję, że zapytałam. Nie wierzę w to. Po prostu w to nie wierzę. Tak wyszło?! Marnix kłamie. Poniżej mnie. Cierpię i cierpieć będę. Los mnie okłada po głowie. Bez przerwy. Nie ustaje. Kiedy przestanę nadstawiać drugi policzek?

Przez dłuższy czas siedzimy w uporczywej ciszy i wpatrujemy się to w noc, to w siebie. Mimo wszystko doceniam tę chwilę, jej każdy moment. W końcu powraca mi na myśl Cassy, rozpoczynam więc nową rozmowę:

– Myślisz, że to dziecko rzeczywiście się zgubiło i krąży gdzieś po lesie?  
– Szczerze? Nie. Tyle ludzi, policji, helikopter i nic. Znaleźliby ją już przecież. Martwą czy żywą.

– No to co się z nią stało?

– Ktoś ją porwał i ukrywa. – Kradnie mi papierosa, zaciąga się raz i oddaje.

– W okolicy?

– Pati, skąd mam to wiedzieć? Wyglądam na porywacza dzieci? – Wypuszcza dym w moją stronę.

– Nie. Ale gdybyś miał kogoś porwać i go schować, to gdzie byś to zrobił? – Zadaję pytanie i sama się za-stanawiam. Z Marnixem najchętniej schowałabym się w szafie.

– W piwnicy! – Ożywia się i uśmiecha.

– Nie nabijaj się ze mnie. Mówię poważnie.

– Najciemniej pod latarnią. Czy w Cipières jest jakieś opuszczone miejsce?

– Chyba nie. Ale u nas jest: zamek.

– Zamek nie jest opuszczony, a niezamieszkały. To różnica.

Skąd to wie? Przecież dopiero co przyjechał.

– Z tego, co wiem, to nikt go na stałe nie pilnuje. Kiedyś była tam wystawa dzieł sztuki, ale potem posiadłość przejął nowy właściciel i zamknął wrota na cztery spusty.

– Myślisz o tym samym, co ja? – rzuca po chwili namysłu. Oczy mu błyszczą i już wiem, że coś knuje. Chce tam iść. Podobno przykładowy mąż i odpowiedzialny ojciec dwójki dzieci. Do zamku, ze mną, nocą!

– To nie ma sensu. – Spoglądam na niego z dezaprobatą.

– Oczywiście, że ma. – Uśmiecha się.

– Chyba nie mówisz poważnie...

– Idziemy!

Nocna wyprawa przepełnia mnie wspomnieniami, głównie z czasów świętej trójcy. Kiedyś wybraliśmy się po kryjomu do lasu na szukanie nocnych zjaw. Po piętnastu minutach spanikowani wróciliśmy biegiem do domu, przerażeni stadem

dzików idących nocą do rzeki.

– Pamiętam, jak kłóciliście się z Robertem o magnetofon... – Zaczyna, kiedy przedzieramy się przez wysuszone krzewy. Szyszki i igły wbijają mi się w stopy. Co za pomysł iść w sukience i sandałach? Jemu też się zebrało na wspomnienia. – On chciał słuchać Europe, a ty Madonny. Pamiętasz?

– Tak. – Uśmiecham się. – A mój tata Queen.

Śmieje się.

– I tego gościa z wąsami w kapeluszu.

– Niemena.

– Właśnie: Niemena! A pamiętasz plakat Madonny, który razem kupiliśmy?

– Niebieski, do *True Blue*. Pamiętam. Ciągle go mam, ale już nie wiem gdzie.

Po dwudziestu minutach docieramy pod stare mury. Zamek oczywiście jest zamknięty. Wokół spokój i cisza. Obchodzimy go dwa razy, staramy się zaglądać we wszystkie dostępne zakamarki, ale nic nie rzuca się nam w oczy. Padają baterie w mojej latarce. Zrezygnowani wracamy do domu dobrze znaną ścieżką. W połowie drogi Marnix niespodziewanie chwyta mnie za ramię.

– Chodź tu! – mówi i przyciąga do siebie. Podchodzę, żeby wpaść prosto w jego ramiona. Przytula mnie, całuje, a ja się nie bronię. Chcę go jeszcze bardziej niż on mnie. Zapominam o wszystkim, o całej wrogiej rzeczywistości. Plecy oparte o drzewo, w świetle księżycy wodzę za nim wzrokiem, kiedy przemieszcza usta po moim ciele. Zdejmuje mi majtki i wtedy słyszę czyjeś kroki.

– Słyszałeś? – Upewniam się po chwili.

– Co? – Z trudem odrywa wargi od moich ud.

– Ktoś tu jest – szepczę, kiedy podnosi się z kolan.

– Cicho! Nie ruszaj się!

Oboje zastygamy i nasłuchujemy podejrzanego odgłosu.

– Idzie tu – mówi nagle. Sprawdzam, która godzina. Trzecia nad ranem. Kto chodzi po lesie o tej porze?

– Chodź! – rozkazuje i bierze mnie za rękę. Ruszamy. Idziemy szybko, zdenerwowani. Znamy drogę, choć las w nocy chwilami wydaje się nieznany. Przyspieszamy kroku, kiedy odgłos się zbliża i jestem prawie pewna, że to człowiek. Zwierzyna nie biega za ludźmi, raczej ucieka w drugą stronę. Chce mi się śmiać, ale Marnix, poważny, przyspiesza kroku, skręca w złym kierunku, może chce go zgubić. Zaczyna biec. Na ślepo, ciągnięta za rękę, podążam za nim. Sytuacja naprawdę zaczyna wydawać się komiczna, bo zamiast rzucać się do ucieczki, powinniśmy zapytać, kto idzie. Jak ten ktoś w ogóle nas widzi, skoro nie ma latarki? Jak może nas śledzić?

– Marnix, a może to Cassy? – pytam zdyszana.

– Zwariowałaś? Takim krokiem? I się nie odzywa?



– Może się boi? Poczekaj, zawołajmy ją! – Proponuję i ciągnę go za rękę, żeby się zatrzymał, ale właśnie wtedy słyszemy dźwięk odbezpieczenia broni palnej. Ktoś chce do nas strzelać?!

To stawia mnie na nogi. Zrywam się do biegu i mknę przez las na pamięć, odgadując drogę. Nie zatrzymuję się, nie oglądam za siebie. Mimo sprintu przez suche gałęzie ręka Marnixa pozostaje zapleciona wokół mojej. Nie rozmawiamy, nie krzyczymy, uciekamy. Biegnę, aż do utraty tchu i obdartych kostek. Potykam się. Upadam. Marnix mnie zbiera. Ciągnie za sukienkę. Ratuje. Pospiesza.

– Szybciej! – krzyczy.

Jeszcze parę metrów, jeszcze kilka kroków. Przebieram mechanicznie nogami, ale zadyszka mnie dogania. Muszę zwolnić, nie dam rady, chcę się zatrzymać, ale ukochany mi nie daje. W końcu wbiegamy na nasze podwórko. Zwalniamy wreszcie. Zatrzymujemy się przed moim domem i patrzymy za siebie. Dyszę jak parowóz. Zaraz umrę na tym progu, w jego ramionach.

– Co to było? – pyta zziębnięty.

– Nie mam pojęcia. – Z trudem łapię oddech.

– Myśliwy?

– Może mój sąsiad? – Spoglądam na dom Magnusa, ciemny i pozamykany.

– Raczej nie. Nie ma jego samochodu.

Tajemniczy kłusownik nie dopada nas w domu. Nie widzimy go, nie słyszymy. Znika tak samo szybko, jak się pojawił. Czatuujemy na niego jeszcze chwilę w środku, sprawdzamy każde pomieszczenie. Wszystko boli mnie tak bardzo, że nie mogę już dłużej utrzymać się w pionie. Opadam na kanapę i zasypiam od razu. A we śnie to ja trzymam jego głowę na kolanach. To moja ręka gładzi jego włosy i to moje, a nie jego usta, szepczą słowa pocieszenia, efemeryczne formułki jak z kruchej porcelany. To ja zapewniam, przysięgam, zarzekam. Ja rozczulam. Kłamię jak z nut, że będzie dobrze. I to mnie, a nie jemu, robi się po tym obrzydliwym kłamstwie niedobrze. Wszystko, błagam, tylko nie koniec.

Walczyłam o niego, bo nikogo innego nie chciałam. Modliłam się o nas długo, bo mi zależało. Wyuczonymi, skostniałymi słowami: „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy nas stój”. Wszystko na nic. Nic nie wymodliłam, niczego nie wywalczyłam. A zapotrzebowanie na miłość nigdy nie maleje. Nigdzie i u nikogo. Jak już zdasz sobie sprawę, że zostało ci tak mało czasu, zaczynasz wreszcie myśleć inaczej. Zaczynasz trzeźwo patrzeć na sprawę. I działasz. Natychmiast.

Dlaczego go tu ściągnęłam? Po co to wszystko? To proste. Przez parę szalonych sekund wierzyłam, że mogę cofnąć czas i naprawić to, co zepsuliśmy. I że wszystko będzie dobrze. Tak jak wtedy. Skończyło się na tym, że dostałam jedyną szansę, żeby go przeprosić. Więc przeprosiłam.

– Marnix, przepraszam cię. Przepraszam kochanie.

Nie wiem, czy słyszał. Spał twardo, wtulony we mnie, na kanapie. Oddychał tak miarowo, spokojnie i tak cicho. Prawie bezszelestnie.

A może jednak zostanie?

## DZIEŃ TRZECI I OSTATNI

22

Dźwięk dzwonów z kościoła w Gourdon wyrywa mnie ze snu. Kawa na stoliku już na mnie czeka, choć nie pamiętam, żebym ją przygotowała. Na śniadanie -kasza jaglana z malinami i migdałowym mlekiem. Jem. Naprawdę jem, a on mnie pilnuje. Chce mi się płakać, nie odzywam się. Marnix, wpatrzony to we mnie, to w skrzynię, którą -widać z daleka w salonie, też milczy.

Zaraz go nie będzie. Zaraz mnie nie będzie. Myśl o tym mnie nie opuszcza. Mam ją zakodowaną gdzieś na tyłach i obojętnie, jak bardzo mi tu z nim dobrze, to i tak wiem, że zaraz nieodwołalnie nastąpi koniec. Najpierw nasz koniec, potem mój koniec. I to uczucie, i ta wiedza wszystko psują. Więc patrzę na niego jeszcze chwilę, zanim inni mi go zabiorą, pożegna się i wyjedzie. Oddycham nim, żeby zapamiętać zapach jego ciała. Co będzie jutro? To też wiem aż za dokładnie i tak bardzo tego nie chcę, jak nigdy niczego w życiu jeszcze nie chciałam.

Będę leżeć i się roztopiać w tym okropnym upale. Bez ruchu, ślamazarnie, sukcesywnie.

Niech zostanie więc, niech będzie tu ze mną do końca! Będę błagać, nie odpuszczę. Mogę poddać się chorobie, Bogu i pogodzie, ale nie kolejnemu rozstaniu. Bo jak się kogoś naprawdę kocha, to się nie poddaje. Nigdy i wobec niczego.

Muszę zadzwonić do Yannika. Opowiedzieć mu o nocnej ucieczce przez las, ale najpierw tam wrócić i znaleźć moją bieliznę. Jak policja szukająca Cassy na nią się natknie, będę miała problemy. Po śniadaniu wracamy z Marnixem w to samo miejsce, chodzimy pół dnia po lesie, ale niczego nie znajdujemy. Tak jak mała Cassy, moje białe bawełniane majtki zapadły się pod ziemię. Wracamy do domu bez niczego.

Spoglądam na zaniedbany ogród Magnusa, kiedy zniechęceni brakiem rezultatów poszukiwań, leżymy z Marnixem na werandzie. Ani dziecka, ani gaci. Ogród jest naprawdę w nieładzie. Zastanawiam się, jak jego właściciel to znosi. To musi być dla niego trudne przeżycie. Prowadzi tu chyba jakieś prace. Nabieram odwagi i...

– Chciałabym, żebyś ze mną został do końca. – Wykładam karty na stół.

Nagle. Teraz. Sama się sobie dziwię. Powietrze schodzi ze mnie powoli. Cisza. Uchyła usta, ale nie odpowiada. Daję mu więc chwilę, żeby się zastanowił. Bo poprawna odpowiedź jest tylko jedna i oboje ją znamy.

– Nie mogę.

Zabiera mi papierosa. Pali go przez chwilę. Spogląda na mnie. Marszczy czoło.

– Wiem – odpowiadam i myślę. Wiem. Dobrze to wiem. I on też. Ale przecież chodzi o miłość. Tu wszystko może się zdarzyć. A nie dzieje się nic.

– Widzimy się ostatni raz – dodaje. Z czułością wyciąga rękę w moim kierunku i gładzi mi policzek. Zamykam oczy. Jednak kilku łzom udaje się przedrzeć przez zaciśnięte powieki. Spływają teraz złotym brokatem. Gardzę nimi. Niech płyną.

– Masz rację – szepczę. – W takim wypadku, jeżeli masz mi coś wyznać, to mów. To ostatnia szansa.

Bierze głęboki oddech. Chcę usłyszeć, że mnie uwielbia albo chociaż, że ciągle jestem dla niego ważna, że żałuje. Zerkam z niepokojem, kiedy zaczyna poważnym tonem:

– Byłem w kostnicy i widziałem jego ciało, wiesz.

– Jak to? Po co? Kiedy? – Siadam prosto na leżaku i obserwuję uważnie jego twarz. Wiadomo, o kim mówi. Nie muszę pytać.

– Nie wiem. Chyba chciałem go jeszcze raz zobaczyć. Po dwóch dniach jakoś...

– I wpuścili cię? – Moje zdziwienie sięga zenitu. On wydaje się zupełnie opanowany.

– Wpuścili.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś?

– Nie wiem. Chyba się bałem. – Milknie, a po chwili dodaje: – To nie był dobry pomysł. Naprawdę tego żałuję.

Marnix zawsze miał z Robertem swój ekskluzywny, własny kontakt, inny od reszty rodziny. Bardzo tę relację pielęgnował i strzegł jak oka w głowie. Jak się okazuje, nawet po jego śmierci. Czuję się z tą wiadomością nieswojo. Jakby mnie oszukał. Myślałam, że znam całą przeszłość na pamięć. Że wszystko zostało przez nas wyjaśnione, przerobione i przemaglowane tysiące razy. Może jednak nie? Znowu czuję ten znajomy gorzki smak w ustach. Nie chcę już o tym rozmawiać. Nie lubię, kiedy ktoś bliski coś przede mną ukrywa. Źle mi się to kojarzy. I od razu wraca jedno z moich wspomnień z dzieciństwa, z Legnicy, kiedy wróciłam do domu pełnego krzyków Roberta. Kłócił się z rodzicami. Widziałam, jak biegnie do drzwi i ucieka, zostawiając je otwarte. Nie było go dwa dni. Dwa długie dni i jeszcze dłuższe noce. Umierałam ze strachu. Odwiedziła nas policja i nauczycielka. Nie podzielili się ze mną informacjami. Aż w końcu wrócił na poważną rozmowę z

rodzicami, na którą też nie dostałam zaproszenia. Nie rozmawialiśmy o tym. Gdzie i dlaczego wtedy uciekł? Mogę się jedynie domyślać. Robert po raz pierwszy coś przede mną zataił, miał swoją pierwszą tajemnicę. Poczułam się wtedy zdradzona.

– Mnie możesz zaufać.

– Ale w jakiej sprawie?

– No, że wolisz facetów. – Złapałam się na tym, że mimo bezpiecznego zacisza naszego pokoju, ściszyłam głos.

– Ale tobie to akurat nie muszę, bo ty i tak przecież wiesz. – On też zaczął szeptać. Lubiłam naszą konspirację. Razem w ukryciu przed całym światem. Brakowało tylko francuskiego szpiega.

– Chodzi ci o rodziców?

– O nich też.

– To o kogo, konkretnie?

– O cały kurewski świat. Pati, nie widzisz, jak u nas jest... – Jego spojrzenie przeszło mnie na wylot. Cierpiał.

– We Francji jest inaczej. – Zasugerowałam, spuszczać wzrok.

– Może odrobinę. Poza tym nie jesteśmy we Francji.

– Możemy być. Po maturze. Chyba nie masz zamiaru zostać całe życie w kraju, w którym *inne* jest rozumiane jako *złe*?

23

Nie wiem, jak i kiedy minął nam ostatni wieczór. Gdzieś między moją migreną a jego ramionami i kąpielą w Le Loup. Noc zaskoczyła nas znienacka i teraz już trwa. Nie śpię. Marnix leży obok i oddycha spokojnie, więc skrycie się zastanawiam: a może by tak przestać umierać? Przeciwstawić się temu wszystkiemu, zacząć walczyć, nie dać się? Zaryzykować i rozpocząć leczenie. Próbować dla nas, dla niego. Może została mi jakaś jedna jedyna szansa? Może jednak warto? Po cichu, w tajemnicy przed wszystkimi...

Wystarczyło kilka uśmiechów i nut, przekazanie kilku niedorzecznych myśli, garść słodkich słów, jego -soczystych wyrazów, a już zrodziła się we mnie nadzieja. Ba! Wystrzeliła jak z procy. Wybiła się i wznosi się teraz z szybkością światła jak sztuczne ognie w sylwestrową noc na rozgwieżdżonym niebie. W końcu wybucha złotym konfetti i zalewa blaskiem czarny sufit sypialni. Nabieram powietrza do oporu i zatrzymuję na moment, aż zaczyna opadać tym złotym brokatem, który zakręcił mi w głowie. Powoli osiada miękko i bezszelestnie na naszych policzkach, poduszkach i prześcieradle. Nie. Bez sensu. Przecież Marnix musi wracać do swojej rodziny. Powiedział, że nie może zostać. Lekarz również wyraził się jasno. Bliżej mi do śmierci niż do życia. Nie chcę kolejnej klęski ani następnego nieporozumienia. Nie wytrzymam tego. Nie dam rady.

Rozstania bywają zazwyczaj trudne. Ale rozstanie z pierwszą miłością jest

nie do zniesienia. To zupełnie zbija z tropu. Wtedy, w wieku trzydziestu lat, byłam zagubiona. Nie umiałam być sama. Teraz, po dziewięciu latach osobno, nasze jutrzejsze rozstanie sprawia, że wolałabym umrzeć już teraz. Na kilka godzin przed. Bo to będzie rozstanie ostateczne. Nie chcę tego przeżywać. Nie chcę widzieć, jak odchodzi. Nie chcę tej ostatniej rozmowy. Nie zniosę jej. Chciałabym umrzeć w tym momencie, z nim obok, z jego ciepłą skórą przylepioną do mojej, pod lepkiem prześcieradłem. Ale nie umieram. Do samego cholernego końca będę tu tak leżeć.

– Co będzie dalej? – pytam przy ostatnim śniadaniu, bo chcę wiedzieć. On pije kawę. Ja na niego patrzę. Dziś nawet kawa mi nie wchodzi. Nie odpowiada. Wzrusza ramionami. Tak bardzo wymownie. Co to w ogóle jest? Co ma oznaczać to całe wzruszanie ramionami? To jakiś tajemniczy kod mężczyzn? Trzeba maszyny -odszyfrowującej, żeby go złamać? – Muszę napisać tę książkę? – dodaję.

– Nie, nie musisz – odpowiada najspokojniej na świecie i patrzy mi zielono w oczy. Myślałam, że zielony to kolor nadziei, a tu raczej melodramat.

– Czy coś się stanie, jak jej nie skończę? Albo jak nie wszystko uda mi się wyjaśnić? – Analizuję i zastanawiam się, dlaczego zaczynam płakać. Tak się starałam, żeby się nie rozkleić.

– Nic. Zupełnie nic. Czytelnicy to inteligentni ludzie. Domyślą się. Poza tym na końcu i tak nic nie zostaje, więc kto by się przejmował...

– Nic? Nic nie zostaje?

Chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

– Tak, dokładnie: jedno wielkie nic. – Kończy, jakby sam miał się zaraz skończyć. W świetle poranka jego policzki wydają się zapadnięte, a wyjazd na lotnisko nieuchronnie już krąży nad naszymi głowami.

– Wielkie czy może małe?

Nieudana próba rozładowania emocji wrywa się prze-kornie. Uśmiecham się przez łzy, ale on pozostaje poważny. Za poważny jak na Marnixa, którego znałam całe życie.

– Skoro to nic, to nie istnieje. – Cichnie wolniej niż powinien, a ja zamieram i wpatruję się w jego szkliste spojrzenie.

Był i go nie ma.

Wybaczam mu. Przebaczam. Świadomie zapominam. Przepraszam.

Nie. Nie. Nie i nie.

Jak to się stało, że pustka tak szybko wypełniła moje życie? Dlaczego nie śmiech, radość czy nadzieja, a właśnie pustka rozprzestrzeniła się najszybciej? W

ogóle nie lubię tego słowa: pustka. Nie dość, że nic w nim nie ma, to jeszcze udaje małą dziewczynkę jak kostka czy pestka. Puste to takie. Marnix wyjechał. Nie ma go. Jestem sama i nie udaje mi się zasnąć. Męcę się całą noc, aż w końcu poddaję się i wstaję nad ranem. Jest duszno, otwieram okna. Idę do kuchni, a tam stoi granatowy kubek. Bo co innego może robić kubek? Okazuje się, że może jeszcze przypominać o kimś i wywoływać emocje. Nie zostawiłam go tu specjalnie. Nie wystawiłam na wystawę. Stoi tu od wczoraj, a na dnię zaschły ostatnie krople wypitej w pojedynkę kawy. Wącham, ale już nim nie pachnie. Teraz go umyję i postawię na suszarce, bo skończyłam z miłością. Skończyłam z Kochaniem i czekaniem. Z oszukiwaniem i wybaczeniem też. To koniec. „Nie chcę już więcej kochać, cierpieć, czekać ani wierzyć w rzeczy, których nie potwierdza życie”<sup>18</sup>, napisał Marek Hłasko. I miał rację.

Nie ściągnęłam go tu, żeby mu psuć życie. Nie chciałam żadnej zemsty, problemów, nie chciałam wracać do tego, co było. No może trochę, naprawdę troszeczkę. Nie ściągnęłam go tu, żeby namawiać go, aby do mnie wrócił. Ani po to, żeby się z nim kochać i sprawić, żeby znów mnie kochał. Nie będę kłamać. Myślałam o tym. Tak, wyobrażałam sobie to wszystko i brałam pod uwagę wszelkie scenariusze. Ale nie taki był mój cel. Nie po to się z nim spotkałam, choć dałabym wszystko, żeby znów był mój i żebym mogła budzić się w jego ramionach. Przez ten bardzo krótki czas, jaki mi został. Czułam się winna, że zabieram mu aż trzy dni. Trzy dni tylko dla mnie, dla nas. Na tyle dałam poszaleć mojemu ja. Nie mogłam sobie odmówić. Nie umiałam. To było minimum. Tyle mu zabrałam. Tyle sobie dałam. Ściągnęłam go tu, żeby się z nim pożegnać. A teraz zostało mi czekanie na finał.

*(...) Co z nami będzie?*

*Za oknem świt.*

*Tak nam dobrze mogło być.*

*Gdy Ciebie zabraknie i ziemia rozstąpi się: w nicości trwam.*

*Gdy kiedyś odejdziesz, nas już nie będzie i siebie nie znajdziesz też.*

*Zatańcz ze mną jeszcze raz.*

*Chce chłonąć każdy oddech Twój.*

*Co z nami będzie?*

*Uwierz mi: tak jak ja nie kochał nikt.*

*(...) W salonie wśród ciepłych świec już nigdy nie zbudzisz mnie.*

*Już nigdy nie powiesz mi, jak bardzo kochałeś mnie*<sup>19</sup>.

<sup>18</sup> Marek Hłasko, *Ósmy dzień tygodnia*, Wydawnictwo Elf, 2006.

<sup>19</sup> Edyta Bartosiewicz, *Ostatni*, w: Edyta Bartosiewicz, *Szok'n'Show*, Izabelin Studio/Polygram Polska, 1995.

## CZEŚĆ II



## POTEM

24

Miewam takie dni, kiedy wyrzuty sumienia mnie nie opuszczają. Oddech mam wtedy niespokojny.

Nie słyszę deszczu, ale czuję jego zapach. Budzę się później i pierwszy raz od dawna jest mi zimno. Może dlatego, że spałam nago. W końcu pada, a nawet leje. Otwarte okno sypialni uderza o framugę w rytm podmuchów wiatru. Idzie burza. Nie wiem, która jest godzina, ale na dworze już jasno. Parkiet pod oknem całkowicie zalany, wstaję więc, żeby je zamknąć, choć mam ochotę zostawić otwarte na oścież, bo w końcu jest czym oddychać. Wdycham tę świeżość powoli i głęboko, do przepony, do dna żołądka, i dalej do jelit, tam gdzie lęk i skrucha. Choć może ja już niczego tam nie mam? Wyrzuty sumienia zżarły mnie od środka, a to co zostało, dokończyło TO. Teraz nie ma we mnie nic. Jestem pusta. Przydałby się nawet jakiś przeciąg, żeby mnie wywietrzyć. Zmiana aury sprawia, że mam ochotę zejść na dół i zrobić śniadanie. Komu? Nie wiem. Ale udaje mi się przez chwilę o nim nie myśleć. Nad ranem, kiedy nie mogłam spać, w kuchni też zostawiłam uchylone okno, więc i tu się wywietrzyło; pachnie teraz mokrym lasem. Chcę wyjść na dwór i wziąć prysznic w deszczu. Na złość starej łazience poczuć krople wody spadające prosto z nieba na moją skórę. Włączam ekspres do kawy i zbliżam się do parapetu. Na zewnątrz duża sylwetka przyciąga mój wzrok. Magnus. Stoi w deszczu i gapi się wprost na mnie. Wychodzę do niego spokojna. Tkwi nieruchomo jak posąg, a woda spływa po nim strugami. To musi być cudowne uczucie. Podchodzę, staję naprzeciwko i zalewa mnie ta sama fala. Błyska i grzmi w oddali. Moja ostatnia burza, myślę i zamykam oczy. Ostatnia zawierucha, gorączka, żar i afera. Dwoje samotnych ludzi. Mój sąsiad nic nie mówi, może dlatego, że nie mam na sobie ubrania, więc strzelam wreszcie:

– Masz siekierę albo jakiś dobry tasak?

– Mam – odpowiada, pociągając nosem. Wpatruję się w niego, ale się nie rusza, a jego twarz zalana jest deszczem. Lub łzami. Kicham raz, drugi, trzeci. Ściąga swój mokry podkoszulek i wkłada mi go przez głowę, kiedy podnoszę ramiona. Prowadzi mnie do siebie. Zdejmuje zielone gumowce jeszcze na werandzie i wchodzi do domu w skarpetkach.

– Buty ci przemokły – rzucam w stronę jego nagich umięśnionych pleców.

Chcę go ostrzec, żeby nie dostał zawału serca, jak zobaczy mokre ślady na wypolerowanej posadzce. Odwraca się:

– Do czego ci ten tasak?

Patrzy na podłogę, a potem z grymasem niezadowolenia znów na mnie. Wiedziałam, że to mu się nie spodoba. Znam go coraz lepiej. Pan Proper.

– Do rąbania.

Robi zdziwioną minę, ale o nic więcej nie pyta. Za to go lubię. W myślach pewnie już planuje dezynfekcję całego pomieszczenia.

– Jest w piwnicy. Zaraz przyniosę.

Znika, a ja stoję i słucham deszczu uderzającego w szyby. Myślę o piwnicznej krypcie. Jego koszulka klei się do mnie i kapie z niej powoli. Magnus będzie miał co sprzątać. Nagle słyszę, jakby z kimś rozmawiał. Nastawiam uszu, ale cichnie. Może się przesłyszałam. Może gada do siebie. Teraz dochodzi do mnie jakiś zamęt, coś upada, coś się szamoce. Potem znowu cisza i wreszcie jego bosa zbliżające się kroki. Nie przynosi ze sobą smrodu, który stamtąd pamiętam, ale zapach środka dezynfekującego.

– Proszę. – Wyciąga rękę, a w niej trzyma siekierę z lśniącym ostrzem i dużą drewnianą rączką. – Jest ciężka, uważaj. Potrzebujesz pomocy?

– Jeszcze nie wiem. Jak coś, to dam ci znać.

Pewnie by się ucieszył, gdybym go teraz poprosiła, żeby mi odciął głowę. Z pewnością zaprosiłby mnie do piwnicy, bo tu zapaćkałabym mu ściany. Jednak muszę się jeszcze zastanowić. Biorę narzędzie w obie ręce, odwracam się i kiedy otwiera mi drzwi, dodaje:

– Wszystko w porządku?

– Nie.

Odpowiedzieć „nie” na takie pytanie? To takie niefrancuskie, a już tym bardziej nieamerykańskie. Ale jakże szczerze i prawdziwie. Takie polskie. Wychodzę boso na mokre kamienie. Wiem, że patrzy za mną, jak wracam do siebie.

W domu przebieram się w suche ubranie i schodzę do salonu. Skrzynia stoi jak stała, ale leży przy niej teraz ta ogromna siekiera. To wewnątrz oddycha wspomnieniami, dlatego tak tu ciągle śmierdzi. Przeszłość i teraźniejszość mieszają mi się na co dzień. Nie wiem, co jest, a co było. Trzeba samemu rozeznąć się w czasie. Połapać się w tym wszystkim. Wiem, że niczego już nie będzie. To przynajmniej jest pewne. I w paradoksalny sposób mnie uspokaja. Nie zniosłabym większego zamieszania. Tego całego planowania. Rozumiem, co mnie czeka, i coraz bardziej cenię tę wiedzę. Albo tak mi się wydaje.

Ponownie otwieram wszystkie okna, znowu robię prze-ciąg. Wietrzę. Wicher hula mi w domu. Wreszcie coś się tu dzieje. Przedmioty spadają. Drewniane drzwi

trzaskają. Prawie tak samo głośno jak kiedyś. Dochodzi do mnie, że znajdę w skrzyni coś zakazanego. No, może w pewnym sensie. W każdym razie coś, z czym będę się bała obcować. Coś niechcianego i drażniącego, jak piwniczny smród. Chodzę wokół niej przez chwilę i przyglądam się. Jednak tchórz ze mnie. Włączam radio, żeby choć na moment zagłuszyć myśli. Dźwięk jest nieczysty. To pewnie przez burzę. Ciągłe nie odnaleziono Cassy, a długo wyczekiwany deszcz zaraz ustanie. I nagle już wiem. Magnus się nie uśmiecha. On się w ogóle nie śmieje.

Zapalam papierosa i wypatruję sąsiada w oknie. Kiedy przestaje padać, wychodzi na ganek z miotłą. Szary mop wystaje momentami przez drzwi – myje podłogę. Ale to nie wszystko. W końcu wynosi odkurzacz i czyści nim samochód. Na bagażnik poświęca bite dwadzieścia -minut. Nie ogarniam tego, ale po dłuższym namyśle coś mi zaczyna świtać. Magnus dba o czystość, żeby nie -pozostawić po sobie śladów. Nie ma włosów, bo nie chce ich zostawić na ciele ofiary. I, jak każdy zabójca, bierze aktywny, udawany udział w jej poszukiwaniach. On się nie rozwiódł, on zabił żonę i nigdy nie przestał zabijać. Teraz porwał malutką Cassy i szuka jej to samo. Potem będzie ktoś inny. Ktoś następny...

Nagle wpada do mnie jak burza. Zamieram. Zatrzymuje się przed stołem, przy którym siedzę, i zastanawiam się, jak to się stało, że go nie widziałam, kiedy szedł w kierunku domu. Czy mam moje myśli wypisane na twarzy, że tak intensywnie mi się przygląda?

– Posadziłem róże i dwa krzaki mi zostały. Chcesz?

– Jeśli nie chcesz ich u siebie... – Kiwam głową, patrząc na przemoknięte liście rośliny, którą trzyma w zakrytej ogrodniczą rękawiczką dłoni.

– Nie będę robić następnego rzędu, bo nie będzie pasowało.

Nie odpowiadam. Nie wiem, co powiedzieć, bo nie pojmuję. Nie rozumiem. Kwiaty to rzecz naturalna, nie powinny rosnać w rzędzie! Co za różnica, gdzie się je posadzi? Poza tym, kto sadi jakiegokolwiek rośliny podczas ulewy? Magnus chyba czyta w moich myślach, bo dodaje: – Ogród to ważna rzecz. Bez względu na pogodę.

– No to posadź je u mnie.

– Gdzie?

– Obojętnie – mamroczę, ale widząc jego reakcję, pospiesznie dodaję: – To znaczy tam, gdzie będzie pasowało! – Według twego maniackiego zmysłu przestrzeni i porządku, dodaję już w myślach. Wzdycha i zamiast iść do ogrodu, gada dalej:

– Musisz coś jeść.

Patrzę na niego zdziwiona. Dlaczego się o mnie troszczy? Chce mnie podtuczyć przed zabiciem? Znana bajka. Krzywię się.

– To co mam teraz zjeść? – bełkoczę wściekłym tonem. Mam ochotę go

zabić, zrobić dobry użytek z jego siekiery.

– Cokolwiek.

Nie mogę. Nie wytrzymam tego dłużej. Już nawet nie chodzi o to, że nie jestem głodna. Na sam widok jedzenia robi mi się niedobrze. Jak mam więc jeść?

A on nalega:

– Proszę.

– Nie... – Wstaję od stołu. Jednak nogi się pode mną uginają i opadam ciężko na podłogę. Uderzam o nią biodrem. Zwijam się z bólu. Podnosi mnie, bierze na rękę.

– Jedziemy do szpitala – oznajmia pewnym tonem.

– O nie, tylko nie to... – Próbuję się bronić, ale nie mam jak. Nie panuję nad własnym ciałem.

Nie słucha mnie i wnosi do auta. Tego czystego, pachnącego nowością. Tego ze strzelbą w bagażniku. Chcę wysiąść, ale kręci mi się w głowie. Zamykam oczy, żeby nie widzieć drogi. Jest mi niedobrze i w końcu wymiotuję żółcią na tę wypolerowaną tapicerkę pachnącą cytrynową choinką. Trzymam się deski rozdzielczej, bo tak mną rzuca. Boję się spojrzeć na kierowcę. Pewnie ma ochotę wypchnąć mnie teraz z rozpędzonego samochodu. Sama się zastanawiam nad wyskoczeniem, od kiedy ruszyliśmy.

– Oddychaj! – rozkazuje mi przejęty i otwiera okno. Wychylam głowę i widzę drogę, a przecież tego nie chcę. Jeszcze z tysiąc zakrętów i już Clavary wita mnie swym ohydny znajomym wejściem. Czyściec. Pogotowie.

Mieć więcej czasu. Nie siedzieć w tej poczekalni. Nie wpatrywać się w jej brudną posadzkę. Nie zgadywać linii lamperii na wytartej ścianie. Nie oddychać powietrzem z ołowiu. Nie chcę. Być już tam. Być białą stroną, piórkiem na wietrze bez trajektorii lotu. Upijać się jego muzyką do nieprzytomności – tego chcę.

Ale tu ludzie w białych kitlach próbują mnie zatrzymać na dłużej. Nie zgadzam się. Ważą mnie. Pięćdziesiąt sześć kilogramów. Jeszcze nigdy tyle nie ważyłam. TO mnie wysuszyło i zmieniło. Wreszcie nie muszę się odchudzać. Wszystko na mnie wisi, a moja skóra przypomina rozciągnięty worek. Jest sucha i wiotka niczym papier. Wymuszają na mnie kroplówkę. Magnus czeka na korytarzu. Wychodzimy stamtąd po trzech straconych godzinach i wypisie na żądanie. Mam gorące żyły, w których płynie rozrzedzona krew. Przez cały ten czas zastanawiam się, czy naprawdę nie skorzystać z umiejętności Magnusa i nie poprosić go o zakończenie cierpień. Ułatwić mu sprawę, skoro najwyraźniej i tak mnie chce. W końcu profesjonalista wykona wszystko, jak trzeba, a ja nie będę się męczyć, liczyć dni i godzin agonii. Problem w tym, że gdybym miała być jego „klientką”, wtedy nikt inny nie dowie się prawdy o poprzednich ofiarach. Trudna

decyzja.

A co będzie, jeżeli się mylę? Popadam w paranoję i nie mam racji, jak twierdzi Marnix? On zawsze jest bardzo ostrożny. Potrafi obserwować ludzi. Nigdy nic podejrzanego nie umyka jego uwadze. A Magnus nie wydał mu się podejrzanym. Muszę rozwiać wszelkie wątpliwości, a do tego potrzebny jest mi dowód. Nie pozostaje mi nic innego, jak go sprawdzić. Na kogo poluje mój sąsiad?

– Jak w pracy? – Staram się cokolwiek od niego wyciągnąć.

– Dobrze.

– Gdzie masz teraz budowę?

– Na zamku.

– W Gourdon?

– Tak. – Zerka na mnie zdziwiony, jakbyśmy rozmawiali o tym po raz setny.

– I jak idzie?

– Powoli. Zaraz tam będę jechał. – Spogląda na zegarek.

– Ale zaraz będzie wieczór.

– Pracujemy wieczorem, czasami do nocy, jedynie wtedy da się jakoś wytrzymać te pustynne temperatury. – Wy-ciera spocone czoło. Tak mu tu gorąco, a przecież jest z Teksasu. W samochodzie z mojej winy też jest upał. Klimat wyłączona, jedziemy z otwartymi oknami, żeby przegonić smród moich wymiocin, których na szpitalnym parkingu próbował pozbyć się papierowymi ręcznikami. Bezskutecznie.

To z powodu pracy znika z domu wieczorami. Chyba jednak mam za dużą wyobraźnię. Dlaczego więc intuicja podpowiada mi coś innego? Chyba naprawdę powinnam zacząć się leczyć, tyle że nie na TO, ale na głowę.

– Obiecuj mi, że zjesz kolację. Mam gazpacho, sam robiłem. – Rzeźnik-kucharz rzuca mi błagalne spojrzenie. Czuję się z nim dziwnie i postanawiam skłamać, potulna jak baranek:

– Obiecuję.

– Co powiedział lekarz? – dopytuje po chwili ciszy.

– To, co zawsze. On nigdy nie ma dla mnie nowych wieści.

– Chcesz o tym pogadać? – Zerka na mnie, odrywając wzrok od drogi.

– Nie.

Robi niezadowoloną minę, a ja zwijam się w kłębek na skórzanym siedzeniu. Szykuję się na wizytę w jego piwnicy.

Nie śpię. Znowu.

25

Kiedy warkot silnika toyoty nikt nie wreszcie za zakrętem, stoję przed domem i odczekuję jeszcze moment. Po chwili jestem przed jego drzwiami. Niestety,

zamknął je na klucz. Nie pomyślałam o tym wcześniej. Wychodzi na to, że będę musiała tam wejść, kiedy i on będzie w środku. Wracam do siebie. Tymczasem robi się parno i z zadowoleniem odkrywam, że na noc znów zapowiedziano burzę. Czekam, aż Magnus wróci z pracy. Robię podejście do zimnej zupy, którą mi przyniósł po powrocie ze szpitala. Pachnie ładnie, ale nie udaje mi się jej spróbować. Apetyt opuścił mnie chyba na zawsze.

Amerikanin każe mi warować do północy, kiedy w ogrodzie szeleje wiatr i pioruny. Specjalnie zostawiam zapalone światło, by widział, że nie śpię. Próbuję wymyślić dobrą wymówkę, żeby do niego pójść, kiedy słyszę zbliżający się samochód. To teraz. Idę. Trochę się boję. Albo bardzo. I sama nie wiem czego.

– Przepraszam, że cię nachodzę o tej porze, ale widziałam, jak podjechałeś, i postanowiłam skorzystać z okazji.

– Coś się stało? – pyta zaniepokojony.

– Potrzebuję twojej pomocy. Z tą siekierą. – Staram się nie dukać, choć słyszę, że głos mi drży.

– To znaczy? – Nerwowo ociera twarz z deszczu.

– Możesz do mnie przyjść?

Prowadzę go do salonu i ręką wskazuję skrzynię.

– O to chodzi.

Obserwuje ją z daleka, ale na razie nie podchodzi.

– Chcesz ją porąbać na kawałki?

– Nie – uśmiecham się – tylko otworzyć.

– A klucz?

– Zniknął.

– Jak to zniknął? – Spogląda na mnie badawczo i w końcu zbliża się do skrzyni. Kuca przy niej i zaczyna ją dokładnie oglądać. Dotyka jej boków, wieka, próbuje otworzyć, przewrócić na bok zdziwiony jej ciężarem.

– Nie wiem. Może on go zabrał... – odpowiadam, ale bardziej sobie niż jemu.

– Ten, który złamał ci serce? – pyta po chwili namysłu i mam wrażenie, że jest podenerwowany. Jakie serce?, myślę, ale mówię coś innego:

– Kto?

– Marnix – oznajmia pewnie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Wydaje mi się to oczywiste.

– Nie mówiłam ci, jak ma na imię. – Zaczynam się niepokoić.

– Mówiłaś. Z tysiąc razy, od kiedy się znamy. Dziewięć lat minęło, a ty nie przestałaś o nim myśleć. Skąd miałbym to wszystko wiedzieć, jak nie od ciebie? – Milczę, więc dodaje: – To jak było z tym sercem?

– To ja mu je zламаłam. Mojego już dawno wtedy nie było... Mój brat...

Pamiętasz? Wspominałam ci chyba o nim. – Daję się wciągnąć w wyjaśnienia i od razu tego żałuję. Niczego mu nie opowiadałam. Nie wie tego ode mnie. Przez dłuższą chwilę Magnus przygląda się z bliska metalowemu zamkowi. Chyba mnie nie słucha.

– Zanim się tu pojawił, klucz był, a potem nagle hokus-pokus i go nie ma... Miał powód? – Niby pyta, ale jakby nie oczekiwał odpowiedzi.

– Przyniosę coś do picia. – Unikam wyjaśnień i chowam się w kuchni. Co mam mu powiedzieć? Zastana-wiam się, jak to rozegrać. Chyba obrałam złą taktykę. Skąd wie, kim jest dla mnie Marnix? Widział nas, jak się tulimy w ogrodzie? Ludzie w Gourdon gadają? Wpatruję się w otwartą lodówkę, aż w końcu dociera do mnie, że nie mam już wina ani piwa czy choćby soku. Zostaje tylko woda z lodem.

– Nie będziemy tego rąbać siekierą, mam lepszy pomysł. Jutro otworzymy to drutem – oznajmia, kiedy wreszcie pojawia się z napojami.

– Potrafisz?

– Spróbuję. Możesz poczekać do jutra?

Kto wie, ile czasu mi zostało, ale zapewniam: – Jasne – i podaję mu szklankę zimnej wody. – Masz przy sobie jakieś klucze? – pytam później, niby od niechcienia.

– Po co?

– Może któryś pasuje?

– Niemożliwe. Zmieniłem w domu zamki, poza tym to bardzo stary mechanizm. Żaden nowy klucz tego nie otworzy.

– Mam szczęście do takich rzeczy. – Kłamię i wyciągam do niego otwartą dłoń. Nawet nie drgnie. Patrzy na mnie z ironią, po czym widząc, że nalegam, w końcu wyciąga pęk kluczy z kieszeni jeansów. Niezadowolony. Podenerwowany.

– Powodzenia!

Rzuca nimi, ciska w moją stronę, ale udaje mi się je złapać w locie. Trzy różnej wielkości klucze zebrane na breloczku ze zdjęciem małej dziewczynki. Zanim którykolwiek wypróbuję, przyglądam się fotografii z bliska, po czym spoglądam na ich właściciela i bezczelnie inwigiluję:

– Kto to?

– Gerda.

– Gerda?

– Moja córka. – Urywa i pije, jakby umierał z pragnienia. Znam te techniki uniku. Jestem ich mistrzynią. Stary, mnie nie nabierzesz. Bezlitośnie walę z grubej rury:

– To ta mała roześmiana blondyneczka ze zdjęcia na lodówce?

– To ona.

– To dlaczego nie ma jej tu z tobą?

- Bo pewnie spaceruje teraz z twoim bratem. Tam u góry.
- Rozumiem.
- Może i rozumiesz...
- Była chora? – Próbuję złapać jego spojrzenie, ale on lustruje podłogę.
- Nie. Była na drodze złego kierowcy.
- A jej matka?
- Dalej mieszka w domu przy tej drodze. Ja już nie mogłem.
- Przykro mi.

Bum. No i wszystko jasne. Zamykam się. Nie wiem, co powiedzieć. Przystaję za nim wodząc wzrokiem i skupiam się w końcu na lodzie pływającym w szklance. W trzy sekundy w pokoju robi się zimno. I to wcale nie za sprawą burzy szalejącej na dworze. Magnus oddycha szybciej, niż ma to w zwyczaju. Mam dreszcze i jak nic się nie zmieni, to zaraz zacznę dzwonić zębami. Dłonie już mi drżą i nie potrafię tego ani wyjaśnić, ani opanować. Chcę herbaty z cytryną i miodem, takiej, jaką tato robił mi w dzieciństwie.

- Herbaty? – pytam.
- Chętnie – odpowiada i tak jak ja cieszy się, że zmieniamy temat.

Magnus jest inteligentny. Domyślił się wszystkiego: kim jest Marnix, który spędził tu trzy dni, i w jakim celu go ściągnęłam. Chyba nie doceniłam jego umiejętności kojarzenia faktów. Za mało się znamy. Szkoda, że już nie ma czasu, żeby poznać się lepiej. Kiedy gotuję wodę, pyta, czy może rozpałić ogień w kominku, w którym od lat nikt nie palił. Pozwalam, a potem pijemy herbatę w ciepłe płonącego drewna.

- Zrób mi kawę – proszę go, zasypiając nad ranem na kanapie w nagrzanym salonie. To była nawet przyjemna noc. Spokojna, z cichymi rozmowami o niczym.
- Teraz? – Zadaje pytanie zdziwiony.
- Tak, teraz. Proszę.
- To chyba nie jest dobry pomysł. Teraz powinnaś spać. Zrobię jutro rano.
- Nie, jutro będzie za późno – bełkoczę, starając się nie rozbudzić. Tak bardzo chciałabym zasnąć.

- Na co?
- Nie zasnę bez kawy przy łóżku – wyjaśniam z grymasem, bo zaczyna mnie denerwować, że muszę mu to tłumaczyć.
- Słucham?
- Muszę mieć filiżankę kawy obok, kiedy rano się budzę. Inaczej w ogóle nie wstanę. – Otwieram i wy-trzeszczam na niego oczy. Dziękuję! Odechciało mi się spać.

- Ale przecież jutro rano będzie zimna!
- Nie możemy się dogadać, a przecież cały czas mówię w jego języku.
- To nic. Zawsze pierwszą piję zimną.



Budzę się przed południem. Na szczęście na szafce nocnej czeka na mnie zamówiona kawa. Jest mocniejsza niż zwykle. Przyjemnie orzeźwia. Piję, ale nie wstaję. Prawie cały dzień spędzam w łóżku, nie mam siły nic robić. Jest za gorąco. Na dworze ponad czterdziestostopniowe piekło i trudno uwierzyć, że wczoraj padało. Mogę tylko rozmyślać i wspominać. Mam mało czasu, mam dużo czasu. Ilość czy jakość? Marnix jak co dzień zagnieżdża się w mojej głowie. Brakuje mi go, bardzo. Dałam mu tyle, a on zniknął. Mówią, że czas zabił rany. Nie w moim świecie. Po tylu latach wciąż umieram z tęsknoty na myśl o nim. Wciąż go kocham, tak jak na początku. Jak od naszych siódmych urodzin. Marnix wie o mnie wszystko. Pewnie wie nawet o schowanym w kieszeni spódnicy zgniecionym kawałku papieru. Czuję, że wie. Dlatego nigdy nie mówiłam, nie pytałam, bo nie muszę i on też nie. Nie ma więc sensu chcieć kogoś innego. Szukać miłości gdzie indziej. Nie ma niczego lepszego. Byliśmy szczęściem absolutnym. Dlaczego wszystko się skończyło?

Przed wyjazdem na lotnisko dałam mu mój numer telefonu zapisany na kartce papieru. Podziękował. Wziął ją do ręki, po czym wyrzucił, kiedy odwróciłam głowę. Znalazłam go potem w koszu na śmieci. Wie, jak się czuję, co jest grane i że będę za nim tęsknić do samego końca, ale stwierdził, że nie zadzwoni. Wie, że koniec już bliżej niż dalej. Wszystko wie. Ale nie podniesie kurewskiego telefonu i nie wykręci numeru. Nie będzie słuchał, jak umieram. Przykro mi z tego powodu. Z drugiej strony taką mieliśmy przecież umowę: trzy dni i koniec. Ale kiedyś przecież obiecał, że będzie mnie pilnował. Miał wodzić za mną oczami! Masować stare stopy. To gdzie jest teraz, do cholery, jak go potrzebuję?

Mam za to jego głos. Na płytach CD. Mam go też na dwóch filmikach, które Jan zarejestrował swoją kamerą w barze podczas jego pierwszego koncertu w Nicei. Potem przegrał mi je na płytę DVD. Nie odtwarzałam jej od lat. I na razie nie mam zamiaru. Nie jestem gotowa. YouTube'a też wolę nie sprawdzać.

Na starym mieście, dwie przecznice od placu Pałacu Sprawiedliwości, był bar Le Tapas la Movida, którego toalety swego czasu wygrały internetowy plebiscyt na najbrudniejsze we Francji. Smród, kiła i mogiła. Bywaliśmy w nim na początku studiów, bo właśnie tam odbył się pierwszy koncert Marnixa, podczas którego, dla śmiechu, pomalowaliśmy sobie powieki brokatem. Dwie sale: jedna z barem, druga ze sceną tak wąską, że goście stali dwadzieścia centymetrów od zespołu. Psuła się klimatyzacja. Latem bywało tam pięćdziesiąt stopni i więcej dymu papierosowego niż powietrza. Pamiętam shoty z wódki lub tequili za dziesięć franków, sprzedawane na metry. Drink Magiczna Mikstura będący mieszanką kilku najmocniejszych alkoholi z dodatkiem syropu owocowego, którym wszyscy wymiotowali na schodach Pałacu Sprawiedliwości o dwudziestej drugiej pięć.

Dokładnie pięć minut po zakończeniu *happy hour* trwającej najdłużej w mieście, po której młodzież opuszczała lokal, robiąc miejsce starszym i bardziej doświadczonym bywalcom. Potem szło się na Promenade des Anglais, żeby ostatecznie zasnąć na plaży.

Marnix grał tam kilka razy, aż wypatrzył go łowca talentów z Londynu. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Od tamtej chwili był jak wystrzelony z pistoletu pocisk. Znał swój kierunek i nic ani nikt nie było w stanie go zatrzymać. Wzbijał się z szybkością światła. Kariera i muzyka. To było najważniejsze. W Le Tapas bywaliśmy już rzadziej i bez brokatu. Ale za te metry shotów teraz oddałabym wszystko. Albo i więcej.

Brakuje mi nawet tego, że już go nie śledzę jak szpieg, że nic nie wiem o jego teraźniejszości, nowym życiu. Nie wiem, co się stało z jego karierą. Może siedzi, nic nie robi i żyje z tantiemów? Nie zapytałam, nie odważyłam się, a on sam nie mówił. Tak chyba jest lepiej. Nam też się nie udało. Czy mam sobie wmawiać, że tak miało być? Że tak ktoś to wymyślił? Mam akceptować? Nie potrafię. Nie chcę. Nie umiem. Surowy los porozstawiał odświętne talerze z porcelany. Każdemu przydzielił jeden. Ciągłe coś na niego nakłada, ale nie wszystkim to samo. To znowu coś zabiera, niespodziewanie odejmuje od ust. Jak ktoś ma dużo złych rzeczy, to mu czasem dorzuci coś dobrego. A za miłość płaci się najwięcej. Czasami podwójnie, aż do gołego dna. Potrafi obedrzeć ze skóry. Z mojego talerza kiedyś się wylewało, a teraz jest na nim pusto.

W nocy znowu jest ciepło. Temperatura spadła zaledwie o kilka stopni, a o świeżości, jaką na moment przyniósł wczorajszy deszcz, wszyscy już zdążyli zapomnieć. Budzi mnie nieznaną dźwięk. Jednak dosyć szybko go rozpoznaję. Słyszę, jak ostrze łopaty wbija się opornie w piaszczystą ziemię i wynurza się z niej gładko. Miarowo, jak na komendę, napędzane przez sprawne, wyćwiczone ramiona. Nasłuchuję, bo dziś noc jest wyjątkowo głucha, jakby stłumiona. Ptactwo śpi, owady też ucichły. Cała okolica przysłuchuje się temu dźwiękowi. Cały las słucha. Podnoszę się w końcu i wyglądam przez otwarte okno. O czwartej nad ranem Magnus przekopuje ogród.

26

Decydować, zmieniać zdanie, robić. Znajdować rozwiązania, wychodzić z trudnych sytuacji, umieć pocieszać tych, co w potrzebie, byłoby dobre. Ale ja już niczego nie robię i o niczym nie decyduję. Jestem – i to bycie bardzo dużo mnie kosztuje. Dlatego rozważam jego zakończenie. Mam dosyć tego bezsensownego trwania. Chcę umrzeć. I mam nadzieję, że Magnus mi w tym pomoże.

To jest moja szansa. Wygląda na to, że jeszcze chwilę będzie zajęty w tym

ogrodzie. Najlepszy moment, żeby sprawdzić, co ukrywa w piwnicy. Narzucam na siebie ostatnią czystą koszulę i bosy ruszam po cichu w kierunku jego domu. Na wszelki wypadek biorę ze sobą telefon komórkowy.

Nie muszę walczyć z zamkiem, drzwi są -otwarte, a przedpokój oświetla mała lampka. Jakby na mnie czekał. Schody prowadzące do piwnicy toną w szarościach. Gorącymi stopami wyczuwam ich zimny kamień. Schodzę coraz głębiej, bezszelestnie, na bezdechu. Popycham ciężkie drzwi i wsuwam się do wąskiego korytarza, w którym już kiedyś byłam. Gdzie twarde -ramiona Marnixa objęły mnie i przywarłam do wilgotnej ściany na kilka ostrych posunięć biodrami. Trochę dalej leżakowały wina i szampany. Pamiętam nasze pierwsze wspólne picie szampana. Takiego wyjątkowego, bardzo wytrawnego, z czarną etykietą, którego jego ojciec przechowywał kilka butelek na specjalne okazje. Wydanie pierwszej płyty było jedną z nich. Wciąż pamiętam jego kolor i bąbelki, jakbym miała ten zadziwiający smak -ciągle na języku i nawet wiem, co wtedy powiedział:

– Każdy kieliszek szampana powinno pić się tak, jakby był to twój ostatni w życiu napój: w skupieniu, z wdzięcznością i szacunkiem.

Nie tak go piłam.

Wygląda na to, że nic się tu nie zmieniło. Jest chłodno i wilgotno. Niski sufit. Robi się coraz ciemniej, aż dochodzę do drugich drzwi, które staram się otworzyć. Te są nowe, stalowe i ciężkie. Muszę użyć siły, żeby je uchylić. Z pomieszczenia wylania się jaskrawe światło. Oślepia mnie przez chwilę, aż w końcu przyzwyczajam się i wchodzę do środka. Sala jest całkiem nowa, a wystrój ma szpitalny. Ani śladu po drewnianych półkach z winami. Jest za to wylana podłoga, zabezpieczone ściany i nawet minitoaleta z ubikacją i umywalką. Jak w przyszpitalnym hotelu. Na środku wielki, metalowy stół, a nad nim jarzeniowe lampy. Obok coś w rodzaju stalowej małej wanny. To jest sala operacyjna. To nie -hotel. Czyjeś kroki dudnią na schodach. Chowam się.

Nigdy nie lubiłam całkowitej ciemności. Zawsze mnie przerażała. Od śmierci Roberta kojarzy mi się z zamkniętą gwoździami trumną. Niestety, wychodząc, Magnus zgasił światło. Trudno. Ale mam przecież telefon. Najważniejsze, że udało mi się schować za otwartymi drzwiami jednej z metalowych szaf, obok czegoś, co przypomina amerykańskie lodówki. Nie widział mnie i zostawił tu samą. Skulona w kłębek przy ścianie nasłuchuję, czy nie wraca, i próbuję przypomnieć sobie, co mój wzrok zdążył zarejestrować. Widziałam metalowe puste pojemniki, narzędzia ogrodowe i rzeźnicze. Noże, tasaki, pilniki i piłki. Na podłodze stały chyba kanistry i pojemniki z chemikaliami. Ogromny stół był pusty. Cassy tu nie ma.

Komórka oświetli mi drogę. Muszę sprawdzić, co jest w tych plastikowych kontenerach, a potem się stąd wydostać. A przynajmniej spróbować, choć szanse mam małe. Wyraźnie słyszałam pracę zamka, kiedy Magnus zgasił światło i

zatrzasnął drzwi. Naciskam na aparat i słabe światelko rozjaśnia wszechobecną czerń. Niemal jednocześnie mój telefon zawiadamia o krytycznym stanie baterii. Zapomniałam go naładować. Mam mniej czasu, niż myślałam. Lokalizuję butle z nieznanymi cieczami i zbliżam się do nich po cichu. Komórka gaśnie. Po omacku próbuję namierzyć papierową etykietę, zanim znów włączę aparat i skorzystam z jego światła, żeby przeczytać skład na opakowaniu. Liczę do trzech i zaczynam. Chromianka. Wodorotlenek potasu. Mój Boże! I co z tego, że czytam. Nie mam pojęcia, co to jest i do czego służy. Nigdy nie byłam dobra z chemii. Nawet tego nie zapamiętam, a nie mam gdzie zapisać. Jakby był tu Robert, toby wiedział. Ale go nie ma. To bez sensu. Lepiej zachować baterię telefonu na później. Po omacku dochodzę do drzwi. Zamknięte, nawet nie drgną, kiedy staram się na nie napierać. Zmęczona, siadam na ziemi i zastanawiam się, co dalej robić. I myślę, jakie to niesamowite, że wyobrażam sobie perspektywę na jakiegokolwiek dalej.

Nie wiem, ile czasu spędzam w piwnicy, ale chyba dużo. Robi mi się zimno i zaczynam odczuwać głód. Z drugiej strony, to może być zaledwie kilka godzin, a jestem głodna, bo nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam. Nie widziałam tu niczego do jedzenia. A teraz w tej ciemności nie ma szans, żebym cokolwiek znalazła. Kiedyś rodzice Marnixa trzymali tu skrzynki z owocami z ogrodu. Marzy mi się jabłko albo choć morela. Za pomidora z szuflady Malwiny dałabym wiele. Magnus nie wraca i zastanawiam się, czy to dobrze, czy źle. Jak stąd wyjdę? Co mu powiem? Telefon pika. Każe się podłączyć do ładowarki. Nie mam. Ostatnia szansa, żeby go użyć. Wiem, że to ryzykowne, ale chyba powinnam do kogoś zadzwonić. Myślałam, że ostatni telefon w życiu wykonam do Janka, tymczasem dzwonię na policję. Wybieram siedemnaście. Nie da się. Nie ma zasięgu, a przy drugiej próbie telefon się poddaje. Ja, wbrew wszystkiemu, trwam nadal. Chciałam, żeby Magnus skrócił moje cierpienia? No to mam nauczkę: nieludzko przedłużoną, do samego końca, czystą paranoję.

Zapominam czasami. Miewam nawet całkowite zaćmienia słońca. Myślę, zastanawiam się, czekam. Wyobrażam sobie wszystkie scenariusze. Te najgorsze też, czyli że umieram tu nie na TO, a z głodu, na koniec do pary z jakąś inną jego ofiarą. Być może nawet dzieckiem, które będę musiała uspokajać i pocieszać. Tego ostatniego nie dam rady zrobić. To mnie stresuje najbardziej. W końcu odczuwam senność i zmęczenie, ale ze strachu nie udaje mi się zasnąć. Próbuję przemieszczać się i rękoma odkrywam wiele nowych, ostrych przedmiotów. Niektóre potrafię zidentyfikować, inne nie. Czas mija.

Zawiodłam Roberta. Pozwoliłam mu odejść, a teraz żałuję, a teraz umieram. Sama, tak jak on był wtedy sam. A może ze śmiercią staje się wyłącznie oko w oko. Bez świadków? Samemu?

W sumie jest tu chłodno, cicho i przyjemnie. Prawdo-podobnie powinnam to potraktować jak jakiś rodzaj ćwiczeń przed drewnianą skrzynką dwa metry pod ziemią. Najgorsza jest ta ciemność. Wydawało mi się, że wzrok się do niej przyzwyczaił, jednak nie widzę naprawdę niczego. Żadnych cieni ani konturów. Nie ma tu okien, więc dzień nie różni się od nocy. Bo domyślałam się, że już świta. Żebym chociaż mogła znaleźć tę toaletę i zrobić do niej siku. Staram się przypomnieć sobie, gdzie jest, ale zdążyłam się w tym wszystkim pogubić, przemieścić kilka razy. Idę po omacku, nie mogę wytrzymać. Dotykam ściany, staram się obejść półki. Na jednej z nich wyczuwam coś włochatego i niechcący, z przerażeniem, zwałam to na podłogę. Spada i uderza głucho o posadzkę, toczy się dalej jak kanciasta piłka. A ja nie mogę się oprzeć myśli, że to czyjaś głowa, więc drę się wniebogłosy. Nie mogę przestać. Już mi wszystko jedno, już mam dosyć. Ciepły mocz spływa mi po nogach. Chcę stąd wyjść. Ale nikt mnie nie słyszy. Nikt nie przychodzi. Ani na ratunek, ani żeby mnie dobić. W końcu się uspokajam, bo gardło mam zdarte, i udaje mi się dojść do łazienki. Na toaletę już niestety za późno, ale za to w kranie jest woda. Piję. Lodowata, nigdy nie smakowała tak wybornie.

W ciemności siedzę skulona na ziemi i tęsknię za Marnixem. Bardziej niż powinnam. Wspominam tę ostatnią chwilę, kiedy się widzieliśmy, kiedy odwiozłam go na lotnisko. Przez caluteńką drogę nie zamieniliśmy ani słowa. Głębsza cisza to już chyba tylko ta grobowa. Byłam na niego wściekła, że mnie zostawia, że nie wziął nawet numeru telefonu. Zapomniałam o naszej umowie, o tym, co obiecałam w negocjacyjnym e-mailu jemu i sobie. Chciałam, żeby został, choć wiedziałam, że to niemożliwe. Żeby mnie kochał. Na zawsze i bez względu na wszystko, tak jak ja jego. Wszystko na nic. Podjechałam więc pod drzwi terminalu i, bez wyłączania silnika, kazałam mu iść. Nie zęgnąłam się. Nie wysiadłam. Nawet na niego nie spojrzałam. Porzuciłam na chodniku jak psa i odjechałam. Nie patrzyłam za nim i nie machałam. Ja samolubna. Ja zła. Ja niewdzięczna i głupia. Ja pozostawiona przez niego na nieuchronną zagładę. Ja sama. Teraz dużo bym dała, żeby mnie trzymał za rękę, żebym chociaż mogła słyszeć jego kroki, jak się oddalał. Te kroki. Tylko tyle. Ale zagłuszył je warkot silnika samochodu. Jest zatem cisza. Leżę na zimnej podłodze, ale wyobrażam sobie, że to nasz materac z akademika. I że wymieniam z nim oddechy. Raz on, raz ja. I mam wrażenie, że leżę z nim tu już od tygodnia. Jestem głodna, wykończona i przerażona umieraniem w samotności. Zaczyna mnie to doprowadzać do szału, jestem kłębkiem nerwów. Przewidziałam wszystko, ale nie to, że będę zdychać w czarnej piwnicy jego domu.

Nagle budzę się na zimnej posadzce toalety. Skóra mnie swędzi, gardło pali. Przełykam wilgotne powietrze. Ciągłe żyję zatem. Nie wiem, ile czasu tu siedzę, musiałam zasnąć albo zemdleć, ale teraz mocne światło zmusiło mnie do otwarcia powiek. Magnus wrócił. Wchodzi na chwilę do pomieszczenia, bierze coś i wychodzi. Nie widzi mnie. Jarzeniówkę zostawia włączoną. Staram się unieść, ale nie mogę. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, światło oślepia. Zbieram wszystkie siły, skupiam się i podnoszę wreszcie. Kulejąc, posuwam się w kierunku schodów i kątem oka widzę na ziemi wypchanego puchacza. To ta wyimaginowana przeze mnie głowa. Odruch wymiotny na widok ptaka przypomina mi, że powinnam uciekać. Na schodach nadsluchuję, czy nikogo nie ma, i uruchamiam tryb atlety. Krok po kroku. Stopień po stopniu, byleby ku górze. Ostatkiem sił wspinam się noga za nogą, aż robi mi się słabo. W końcu padam na kolana i z bólem czołgam się na samą górę. W przedpokoju zupełnie opadam z sił i zsuwam się na wypolerowany parkiet. Zapach pasty do podłóg drażni mi nozdrza. Nie dojdę. Nie dam rady. Robi mi się ciemno przed oczami. To już chyba wreszcie mój długo wyczekiwany koniec.

Magnus mnie cuci.

– Patrycja! Co się dzieje? Źle się czujesz?

– Nie mam siły. Jestem chora. – Wymyślam na poczekaniu, choć nie mijam się przecież z prawdą. Kuca przy mnie i dotyka dużą ręką mego czoła. Na jego twarzy widzę przerażenie.

– Gdzie byłaś? Od dwóch dni cię szukałem!

Dwa dni! Dwa dni w jego ciemnej piwnicy, a jak dwa tygodnie, myślę, ale odpowiadam:

– W domu. Chowałam się przed upałem... Błagam, zabierz mnie do szpitala.

Nic nie mówi. Bierze mnie na ręce i z jego ruchów wyczytuję, że stara się być delikatny i czuły. Niesie mnie do samochodu. Ma ciepłe ramiona i przez moment jest mi w nich dobrze, prawie bezpiecznie. Czuję się lekka jak piórko. Widocznie taki jest finał: dobry i pełen ulgi. Ale zanim usadowi mnie w aucie, zanim rzuci mi niespokojne spojrzenie i odpali silnik, spoglądam na jego ogród. Wszystko wygląda normalnie. A w miejscu, w którym wtedy kopał pod płotem, ziemia jest wyrównana.

Szpital Clavary po raz pierwszy wydaje mi się zbawieniem. Przyjmują mnie i od razu zabierają na salę. Kiedy tracę Magnusa z oczu, ściskam za rękę jedną z pielęgniarek:

– Macie tu telefon? Muszę zadzwonić.

– Potem, kochana, potem.

Mija jeszcze trochę czasu, zanim podłączona do aparatury, z igłą w żyłę leżę wreszcie w zaciszu mojego szpitalnego pokoju. Jest ciepło, jest duszno, ale dobrze.

Chcę dzwonić na policję, jednak od razu zasypiam. Kiedy się budzę, jest wieczór, a Magnus siedzi przy łóżku i patrzy na mnie. Wygląda na załamane.

– Jak się czujesz? – pyta cicho i bierze moją dłoń w swoje ręce. Wsuwam ją wystraszona. Spuszcza oczy, ale tylko na moment.

– Lepiej. Długo tu siedzisz?

Staram się trochę unieść, ale wszystko mnie boli. Opadam więc jak kukła, bez życia. Gdyby mnie zaatakował, to nawet nie miałabym siły się bronić, a nikogo innego nie ma w zasięgu wzroku. I sama już nie wiem, czy chcę żyć, czy umierać.

– Nie, dopiero co przyjechałem.

– Nie musisz... – Zaczynam, ale mi przerywa:

– Wiem, że nie musisz. Chcę. – Akcentuje ostatnie słowo. Wbijam w niego wzrok. Kim jest ten mężczyzna i czego tak naprawdę ode mnie oczekuje?

– Chcesz się zagłodzić na śmierć? Masz anoreksję czy raka? I choć raz nie opowiadaj bzdur. Nie zasługuję na to.

– Masz mój telefon? – Zmieniam kurs, aby uniknąć odpowiedzi. Jestem zła. Doprowadza mnie do szału. Chcę, żeby sobie poszedł. Przeraza mnie i denerwuje.

– Wyjaśnisz mi czy nie? – Nalega stanowczo, nie odpowiadając na moje pytanie.

– Niczego nie muszę ci wyjaśniać.

Przewraca oczami, wstaje ciężko i zawiedziony patrzy na mnie jeszcze przez chwilę. W końcu rusza w kierunku drzwi. Mój przyspieszony puls zaczyna się uspokajać. Kiedy już stoi przy wyjściu, odwraca się i mówi:

– Mylisz się co do mnie. Bardzo się mylisz.

Nie odpowiadam, patrzę w kierunku okna, nie na niego. Zamyka cicho drzwi z drugiej strony. Oddycham. Z trudem podnoszę się na łóżku i sięgam po szpitalny telefon. Wykręcam numer. Czekam.

– Komenda policji. Słucham.

– Dzień dobry. Nazywam się Patrycja Gryciuk i chciałabym coś zgłosić. Chodzi o zaginięcie małej Cassy z Cipières.

– Proszę mówić.

27

Nie palę, bo papierosy śmierdzą. Nie palę, bo Marnix nie chciał, żebym paliła. Nie palę, bo nauczyciel nie powinien przecież palić. Bo mam TO, poza tym w szpitalu nie wolno. Nie palę. Nie palę. Ale tak bardzo mi się chce.

Po dwóch dniach wreszcie mnie wypisują. Mogę wrócić do domu, ale nie mam jak. Nie mam samochodu, nie mam telefonu ani pieniędzy. Nie mam też siły, żeby iść na piechotę. Trzydzieści trzy kilometry pieszo? Niewykonalne. Nie jestem pewna, czy dałabym radę przejść chociaż jeden. Przyjechałam tu w koszuli nocnej,

bez dokumentów, bez niczego i tak teraz stoję przed szpitalną recepcją. Boso. Pielęgniarka pyta, czy przyjedzie po mnie ten duży mężczyzna, który u mnie był. Nie, odpowiadam, i zatapiam wzrok w pierwszej stronie Nice-Matin, która leży na krześle.

– Znaleźli tę małą?

– Ciągłe nie, ale piszą, że kogoś zatrzymali w tej sprawie. Nie podają kogo, bo nie ma jeszcze oficjalnych zarzutów. Co za historia... Chce pani do kogoś zatelefonować albo zamówić taksówkę? – Zadaje pytanie, ręką wskazując szpitalny aparat. Kiwam przecząco głową. Nie wie, że nie mam do kogo dzwonić, bo jedyne ewentualnego kandydata na szofera wydałam przedwczoraj lokalnej policji. Sterczę tam jeszcze przez parę minut z miną męczennicy, aż w końcu kobieta lituje się nade mną:

– Gdzie pani mieszka?

– Przy wjeździe do Gourdon.

– Mogę panią podrzucić. Wracam do Gréolières, ale dopiero wieczorem, po pracy.

– Poczekam w takim razie. I tak mi się nie spieszy. Dziękuję.

Uśmiecha się. Jest naprawdę miła, a ja nie mam wyjścia. Mam za to cztery godziny do zabicia, zanim ona skończy dyżur.

Wychodzę przed szpital, na parking. Gorąco daje mi mocno w twarz. Stoję chwilę przed wejściem i obserwuję widok. Dużo się tu nie zmieniło. Trochę zieleni, sporo samochodów i niebieskie niebo. Słońce piecze i nie chce przestać, zaraz roztopi wszechobecny czarny beton. Zero wiatru, mało powietrza. Strażnik proponuje mi papierosa. Biorę, odpalam, kiedy zbliża rękę z zapalniczką. Zaciągam się powoli, delektuję i jak zwykle muszę usiąść na krawężniku, bo kręci mi się w głowie. Dym wiruje mi między półkulami mózgu. Jest dobrze. Tak właśnie musi wyglądać raj, panie i panowie!

Do domu wracam dobrze znaną drogą. Z pielęgniarką rozmawiamy o upale. Martwię się, jak wejdę do siebie. Nie mam kluczy. Wychodząc do Magnusa nocą, zostawiłam chyba drzwi otwarte. Chyba... Każę się wysadzić na uboczu, nie chcę, żeby podjeżdżała pod nasze domy. Spogląda na mnie z zaciekawieniem, kiedy wskazuję ręką, gdzie ma się zatrzymać. Jest zdziwiona i próbuje o coś zapytać, ale nie pozwalam na to. Szybko wysiadam z auta i dziękuję za pomoc. Odjeżdża powoli, spoglądając na mnie w lusterku swojego starego samochodu. W wymiętolonej koszuli nocnej idę naszą drogą, na której błoto z ostatnich opadów zdążyło się już zeschnąć na pustynny pył i piasek. Za zakrętem widzę na podwórku dwa policyjne wozy i znaną mi zarzyganą toyotę, której nienawidzę.

Ogród Magnusa jest rozkopany. Cały: wszerz i wzdłuż. Ogrodzony policyjną taśmą. Drzwi jego domu są otwarte na oścież. Staram się przejść niezauważona, skradam się do siebie i cieszę, że mogę się wreszcie schować. Klucz niepotrzebny,



mój dom stoi otworem. Nikt nie wita mnie radośnie, a dzik ma spojrzenie wbite w to samo, co zawsze, miejsce na schodach. Pięć minut później leżę w wannie. Odmaczam się w jej głębokich wodach razem z odpadającymi kawałkami rdzy. Boję się wyjść, nawet spojrzeć przez okno. Boję się tej prawdy, którą znam i której nie chcę. Żeby tak już była noc, żeby wszyscy poszli sobie do domu. Muszę się czymś zająć, aby czas mi szybciej minął. Zebrać się w sobie i nie siedzieć tak, czekając na śmierć, bo zwariuję. Nie wytrzymam tego dłużej. Żebym chociaż znała datę upływu terminu -mojej ważności, byłoby łatwiej, ale nie znam. Muszę coś wreszcie zrobić. Muszę skończyć pisać tę książkę, zanim głowa odmówi mi posłuszeństwa. Zanim się tu ugotuję z gorąca i zeżrą mnie wyrzuty sumienia. Czas wszystko zakończyć i stawić czoła przeszłości. Niestety, ktoś puka do drzwi. Policja. Muszę otworzyć.

Yannik najpierw wzdycha na mój widok, a dopiero potem się wita. Muszę przypominać śmierć we własnej osobie.

– Jak się czujesz? – Na wstępie zadaje standardowe, zniechęcone przeze mnie pytanie.

– Dobrze, dziękuję. – Kłamię odruchowo.

– Mogę wejść? – Jest w środku, zanim skończy pytać.

Wchodzimy do kuchni. Nie proponuję mu niczego do picia, bo nic nie mam. Sam nalewa sobie wody z kranu. Proszę go o papierosa, ale właśnie mu się skończyły.

– Dziękuję, że do nas zadzwoniłaś.

– To chyba normalne. Jestem przekonana, że to on... Znaleźliście ją? – Przechodzę od razu do sedna sprawy.

– Nie.

– Ale to on?

– Nie wiem. Śledztwo jest w toku. Ale tak między nami, to on mi się wydaje niewinny.

Opadam ciężko na siedzenie. Zapada cisza, podczas której chcę, żeby mówił mi, co wie, ale on zamiast tego rozgląda się po całym pomieszczeniu. Siada w końcu na kuchennym krześle, bierze do ręki szklankę i zaczyna:

– Wiesz, że Heilbron jest taksydermistą?

– Nie wiem nawet, co to znaczy.

– Wypycha skóry zwierząt.

– Skąd to wiecie?

Puchacz, myślę. Myśliwy nocą!

– Znaleźliśmy u niego trzy eksponaty. Piwnicę przerobił na warsztat. Tych chemikaliów, o których mówiłaś przez telefon, używa się między innymi właśnie przy preparacji zwierząt. Jest profesjonalistą. Robi to całe życie. Zeznał, że to pasja po ojcu. – Kiwa po mądralińsku głową i wypija duszkiem wodę. Stół, narzędzia,

lodówka, umywalka, chemikalia – wszystko do wypychania zwierząt. Jest niewinny. Jak mogłam pomyśleć inaczej?! Skompromitowałam się.

– A to nocne kopanie w ogrodzie? – Próbuję ratować twarz.

– Zakopywał to, co zostało z jelenia, którego upolował parę dni wcześniej – robi pauzę i bierze głęboki oddech – i czego nie zdołał lub nie chciał zjeść. Przeszukaliśmy cały teren. Nic tam nie ma. W domu też nie.

– Strzelba jest pewnie myśliwska? – dodaję zawiedzionym tonem.

– Tak. Legalna, ale nie ma na nią pozwolenia. Pożyczył od znajomego. Niby, że złożył już wniosek dla siebie, ale czeka na dokumenty o niekaralności. Zanim przyjdą ze Stanów, trochę to potrwa, więc mieliśmy pretekst, żeby potrzymać go parę godzin i przepytąć jeszcze raz. Analizujemy ślady krwi znalezione na folii, którą woził w torbie w bagażniku, ale pewnie wyjdzie, że to zwierzęca.

– A co z żoną? Wiecie, że jego córka nie żyje?

– Tak zeznał, ale sprawdzenie tego też zabierze sporo czasu.

Znow zapada cisza, podczas której wpatruję się w Yannika, a on wbija wzrok w kuchenny stół. Boję się mówić o zgubionych w lesie majtkach, choć może powinnam. Nagle podnosi na mnie oczy i pyta, a jego palce nerwowo uderzają w blat:

– Nie masz nic przeciwko, gdybym się tu trochę rozejrzał? – Wstaje.

– Nie – mówię prawie szeptem i potwierdzam dodatkowo ruchem głowy.

Przechodzi do przedpokoju, zagląda tu i tam, niczego nie dotykając. Patrzy na wypchaną głowę dzika. Potem idzie do salonu. Woła mnie.

– Co jest w tej skrzyni? – Spogląda na mnie wrogo.

Gdybym to wiedziała...

– Nie wiem – odpowiadam szczerze i widząc jego zdziwioną minę, dodaję od razu: – Rodzinne pamiątki.

– Mogę?

Kuca i chwytą za wieko, zanim zdążę cokolwiek odpowiedzieć. Otwiera kufer bez najmniejszego problemu. Krzywi się i zaledwie po kilku sekundach wiem dlaczego. Dochodzi do mnie zapach. Skrzynia strasznie śmierdzi.

– Jak to zrobiłeś?! – Wybałuszam oczy i doskakuję do niego. Siekiera Magnusa, która leżała obok, zniknęła.

– Normalnie – mówi zdumiony moim nagłym ożywieniem. – A co?

– Była zamknięta. Próbowaliśmy ją otworzyć...

– My? Jacy my? – dopytuje się.

– Magnus i ja.

– Magnus tego dotykał?

– Tak.

– W jakim celu?

– No przecież mówię! Zgubiłam klucz. Oglądał z bliska i obiecał, że

spróbuj na drugi dzień drutem.

– Na drugi dzień?

– Wtedy była już noc i był zmęczony.

Cisza.

– Czy was coś łączy? – Patrzy mi prosto w oczy.

– Czy to jest przesłuchanie?

– Przepraszam. – Spuszcza wzrok. Gotuje się we mnie. Wszyscy myślą tak samo.

– Skrzynia była zamknięta, a teraz podchodzisz i otwierasz ją bez problemu.

Nie rozumiem. – Wzdycham.

– Ktoś ją otworzył podczas twojej nieobecności.

Nie odpowiadam. Myślę. Kto inny mógłby to zrobić, jak nie on? Drutem.

Sama go o to poprosiłam przecież!

– Magnus ma klucze do twojego domu?

Mam już tego dosyć.

– Nie. Na litość boską, zawsze zostawiam otwarte!

Widzi, że jestem spięta. Przystaje mówić i zagląda do środka.

– Mogę?

– Proszę.

Chce mi się wymiotować, więc wstrzymuję oddech. Wnętrze kufra jest duże, głębokie i prawie puste. Dobiega z niego okropny zapach. Szpitalny obiad powoli mi się cofa. Na dnie papiery, a w plastikowym worku – skórzany pasek. Zatykam usta rękoma. Najszczerzej, jak mogę. Obiad musi zostać. Yannik zakłada rękawiczki z lateksu i z grymasem zniesmaczenia wyciąga kopertę. Obraca ją w dłoniach. Znam ją doskonale. Bardzo dobrze ją pamiętam, bo nie tak dawno stałam się jej właścicielką. Sporo mi namieszała w życiu. I dziwi mnie to, że tu jest i że trochę pożółkła. Jej biel zawsze siliła się na niewinność, ale ja wiem, że tak naprawdę oznaczała niepodważalny i bezdyskusyjny wyrok. Może płomień palonego w tamtym tygodniu kominka ją wysuszyły? Wreszcie przybrała właściwy kolor: żółty, kolor rozczarowania. Nie muszę jej otwierać, bo wiem, co jest w środku. Jednak Yannik tego nie wie. Skinieniem głowy pyta mnie o pozwolenie. Przez moment przegląda kartki, jest ich kilka, po czym -spogląda na mnie speszonym wzrokiem i podając mi je, mówi:

– To chyba należy do ciebie. Przepraszam, nie chciałem budzić starych demonów.

Znów nachyla się nad drewnianym pojemnikiem. Za-tyka nos i przerzuca delikatnie inne papiery, czyta, odrzuca, po czym wyciąga długi włos. Z kieszeni spodni bierze plastikowy woreczek i wkłada do niego swe znalezisko.

– Co robisz? – Zastanawiam się na głos.

– Zawiozę to do laboratorium, tak na wszelki wypadek. Z tego, co pamiętam,

w tej rodzinie nie było nikogo o blond włosach.

Patrzę na niego w osłupieniu i nawet nie wiem, o co zapytać, tak bardzo wydaje mi się to niedorzeczne.

– Okej. To ty tu jesteś gliną, nie ja.

Nie odpowiada. Rozgląda się jeszcze chwilę, przegląda resztę dokumentów, na dłużej przy niczym się nie zatrzymuje, po czym rusza w kierunku wyjścia.

– Masz mało czasu, żeby przygotować mu jakieś sensowne przeprosiny. Magnus Heilbron najprawdopodobniej nie ma z tym nic wspólnego. – Rzuca i wychodzi.

Ja w ogóle mam mało czasu. I obojętnie, ile ciast bym mu upiekła i jak bardzo przepraszała, tego mi nie wybaczy. Nawet mu się nie dziwię. Ja też sobie tego nie wybaczam. Yannik Legrand zostawia mnie stojącą nad drewnianą przepaścią z kopertą w ręku. Jestem w piekle. Znowu.

Nagle słyszę, jak wszystkie auta odjeżdżają. Na podwórku zostaje samotna toyota. Wychodzę na dwór. Widzę, jak Magnus krząta się koło domu. Wypuścili go. Udaje, że mnie nie widzi, wracam więc do siebie. Szukam słów, jakie będą w stanie wyrazić moją skruchę, ale nie znajduję niczego, co odpowiadałoby poziomowi mojej wpadki. Jem kaszę jaglaną na wodzie i czekam, aż tu wpadnie. Przychodzi w końcu i puka jak zwykle. Otwieram, zapraszam go do środka, ale zostaje w progu.

– Przepraszam – mówię i brzmi to naprawdę kiepsko. Nie odpowiada. Z kieszonki koszuli wyciąga moją rozładowaną komórkę i podaje mi ją. Po chwili sięga do tylnej kieszeni jeansów i daje mi białe majtki, które zgubiłam, będąc z Marnixem w lesie.

– To chyba twoje.

Otwieram usta i tak zastygam. Nie wiem, od czego zacząć. Widzi to i niespodziewanie mnie ratuje. Po raz kolejny zresztą. Dlaczego? Po co? Ale daje, to biorę. Bo nie mam siły się tłumaczyć.

– Nie musimy wiedzieć o sobie wszystkiego – ogłasza, widząc moją przerażoną minę.

Dzięki Bogu, nie musimy.

– Dziękuję.

– Proszę – odpowiada i odchodzi.

Zastanawiam się, czy sam znalazł telefon i majtki, gdzie i kiedy, i dlaczego mi to teraz wszystko oddaje. Ale w sumie co za różnica? Wykorzystuję ostatnią szansę:

– Magnus, naprawdę mi przykro, że nasłałam na ciebie policję. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć – wołam za nim. Nie zwalnia kroku i mówi bez odwracania się:

– Myślałem, że pisarze znają się na słowach!

– Ja chyba nie... Proszę, wybacz mi – błagam, ale już jest na schodach. Nawet nie wiem, czy mnie jeszcze słyszy. Idzie do siebie pewnym krokiem. Wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi, zostawiając mnie w progu z całą winą. Mam ochotę zapaść się już pod tę ziemię. Im szybciej, tym lepiej. Ale niestety ciągle tu stoję.

Jak mogłam tak o nim pomyśleć? Skąd mi to wszystko przyszło do głowy? Dlaczego po prostu go nie zapytałam? Mam świra. Mam za dużą wyobraźnię. Nie kontaktuję, wymyślam bzdury. Ranię tym innych i wpędzam w niepotrzebne tarapaty. Tak robiłam Marnixowi, i tak robię Magnusowi. Co ze mnie za człowiek, co za bestia? I czy to się kiedyś skończy? Czas na odkrycie prawdy. Wracam do dokumentów ze skrzyni. Otwieram. Jak papier może tak cuchnąć?

28

U lekarza płakałam tylko raz, ale za to porządnie. Na początku starałam się płakać najciszej jak się da i wycierałam łzy. Nie wyszło. Szlochałam. Potem ogarnął mnie taki wstyd, że już nigdy więcej się nie rozkleiłam i nie rozkleję. To ja dostałam krótką piłkę, ostry policzek od życia, a nie on. Ale to właśnie ja poczułam się tym płaczem upokorzona.

Gdybym wcześniej wiedziała, że tak szybko się skończę, może zrobiłabym coś inaczej. Ale nie o mnie na tym świecie chodzi, więc nie zmieniam niczego. Marnix też nie chciał niczego zmieniać. Chciał, żeby wszystko było normalne i zwyczajne, jak wcześniej. Miał rację, choć kto jak kto, on mógł od życia wymagać czegoś -więcej.

Spoglądam na śmierdzące papiery: wszystko się zgadza. Wszystko, oprócz trzech rzeczy: daty, zapachu i właściciela. Dokumenty ze szpitala w Grasse, z 2008 roku, wyniki badań i potwierdzenie diagnozy na TO są na nazwisko:

MARNIX LANTERI

Już nigdy.

Już koniec.

Już ostatni raz. Tak zupełnie ostatni.

Kładę się i leżę. Nic nie robię. Znowu. Chuj z tym wszystkim. Mam dosyć. Mam to gdzieś. Chcę krzyczeć. Próbuje myśleć o czymś innym. Zastanawiam się, co robiłam prawie trzydzieści lat temu o tej samej porze. I od razu widzę, jak leżymy z Robertem i Marnixem w moim łóżku, a Malwina opowiada nam bajkę na -dobranoc.

– To o czym ma być dzisiaj bajka? – pyta swoim ciepłym głosem.

– Taka, żebyśmy się bali – podpowiada uśmiechnięty Marnix.  
– Najlepiej, żebyśmy nie mogli po niej spać całą noc! – Robert pod-bija. Chowam się pod prześcieradłem. Już się boję.  
– Na pewno? – Malwina udaje grobową powagę.  
– Na pewno, na pewno! – odpowiada zadowolony Robert. Wyściubiam nos. W pokoju jest ciemno, błądy księżyc daje niewiele światła. Puchacz pohukuje gdzieś w oddali. Marnix mruży oczy.

– Przypowieść o zielonej wstążce? – Ciotka zadaje pytanie, a my odpowiadamy chórem:

– Tak! Prosimy!

Leciało to mniej więcej tak:

Pewnego razu była sobie dziewczynka o imieniu Jenny. Jenny była jak wszystkie inne dziewczynki, z jednym małym wyjątkiem: zawsze nosiła zieloną wstążkę zawiniętą wokół szyi. W jej szkole był chłopiec o imieniu Alfred. Alfred lubił Jenny, a Jenny lubiła Alfreda.

Pewnego dnia Alfred zapytał:

– Dlaczego zawszenosisz tę zieloną wstążkę?

– Nie mogę ci powiedzieć – odpowiedziała Jenny. Ale chłopiec nalegał:

– Ale dlaczego zawsze masz ją na sobie?

– To naprawdę nie jest ważne – stwierdziła Jenny.

Kiedy Jenny i Alfred dorośli, zakochali się w sobie i wzięli ślub. Po ślubie Alfred zaproponował:

– Teraz, kiedy już jesteśmy małżeństwem, musisz mi powiedzieć, o co chodzi z tą zieloną wstążką!

– Musisz jeszcze trochę poczekać – prosiła Jenny. – Po-wiem ci, jak przyjdzie odpowiedni moment.

Lata mijały. Alfred i Jenny zestarzeliz się. Pewnego dnia Jenny zachorowała. Lekarz powiedział jej, że -niedługo umrze. Wtedy zawołała Alfreda do swojego łóżka.

– Alfredzie – zaczęła – teraz mogę wyjawić ci sekret mojej wstążki. Odwiąż ją i wtedy się przekonasz, dlaczego nie mogłam powiedzieć ci o niej wcześniej.

Powoli i delikatnie Alfred rozwiązał wstążkę, a wtedy głowa Jenny odpadła. Koniec.

Przerzucam kartki w dłoniach. Sprawdzam trzy razy, ale nie chce być inaczej.

MARNIX LANTERI

Nie mogę jednak uwierzyć. Usta rozchylają się w zamyśleniu. Ręka trzymająca papier opada mimowolnie. Mrugam powiekami z ołowiu. Zaciskam je i

próbuję zapanować nad wszechświatem. Głowa się wypełnia. Patrzę w prawo. Mur. W lewo. Mur. Stopy już mokre. Jest ciasno. Tracę orientację. Pokój wypełnił się wodą po sam sufit, a ja nawet tego nie zauważyłam. Muszę się odbić od dna, od drewnianej podłogi, żeby wypłynąć na powierzchnię i nabrać powietrza. Inaczej się tu utopię.

Telefon! Szukam ładowarki. Biegnę na górę, wracam na dół. Znajduję. Podłączam i próbuję przypomnieć sobie kod zabezpieczający. Po co w ogóle się go wpisuje? Mam w końcu. Dwa, zero, zero, osiem. Działa. Dzwonię w środku nocy. Nie jestem pewna, kiedy i o czym -ostatni raz rozmawialiśmy, i bez przywitania się zaczynam:

- Janeczku, powiedz mi całą prawdę.
- Jaką prawdę? - pyta zdezorientowany. Obudziłam go.
- O mnie, o nas. Jestem chora?
- Na co?
- Nie wiem, na co...

Zastanawia się chwilę, wzdycha głośno.

- Nie jesteś chora. To Marnix był chory - odpowiada w końcu pewnie i spokojnie, tak jakby był przekonany, że ma rację. Też mi pocieszenie. W telefonie cisza.

- Umieram?
- Nie umierasz. To on umarł.

Pogubiłam się. Zgubiłam w rzadkim lesie. Zapuściłam się tak daleko w głąb, że ani światło księżyca, ani latarka nie wskażą mi drogi. Trzeba mi jarzeniówki. Albo nawet halogenów z błyszczącego nowością stadionu Allianz Riviera. Potrzebuję światła, żeby wyjść na prostą. Stanąć na nogi.

Jak to umarł? On umarł? Marnix umarł? Drażę:

- Kiedy?
- Dziewięć lat temu.
- Gdzie?
- W szpitalu.
- Na co?
- Na nowotwór.

Marnix umarł. Teraz potrzebuję tlenu, bo mam wrażenie, że go nie ma. Sapię do słuchawki, próbuję oddychać głęboko, nabrać powietrza, ale coś mnie blokuje. Coś przeszkadza, poddusza. W końcu wybucham niekontrolowanym śmiechem, a zaraz potem płaczem. Janek cierpliwie wysłuchuje. Długo. Nie rozłącza się, nie przerywa. I nagle wydaje mi się, że ja już to wiem, że zawsze wiedziałam, tylko na chwilę zapomniałam.

– Byłam z nim? Powiedz mi tylko, czy byłam przy nim, jak umierał... – Chcę się upewnić. Dukam przez łyżki. Dławię się nimi.

– Byłaś. Oczywiście, że byłaś. Zawsze z nim byłaś.

– Do końca?

– Do samego końca. Siedziałaś z nim na łóżku w szpitalu Clavary, a potem nie chciałaś oddać go do kostnicy. Musieliśmy...

– Wystarczy. Przestań już. – Chciałabym się uspokoić, ale się nie da. – To dlaczego tego wszystkiego nie pamiętam? Dlaczego tego nie wiem, skoro tam byłam? – Widziałam. Siedziałam przecież w pierwszym rzędzie!

– Podświadomość potrafi czasem wymazać traumatyczne wspomnienia z pamięci – mówi to tak, jakby był lekarzem.

– Jak mogłam zapomnieć?

– Zdarza się. Tak wyszło.

Jezu.

– Zapomniałam i już sobie nie przypomnę – wyrokuję.

– Pozostaje zdjęcie – oznajmia Janek, jakby na pocieszenie.

– Zdjęcie?

– W kuchni, w Gourdon.

– A to... To o niczym nie świadczy.

– Spójrz na nie, może ci się przypomni – prosi.

Idę do kuchni i się na nas gapię. Na naszą świętą trójcę. Modłę się. Zaklinam rzeczywistość. Chcę nas z powrotem.

– No jestem. Stoję i patrzę na niego zamiast na tort.

– Mówię o zdjęciu schowanym w szufladzie.

– Jakim zdjęciu? – Budzę się.

– Otwórz szufladę ze sztućcami, powinna tam być fotografia zrobiona przeze mnie waszym polaroidem, w szpitalu. Dwa dni przed... – Janek jeszcze coś mówi, ale nie słyszę już co. Bo tego słowa nigdy nie słyszę. Ale jednak do mnie dotarło i uderzyło. Bardzo trafnie i mocno.

Wraca oddech, zrywam się do stołu. Rzucam się do szuflady, tak jakbym to jego, a nie zdjęcie miała tam znaleźć. Machając rękoma, wyrzucam połowę srebrnej, ciężkiej zastawy na podłogę. Huczy, wali, hałasuje. Grzmi. I znajduję. Pośród szerniawych widelców i noży wyblakłe małe zdjęcie. Kuchenne światło jest takie słabe, więc żeby lepiej widzieć, przysuwam fotografię bliżej twarzy. Dostrzegam nasze kontury. Pokój szpitalny w Grasse. Rozpoznaję go od razu i wącham jego lepkie, gorące powietrze, które zalegało tam godzinami. Czuję ten zapach, znam go. Jestem nim wypełniona pod sam korek.

Jest upał. Wczesny wieczór albo późne popołudnie. Siedzę na łóżku, na zgniecionym, przepoconym prześcieradle. A on leży, trzymając głowę na moich



kolanach. Zgięty, słaby, kościsty. Obejmuje mnie jednym ramieniem, a drugie splata się z moim. Nachylam się. Ma przymknięte oczy i uśmiech na ustach. Coś do mnie szepcze. Albo mówi... Co? Nie wiem. Ale odpowiadam. Też z uśmiechem, jednak udawanym. Włosy zwisają mi na jego zapadły policzek i trzymam dłonią tę piękną twarz. Jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy razem.

– Jesteś tam? – pytam cicho do słuchawki.

– Jestem. – Janek odpowiada zmęczonym głosem. Jest cierpliwy. Milczymy chwilę, aż w końcu mój mózg zaczyna normalnie funkcjonować.

– Nie było go tu tydzień temu?

– Nie było. Od dziewięciu lat go nie ma, kochanie.

– A na pogrzebie Malwiny?

– Rzuciłaś się z pięściami na jego ojca. Myślałaś, że to on...

– A gitary?

– Kazałaś zostawić w jego pokoju.

– Rozumiem.

Słyszę, jak Janek ziewa. Po chwili pyta czułym głosem:

– Ile razy on ci będzie tak umierał? Jak długo jeszcze będziesz się tak męczyć? Kiedy pójdziesz na jakąś terapię i zaczniesz wreszcie żyć? To już dziewięć lat.

Nie odpowiadam, bo on mi umiera każdego popołudnia, codziennie, i co tydzień, i co miesiąc. Bez przerwy. Zawsze.

A na zdjęciu to ja trzymam jego głowę na kolanach. To moja ręka gładzi jego włosy i to moje, a nie jego usta, szepczą słowa pocieszenia, efemeryczne formułki jak z kruchej porcelany. To ja zapewniam, przysięgam, zarzekam. Ja się rozczulam. Kłamię jak z nut, że będzie dobrze. I to mnie, a nie jemu, robi się po tym obrzydliwym kłamstwie niedobrze. I taki właśnie jest prawdziwy koniec.

Jest pusto, bo go nie ma. Właśnie tak, jak tu. Jak na kartkach bez słów, które przez lata zwał listami.

Na końcu pamiętnika z 1993 roku znajduje się opis Marnixa niczym dane techniczne w instrukcji obsługi. Data urodzenia, znaki szczególne, waga, wzrost, a potem lista upodobań. Ulubione danie: pizza. Romantyczny zgrywus! Ulubiony kolor: czarny. Kolor oczu: zielony. Wzrost: 1,90 m. Kolor gitary: czarny. Kolor serca: czerwony. Jakiego koloru jest Marnix teraz?

Chmury będą ganiać się po niebie. Matka Cassy będzie odchodzić od zmysłów. W Le Tapas będzie się lało wino. W lesie zabrzmi kwiczące *krii* popielic. W zamku w Gourdon będzie straszyć cisza. I pomyśleć, że byłam tam sama nocą. I

mimo że wydawało mi się, że jestem z nim, że biegniemy razem i że mnie potem ciągnie, to uciekałam sama. Zdjęłam majtki sama. Przez trzy dni rozmawiałam ze sobą w domu i w ogrodzie. Dwa razy pojechałam na lotnisko w Nicei! Sama. Boże... Słodki Boże... Nawet jego żonę i dzieci zmyśliłam. Amsterdam! Odejdźcie, rozstanie... Wymyśliłam to wszystko, a potem w to uwierzyłam.

Wy też?

Gdyby Marnix tu był, przeczytałby tę książkę. W tym miejscu zrobiłby pewnie przerwę. Zamyśliłby się na chwilę. Albo rozmyślałby nad nią przez kilka dni. Analizowałby pewnie każde napisane tu słowo. Porównywałby zdania do rzeczywistości, moje opisy, jego uczucia, nasze wspólne czasy. Ale go nie ma.

Bo przecież po Marnixie została tylko pustka. Tak jak i po nas. I ani na trzy dni, ani nawet na trzy sekundy się nie odnaleźliśmy i już się nie odnajdziemy. I do tego muszę się przyzwyczaić. Do tego niczego, do sytuacji ostatecznej. Szczególnie do niej. Wybór nie jest prosty, ale zadecydowałam: żyję.

I biorę odpowiedzialność za każdy czyn i każde słowo. Nawet za moją subiektywną perspektywę przebiegu zdarzeń.

29

Cały wieczór siedzę i knuję. Muszę się rozmówić z Mag-nusem. Zrobiłabym dla niego ciasto, ale nie mam jajek. Rozważam nawet prysznic, ale szybko mi przechodzi. Książka. Myślę więc o książce. Muszę ją skończyć. Jednak nie da się rozpocząć nowego rozdziału, jak się nie zakończyło poprzedniego. Ani w powieści, ani w życiu. Nie idzie mi. Nie potrafię. Nie umiem się zmusić, bo sprawa z Magnusem nie daje mi spokoju. Jak mam go przeprosić? Przypomniały mi się trzy godziny ciszy Malwiny. Ale z nim się tak nie da. Nie jesteśmy przecież parą. Nie będziemy się kochać. Co mogę zrobić, żeby się z nim pogodzić? Żeby mi wybaczył? W bierki grać z nim przecież nie będę. Magnus nie opuszcza domu. O dwudziestej na podwórko wjeżdża czerwony skuter z dwoma pizzami i zgrzewką piwa. Wychodzi na to, że mój sąsiad nigdzie się nie wybiera. Chciałabym iść z nim porozmawiać, ale nie umiem.

Wieczorem, żeby się czymś zająć, robię listę zakupów. Udaję przed sobą, że muszę jechać do sklepu, bo nie zostało mi nic do jedzenia, a wychodzi na to, że jeszcze trochę mi tu zleci. I że to jest ważne. Sprawdzam stan konta przez internet i widzę, że Janek znów zrobił mi przelew. Starczy na jakieś dwa tygodnie. Wstyd mi i czuję się z tym źle, ale nie widzę innego rozwiązania. Niech to też stanie się ważne. Nawet obiecuję sobie, że jutro usiądę jednak do tekstu, postaram się go skończyć jak najszybciej. Gdyby tak ludzie przestali nielegalnie kopiować książki w internecie... Bardzo ważne. Wmawiam sobie. I w ogóle w to nie wierzę.

Nagle na zewnątrz rozlega się nieznany hałas. Wstaję, wychodzę przed dom.

Magnus przez górne okno wyrzuca sprzęty na podwórko. Wzmacniacz fendera właśnie rozbił się z hukiem na wysypanej kamyczkami drodze. Zaraz za nim stary olfaktometr i drewniany taktomierz. Teraz leci mikrofon z zaplątanymi kablami, dwie statuetki – nagrody muzyczne, które dostał. Następne fruwią płyty kompaktowe, kasety i winyle. Strapłoki, paski i kapodastry. Słuchawki. O mały włos nie dostałam w głowę stalowym kamertonem.

– Magnus, przestań! – krzyczę, ale on nie ustaje. Deszcz kabli, następnie pudełko plastikowych piórek rozsypujących się na trawie i w końcu struny, potem fiołki próbek perfum z laboratorium jego taty. Serce mi zamiera, bo czekam na gitarę. Wołam go, ale nie słyszy, nie przestaje. Wbiegam więc do jego domu, pokonuję korytarz, schody, wpadam do pokoju.

– Przestań! Natychmiast przestań, słyszysz?! – drę się. Odwraca głowę. Wbijają we mnie wściekły wzrok, kiedy patrzę na niego i próbuję złapać oddech. – Co robisz? – pytam resztkami tlenu. Chyba się uduszę. Ten sprint mnie zaraz zabije.

– Miałaś to zabrać, obiecałaś, że się tego pozbędziesz, a to dalej tu jest! Jak mam tu wysprzątać? – Ma donośny zwierzęcy głos i okropnie się go boję. Udaje mi się jednak odpowiedzieć:

– Chcieliśmy przyjść, kiedy Marnix tu był, ale wyjechałeś. Nie było jak.

– Nigdzie nie wyjechałem, byłem tu cały czas i nikogo u ciebie nie widziałem.

– Jak to nie widziałeś? – Zwalniam oddech i silę się na grzeczny ton: – Marnix spędził tu trzy dni. Widzieliśmy cię, więc i ty musiałeś widzieć nas. – Żongluję frazesami i nagle dociera do mnie, że to wszystko nieprawda. Że to nonsens. Zmyśliłam to przecież. Mam na to dowód. Trzymałam ten papier w ręce. Janek potwierdził. Muszę się do tego w końcu przyzwyczaić. Ale teraz, jak ja to odkręcę?

Nie odpowiada, patrzy na mnie z niedowierzaniem i zatrzymuje się. Przestaje zbierać kartki z nutami. Za-pada cisza. Obserwuję go, spoglądam na straty. Wszystko porozwalane leży na podłodze. Kable płaczą się pod moimi nogami, dwa futerały po gitarach leżą na środku, otwarte i puste. Niczym trumny czekające na nieboszczyków. Czuję, że zaraz oboje w nich skończymy. Magnus siada na skórzanym krześle, które stoi tam od wieków, i ociera czoło z potu. Wzdycha, po czym przemawia spokojnym tonem:

– O co w tym wszystkim chodzi? Co się z tobą dzieje, dziewczyno? – Ma dziwną minę. Nie wiem, czy to złość, czy zawód. Żebym chociaż wiedziała, jak mu to wytłumaczyć. Gram na zwłokę:

– Myślałam, że to ty mi powiesz.

Teraz patrzy na mnie ironicznie. Po chwili zastanowienia kontynuuje:

– Żyjesz w książkach czy w rzeczywistości?

– Co?

Zastanawiam się, kto tu jest świrem. Ja czy on? Wypa-da na mnie, ale to on dalej bredzi:

– Przerasta mnie to, już nic nie rozumiem. Nie wiem, co mam dalej... Co ty tu w ogóle robisz?

– A ty? – Zdezorientowana odrzucam piłkę w jego -stronę.

– Ja? – Dziwi się, ale odpowiada z pewnością: – Żyję. A przynajmniej próbuję. Ale ty, to nie wiem...

Spoglądam na niego i poddaję się. Kapituluję, bo już nie mam siły. Szepczę:

– Ja umieram. Pasuje?

Nie odpowiada, patrzy mi prosto w oczy i zastanawiam się, co jest w tym odważnym spojrzeniu. Stoję tak jeszcze chwilę, po czym chwytam za czerwoną elektryczną gitarę i wychodzę. Moja dłoń zjeżdża po gładkiej drewnianej poręczy schodów, zerkam na nią i wiem, że kościste palce Marnixa chwytają się jej kiedyś nieskutecznie. Wracam do siebie. Łzy płyną. Jest mi smutno, jest mi źle. Magnus mnie nie zatrzymuje, a Marnix podobno nie żyje. Ja wcale nie umieram. Ja tylko płaczę i kłamię.

Raz jeszcze sprawdzam dokumenty ze szpitala. Marnix Lanteri. To ciągle jego nazwisko jest na tym papierze. Marnix, a nie Patrycja. Lanteri, a nie Gryciuk. Nie chce być inaczej. On nie żyje. Teraz rozumiem, że nie mogę wszystkiego. Są rzeczy, na które nie mam wpływu. Nie władam światem, choć przez prawie czterdzieści lat tak mi się wydawało. Nawet nie panuję nad własną pamięcią. W ogóle nie jestem ważna. W dodatku nie będę żyć wiecznie. Co oznacza, że nie jestem nieśmiertelna ani nawet długodystansowa, skoro ostatnie dziewięć lat minęło jak mrugnięcie powieką. Wstyd się przyznać, ale nawet tego nie zauważyłam. Byłam tak bardzo skupiona na przeszłości, że terazniejszość ominęła mnie wielkim łukiem i dalej mknie gdzieś obok, zataczając kręgi zapomnienia. Jutro staje się od razu wczoraj, nie przechodząc przez stację dzisiaj. Co robiłam przez te dziewięć lat? Udawałam, że TO się nie stało. I to było moim głównym zajęciem.

Wszystko kiedyś minie. Minąłeś już ty. Teraz mijam ja. Przemienę w końcu jak wszyscy. Inni będą się zaczynać, trwać chwilę, nikt jednak nie przetrwa na zawsze. Ale od teraz moje przemijanie jest świadome. Teraz już wiem, bo pamiętam. Teraz to dziś. Dziś to teraz. I wszystko sobie nareszcie przypominam.

Dokładnie pamiętam tę ciszę przed burzą: błogie uczucie spokoju i spełnienia, niedocenianej radości, niezauważonego szczęścia, które widzisz dopiero wtedy, gdy go nie ma. Branie miłości, bo się należy. Nie, nie należy się. Nic

nikomu. A potem pamiętam, że było TO, ale tego przecież nie pamiętam. Wiem, że kiedy minęła złość i rozpacz, do pokonania został jeszcze żal. Zamknęłam się w swojej skorupie i bezsensownie w niej trwałam. Nie z wyboru, nawet bardziej wbrew sobie. Po prostu nie umiałam inaczej. Dni mijały. Cholerne dni mijały. Ale to nie byłam ja, to Marnix zachorował.

I jak to wszystko nazwać słowami, skoro zapominasz nawet, jak się nazywasz? Bo TO jest prawdziwe, bo TO jest dookoła, ale przecież nigdy u ciebie, prawda? Aż do tego momentu, kiedy niemożliwe puka do twoich drzwi, bez zaproszenia ani uprzedzenia wprasza się po chamsku z brudnymi buciorami i ogłasza, że przyszło właśnie do ciebie. I zostaje.

Przy takiej diagnozie lekarz nie mówi, ile masz czasu. Nie podaje daty twojej śmierci. Nie chce, bo może się pomylić. Mówi tylko, czy jest możliwe leczenie, i jakie. Tu możliwości leczenia nie było, bo TO było już wszędzie.

– Mówimy o tygodniach, miesiącach czy latach? – Za-ryzykował podczas wizyty u onkologa.

– Myślę, że o miesiącach, ale mogę się mylić. W jedną i drugą stronę, niestety.

– Ile?

– Rok to bezpieczna odpowiedź.

Chciałam krzyczeć, żeby ktoś coś zrobił. Jak to – nie możemy go uratować?

\*

TO jest złem. To jest czymś, czego nikt nie chce. Czym jest TO? Co to jest? To ta choroba, która pojawia się znikąd i bez znaków ostrzegawczych. Bez czasu na rozbieg czy ochłonięcie. Rach-ciach i jest. Rach-ciach i koniec. I tylko krzyk w głowie zostaje. Napiszę to jeden jedyny raz, więc uważajcie: to rak. Stało się. Napisałam i wymiotuję teraz tym słowem. Teraz już mogę. Nie muszę trzymać fasonu jak na pogrzebie Roberta. Nikogo tu nie ma. Skręca mi żołądek tak samo gwałtownie, jak wtedy, kiedy duża, biała koperta dotarła nieoczekiwanie w nasze młode ręce. Tak samo kiedy wepchnęłam na dno kieszeni małą zwiniętą karteczkę. Lub jak wtedy, kiedy rozrzucałam z niej konfetti na drodze. Nigdy więcej nie użyję tego słowa i nigdy nie chcę go już usłyszeć. Nie zedrę na nim gardła. Nie przecisnę nawet. Nie wypowiadajcie go przy mnie, bo usunęłam je z mojego słownika. Pstryk! I już go nie ma.

Pamiętam skrzypienie schodów, kiedy szłam do pokoju Roberta, i nieład, jaki tam zostawił. Wiem, kto rzucił pierwszą garść ziemi do dołu. Widzę dokładnie, jak Marnix idzie na czworakach na ten przeklęty pogrzeb. Skoro więc jestem taką mistrzynią w zapamiętywaniu, dlaczego nie pamiętałam, jak odchodził ten, którego

kochałam najbardziej na świecie? Dlaczego w ogóle nie rozumiałam, że odszedł? Że umarł?

Wmówiłam sobie, że to się nie stało. Ale stało się.

30

Po diagnozie Marnix nie walczył wcale. Nie dbał o siebie. Nawet nie próbował. Nie zaczynał. Zabronił rozmawiać o chorobie, a tym, którzy wiedzieli, nakazał milczeć i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Wychodziło mi to uszami od samego początku. Mój świat się zawalił, a on chciał, żebym udawała, że wszystko jest w porządku. Żył tak, jakby nie wiedział, że jest chory. Nie brał pod uwagę żadnej terapii alternatywnej, żadnej innej konsultacji, drugiej opinii. Nic. Planował wakacje, koncerty, spotkania. Udawał i był w tym mistrzem, jakby to robił całe życie. Chwilami nawet ja, chyba z rozpacz, dawałam się na to nabrać. Korzystał, ile się dało. Jadł, mył się, cesał, ubierał. Grał na gitarze, żartował ze znajomymi i chodził na wino. Do czasu oczywiście.

Bo w końcu go złapało. Dopadło po zmroku, niespodziewanie, na ulicy. Szybciej niż się tego spodziewaliśmy. Kiedy ktoś, kto całe życie był chudy jak patyk, traci nagle dużo na wadze, to nie można tego już nazwać chudnięciem. To jest po prostu znikanie w oczach. Paracetamol na wszystko. Łykał go coraz więcej. Potem jakieś apteczne mieszanki. Garściami, zakazane dawki, aż leki przestały zupełnie na niego działać. Wtedy dopiero wrócił do lekarza. Ten jednak powiedział, że mocniejsze prochy dostanie jedynie wtedy, kiedy zdecyduje się położyć w szpitalu. Nie skorzystał.

W trzy tygodnie stałam się ekspertem. Miałam dużo pytań, mało odpowiedzi. Potajemnie zadzwoniłam do mojej koleżanki, która jest onkologiem, i zapytałam o możliwości, jednak nawet ona powiedziała mi tylko prawdę. Później nie było już kogo pytać, może z wyjątkiem Boga. Ale on, jak na bóstwo przystało, zbył mnie wymownym milczeniem.

Raz mieliśmy długi i dziki atak śmiechu. Ostatni.

Raz próbowaliśmy się kochać w pocie czoła. Ostatni.

Raz wypiliśmy razem dwa szampany. Po jednym na głowę. Ostatnie.

I potem ja też byłam chora. Z nim, po tych nieszczęsnych szampanach z czarną etykietą. Jednak rozstój jelit trwał za krótko i znów niby tylko on cierpiał. A wydawało się, że to ja bardziej potrzebuję pomocy. Nie mogłam się z tym uporać. Nie radziłam sobie z diagnozą, z całą tą nową sytuacją. Przerosła mnie zupełnie, wybuchła we mnie jak wciśnięty pięścią do gardła i połknięty na siłę granat. To ja

wymiotowałam. Ja płakałam. Ja krzyczałam i nie mogłam przestać, w dodatku kryjąc się przed nim z tym wszystkim, udając, że się trzymam. Przestałam być sobą, żeby było, jak chciał. A on był spokojny. Siedział i grał na gitarze. Jakby od razu się z tym pogodził, jakby nie -rozumiał, co to oznacza. Zaakceptował TO. Jak? Nie wiem.

Uczyłam się przemilczać jego milczenie. Zatajać. Nie planować. Nie płakać. Nie pocieszać. Kłamać. Udawać, że się nie boję, że to wszystko zniosę. Najtrudniejsze -zadanie na świecie. Ale się podjęłam. Miałam inne wyjście?

Któregoś dnia Bianka, dziewczyna, która swego czasu wyznała w upojeniu alkoholowym, jak bardzo jest w nim zakochana, zapukała do drzwi mieszkania, które wynajmowaliśmy przez ostatnie lata w Nicei. Marnix leżał na łóżku, starając się zapomnieć o bólu, który wiercił mu dziury w mózgu. Otworzyłam.

– Przepraszam, że tu przychodzę, ale... Jest Marnix?

– Idź stąd i nie wracaj więcej. Skąd w ogóle masz ten adres? – Byłam oburzona. Taka sytuacja i jeszcze ona! Co za dużo, to niezdrowo.

– Muszę go zobaczyć – poprosiła cicho.

– Nie musisz.

– Co z nim? Wiem, że coś jest nie tak.

– Bzdury. Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytałam, a wtedy rzuciła tym kobiecym spojrzeniem, które wszystko tłumaczy. Nie mogłam jej powiedzieć prawdy. Marnix zabronił. Nie chciałam się z nią użerać, bo mieliśmy tak mało czasu. – Idź już.

– Widziałam go. Nie wygląda dobrze. Daj mi chwilę. Powiedz mu, że tu jestem – nalegała.

– Nie. – Próbowałam zamknąć jej drzwi przed nosem, ale zablokowała je butem.

– Błagam...

– Wynocha! – syknęłam i popchnęłam ją w stronę korytarza. Odskokczyła. Jej szkliste spojrzenie śniło mi się jeszcze długo potem.

– Kto to był? – zapytał, gdy do niego wróciłam.

– Nikt – odpowiedziałam.

Ostatnie sześć tygodni było ciężkie. Baterie mu siadły. Przy-gasł. Przestał funkcjonować. Jego lśniące zazwyczaj włosy stały się matowe, a spojrzenie ospałe i zamyślane. Palce, które latami śmigały po gryfie gitary, teraz zwisały nieruchomo z mojej zaciśniętej dłoni. Nie pomagało muskanie ich wargami ani szepty. Nic już nie pomagało. I nagle nie wiedziałam, co robić. Po prostu nie miałam zielonego pojęcia. Wróciliśmy do Gourdon, do jego dawnego pokoju. Tam bezpowrotnie opadał z sił. Nie wychodził na zewnątrz, nie śpiewał i nie grał. Zapach i kolor jego

ciała uległy zmianie. I znów, dokładnie tak jak kiedyś, leżeliśmy na jego łóżku, w tym gorącu, nieseksualnie przyklejeni jedno do drugiego w niemocy. Wychodziłam wyłącznie po to, żeby zapalić.

Potem Marnix przestał jeść.

Raz próbowałam go wykąpać, kiedy nie mógł już dojść do łazienki o własnych siłach. Przez ten okropny upał zapach potu stał się trudny do zniesienia. Prze-transportowałyśmy go z jego matką na kocu ciągniętym po podłodze. Ściągnęłam mu bokserki, unikając jej spojrzenia. Razem próbowałyśmy go podnieść i delikatnie włożyć do wanny pełnej piany, ale wyslizgnął nam się i wpadł do wody z wielkim pluskiem.

– Utopicie mnie tu – wyszeptał z uśmiechem, kryjąc zażenowanie sytuacją.

– Powinnyśmy zawołać lekarza. Powinieneś zacząć się leczyć. – Wymsknęło mi się w strachu, z tej rozpaczki, ze zmęczenia i od razu tego pożałowałam. Miałam nie namawiać.

– Nie mów mi, jak mam umierać – odpowiedział i zanurzył się w letniej wodzie.

Kazał mi obiecać, że go nie oddam do szpitala. Obiecałam. Głupia, obiecałam. Zła, wypalona i zbuntowana. Jednak na dwa tygodnie przed końcem jego ojciec zdecydował, że tam będzie mu lepiej, i wezwał karetkę. Matka wahala się jeszcze, jednak się zgodziła. Do ostatniej minuty błagałam, żeby to odwołali. Zrobiło się tak gorąco, że w domu nie było po prostu czym oddychać. Myśleli, że w szpitalu mają klimatyzację. Mają, ale nie na paliatywnej.

Z piętra zносиło go dwóch pielęgniarzy. Stałam wyżej i patrzyłam, jak uważają, by nosze nie obijały się o ściany na schodach, i wtedy dotarło do mnie, jak bardzo się skurczył. Zrobił się kościsty jak nigdy dotąd. Jakiś taki drobny i mały. Dwudziestodwuletni mężczyzna wyglądał jak nastolatek. Już prawie się nie ruszał. Przyzwyczyłam się do tego zniechęconego widoku bezruchu. Nie miał siły się sprzeciwić. Poddał się, choć wymachiwał przez chwilę ręką, jakby chciał się złapać poręczy i zaprotestować. Jedną ręką. Po cichu. Pozwoliłam na to. Naprawdę pozwoliłam. I nie mogę sobie tego wybaczyć.

– Ręka! – zawołał pielęgniarz i wtedy zerknęłam z nadzieją na jego matkę, która stała niżej i kazała go przytrzymać.

– Ciii... – Starła się go uspokoić, gładząc mu włosy. A on tylko podniósł na nią gasnące oczy. I gdy o tym myślę, chcę umrzeć, żeby nigdy więcej nie przypominać sobie tego spojrzenia odartego z nadziei. Już wiedział. Już wtedy zrozumiał, że nie wróci.

To było jego pożegnanie z domem. Z Gourdon. Ostatnie.



Zsunęłam się i opadłam ciężko na schody. I ja zobaczyłam początek końca, choć nie chciałam się do tego jeszcze przyznać. Do końca udawałam. Do samiusieńkiego końca. Żeby nie chodzić na czworakach, żeby nie wyć, żeby uszanować jego bezsensowną wolę, przez którą nie wolno mi było rozpaczać. Wmawiałam sobie, że to -nieprawda, że los się odwróci, że wyzdrowieje. Nie wiem, jak i dlaczego, ale nie wierzyłam w jego umieranie. To było nierealne, za szybkie, niespodziewane. Lekarze dali mu rok życia, a już po trzech miesiącach byliśmy w szpitalu. Kochaj mnie, kochaj. Całuj mnie, całuj...

Najgorsza w szpitalu jest cisza. Na paliatywnym w Grasse oprócz ciszy był jeszcze wykańczający upał. Wilgotne powietrze pomieszane z zapachem moczu i umierania. Zalegająca w gardle ohyda. Kazał przynieść sobie gitarę. Tę czarną, pierwszą, którą mu podarowaliśmy na dwunaste urodziny. Nie miał siły na niej grać, ale podobało mu się, że stoi w rogu szpitalnego pokoju. Po jakimś czasie poprosił mnie, żebym położyła ją obok niego. Przez kilka minut szarpał struny jedną ręką, aż zeszyły się salowe, żeby go uciszyć. Potem zabrałam ją do domu Malwiny i schowałam pod łóżkiem Roberta. Teraz już wiem dlaczego.

Pewnego dnia któraś z pielęgniarek przyszła do sali z jedną z jego płyt i zapytała, czy Marnix może ją podpisać. Wyrzuciłam ją za drzwi, plując jej w twarz i bijąc pięściami.

31

Rano pukanie do drzwi zastaje mnie w salonie. Spałam na ziemi ze zdjęciem ze szpitala w ręku. Ktoś przyszedł, dzwoni. Muszę to wszystko schować. Wrzucam do skrzyni i zamykam ją pośpiesznie.

– Postanowiłaś jeszcze trochę pożyć? – Magnus, niczym samiec alfa, stoi z naprężoną klatą i dwiema ogromnymi łopatami.

– Przepraszam... – Zaczynam, bo jest mi niezmiernie głupio. Nie wiem nawet, od czego zacząć. Trochę mnie onieśmiela. Przypominam sobie nasze ostatnie spot-kanie.

– Za co znowu?

– Za wszystko. Za to, że niesłusznie nasłałam na ciebie policję, i za... – Jak to nazwać? Jak zakwalifikować wczorajszą kłótnię w pokoju z instrumentami? Zacinam się. Na szczęście nie czeka na końcówkę zdania. Pociąga nosem i mówi:

– Ja właśnie w tej sprawie. Przez ciebie mój ogród jest w opłakanym stanie. Idziemy! Chyba że masz inne plany.

Nie mam. Podaje mi jedną z łopat. Chwytam i ręka ugina mi się pod jej ciężarem. Nie czeka na odpowiedź. Odwraca się i odchodzi, więc ruszam za nim.

Kopię. Grabię. Wyrównuję. Przerzucam ziemię. Z kupki na kupkę. Z dołka

do dołka. Wyżej, niżej. Za siebie. Padam z wycieńczenia. Chce mi się pić, jestem głodna. Dyszę. Chcę odpocząć, ale Magnus Wielki woła:

– Jeszcze nie koniec!

Męczę się. Zatrzymuję i zaczynam od nowa. Czuję wszystkie mięśnie. Jestem wykończona. Upadam na kolana i nabieram ziemię w dłonie. Przerzucam ją z miejsca na miejsce. Rzucam garściami. Wpycham do ust, gryzę zębami. Jest sucha i sypka. Chciałabym się nią udusić, ale da się przełykać. Krztuszę się tylko, brudzę. W mózgu powstaje milion połączeń neurologicznych na sekundę, by móc zrozumieć jedno zdanie, a ja nie pamiętałam, że Marnix nie żyje. Nie mogę tego pojąć, ani sobie wybaczyć. To niemożliwe. To mi się nie mieści w głowie.

Czternaście dni trwałam w niemocy. Na noc jeździłam do domu, w dzień byłam z nim. Nie mogłam znieść porannego wchodzenia do jego sali, sprawdzania, czy jeszcze tam jest. Ale dopiero na cztery ostatnie doby pozwolili mi już stamtąd w ogóle nie wychodzić.

Nasze trzydzieste urodziny przespaliśmy w szpitalu. Jego ostatnie. Ostatnie razem.

Nie chciał respiratora. Kiwał przecząco głową, gdy mu go zakładali. Kazałam zdjąć. Potem widziałam, jak się dusi i sama miałam ochotę wetknąć mu tę maskę na twarz siłą, ale ręce nie posłuchały. Po następnym leku duszności zmały, żeby w końcu ustać zupełnie. Jednak kiedy widok jego ciała skręcającego się z bólu stał się nie do wytrzymania, przyłożyłam usta do jego ucha i wyszeptałam, jakby to o mnie chodziło:

– Morfina, błagam.

Prawie niezauważalny ruch warg pozwolił mi odgadnąć niemą odpowiedź, bo dźwięku już nie było. Dałam znak pielęgniarce i po chwili wreszcie wyglądał, jakby nie cierpiał. A jak było naprawdę, tylko on wiedział. Ja nie wiedziałam i już się nie dowiem. Położyłam się obok i tak czekaliśmy na śmierć. Szkoda, że morfina nie należy się czuwającym przy chorych. Potrzebowałam jej wtedy jak nigdy wcześniej, żeby zatrzymać ból, zatrzymać wszystko, przestać czuć.

W pewnym momencie, w bezradności zapytałam jego matkę, która siedziała na korytarzu i gapiła się w ścianę:

– Co mam robić?

– Módl się. Więcej nic nam nie pozostało – odpowiedziała. Ona nigdy nie płakała. Może przy nas się trzymała. Modlić się? Ale do kogo?

Gdy było już tak źle, że gorzej nie mogło, nagle usiadł na łóżku i zapytał trzęśwym, spokojnym cichym głosem:

– Kiedy to się w końcu skończy?

– Nie wiem – wyznałam oszołomiona tym nagłym przypiływem sił i dźwięku. Może cudownie ozdrowiał na moich oczach? Zdziwiona wstałam, żeby wezwać jego -rodziców.

– Nie – poprosił jednak, czytając w moich myślach. Nie zawołałam.

Potem opadł i leżał bez ruchu, ciężko oddychając. Do sali wszedł Janek. Stał i patrzył na nas z przerażonym wyrazem twarzy. Żeby już był koniec, pomyślałam. Następnie pojawiła się pielęgniarka. Popatrzyła i przejechała palcem po grzbiecie jego nosa. Nawet nie otworzył oczu. Chwyciła kościstą dłoń, rzuciła okiem na paznokcie. Kazała go unieść tak, żeby nie leżał na płasko. Usiadłam więc na łóżku i z pomocą Janka wzięłam go w ramiona, żeby jakoś siedział. Żeby żył. Żeby mnie nie opuszczał. Zrobił się taki lekki. Po chwili -wróciła z jego rodzicami i z lekarzem, który zawyrokował:

– Od tej chwili nie ma już powrotu. Pożegnajcie się.

Ofiarujesz wszystko, całą siebie, całą swoją miłość. I nie wystarcza. Dlaczego?

W chwili bez powrotu poczułam się, jakby moją głowę zaciśnięto w imadle niemocy i miałam ochotę umrzeć z nim, bo to było nie do zniesienia. Powiedziałam sobie dość – chciałam przestać wreszcie udawać i zacząć głośno rozpaczać, ale nie potrafiłam. Patrzyłam na niego, głaskałam, ściskałam w ramionach, tak żeby TO mi go nie zabrało. Za szybko, za wcześnie. Skóra na jego stopach nie była nawet pomarszczona. Raczej blada, przezroczysta, z drobną siateczką niebieskich cienkich żyłek. A potem były trzy godziny ciszy. Trzy godziny, żeby się z tym pogodzić. Prawie tak, jak kiedyś, według metody mojej kochanej ciotki. Prawie...

\*

Myślałam, że umiera się w jakichś skrajnych konwulsjach i krzykach, skrzęcając z bólu. Nie. Umiera się po cichu. Umiera się w ciszy. Na mój kolejny szept on po prostu nie otworzył oczu. I gdyby nie to, że ręka mu nagle opadła bezwiednie, w ogóle nie zorientowałabym się, że to już to. Był tak samo ciepły, spocony i przylepiony do mnie, jak chwilę wcześniej. Oczy zamknięte, usta uchylone. Oddech tak płytki, że nie zauważyłam, kiedy zanikł zupełnie. Tak jak Roberta, jego też nie ratowali. Ja go nie ratowałam. Już nie. Bo jak kogoś naprawdę kochasz, to go uwalniasz. Tak mówiła Malwina. Uwolniłam go zatem, wbrew sobie, po cichu, bo nie dano mi wyboru. A potem byłam już sobą. I wolno mi było wreszcie wymiotować.

*Jedyne bezpieczne miejsce na Ziemi: ty.*

*I wacham cię i chowam się w tobie. ty.*

*Patrzę na ciebie. Uważaj, mam cię na oku.*

*Pilnuję i czekam na dobry moment. ty.  
Przeczekuję wszystkie wylane bez ciebie łzy.  
Przyszło spełnienie marzeń: spędzone w muzyce dni.  
A tęsknię za godzinami ciszy,  
gdy wreszcie twe rzęsy o me policzki wystukują rytm.  
Nad ranem czekasz na mnie ty.  
I kawa, i naga skóra. Cała ty.  
Pamiętam, jak wodziłem za tobą wzrokiem.  
Teraz zachłannie zatapiamy się w zmroku.  
Czas zaskoczył znów mnie.  
Szacuję, liczę dni, bo bez ciebie nic.  
Nie chcę dalej sam iść.  
Kochaj mnie, kochaj. Całuj mnie, całuj.  
Bądź ze mną. Tylko ty.  
Wszystkie długie spędzone w muzyce dni.  
Tęsknię za godzinami ciszy,  
gdy wreszcie twe rzęsy o me policzki wystukują rytm.  
Marnix Lanteri, Godziny ciszy*

32

Siedzę na tarasie. Słyszę świerszcze, muchy i pszczoły. Śpiew ptaków. I tylko motyle fruują bezszelestnie. Skrzydła motyli pokryte są futrzanymi łuskami, które raz uszkodzone, nie odrastają. Pachnąca kolorowa sierść, posypana cukrem pudrem. Maczam kawałki chrupiącej bagietki w oliwie z oliwek rosnących w Gourdon i popijam lekkim różowym. Mogłabym to jeść co wieczór. Tak smakuje południe Francji i taki ma zapach: intensywny, niepowtarzalny, przepyszny. Patrzę, jak zachodzi słońce, a w moim kieliszku lód rozbija się o cienkie ścianki. Gra dobrze mi znaną melodię. I nagle mam tyle czasu, którym nie potrafię się jeszcze cieszyć. Nie wiem dokładnie ile, bo nikt przecież tego nie wie, ale czuję, że dużo. Tyle, że nie wiem, co z nim będę robić.

– Jak książka? Kończysz? – dopytuje Magnus. Chyba wreszcie mi wszystko przebaczył. Kamień z serca.

– Jak wyjdę z niej cało, to będzie cud – odpowiadam, bo naprawdę jestem już blisko końca. Uśmiecha się i zaprasza mnie do siebie.

– Opowiesz mi, jak się wypycha zwierzęta? – pytam w jego kuchni i nie mogę się nadziwić, że to mówię. Jak można robić coś tak okropnego? Staram się pogodzić z faktem, że mój sąsiad jest myśliwym.

Rozmawiamy długo. Tłumaczy mi wszystko cierpliwie. Staram się zrozumieć, jednak łapię się na tym, że go nie słucham. Skupiam się na jego twarzy.

Teraz go dopiero zauważam. Ma ciemne oczy, grube rzęsy i brwi. Jest przystojny. Później to on pyta mnie o przeszłość, więc w końcu mu opowiadam. Trochę. Fragmenty. Prawdę. Staram się unikać detali. Czasami mi wychodzi.

Po pogrzebie Marnixa, który przetrwałam z dala od cmentarza, zawodząc pod prześcieradłem zamknięta w jego pokoju, nie mogłam dojść do siebie. Do szpitala jeździłam jeszcze przez kilka dobrych tygodni. Już go tam nie było, ale nie mogłam tego pojąć. Najpierw pokój stał pusty, ale potem zajął go inny pacjent. Wszyscy mnie tam znali i próbowali wytłumaczyć, ale nie docierało. Prosilili, żebym nie przyjeżdżała. Nie słuchałam. Aż któregoś dnia ochrona wyrzuciła mnie za drzwi. Pamiętam wyraz twarzy mężczyzny, który wyprowadził mnie na zewnątrz pod rękę, na ten sam parking, na którym paliłam z nim papierosa kilka dni temu.

– Gdzie zaparkowałaś samochód? – zapytał, kiedy byliśmy już na zewnątrz.

– Nie pamiętam.

– A jaki to?

– Nie wiem.

– Ktoś cię tu, dziecko, przywiózł?

– Nie. Chyba nie. Przyszłam na piechotę.

– To wracaj do domu. Jego tu nie ma i nie będzie.

Stał i patrzył za mną, jak oddalam się w stronę drogi. W głowie dudniło mi: „Nie będzie”.

Gdybym mogła, wzięłabym to wszystko na siebie. TO też. Umarłabym za niego. Ale tak się nie da. Dlatego jedyne, co mogłam zrobić, to umrzeć z nim. I to właśnie uczyniłam: kiedy on umarł, ja też zniknęłam.

Po jego śmierci wszystko się zmieniło. Stoczyłam się, poleciałam na samo dno, dlatego wiem, że tam nic nie ma. Jest twardo, ciemno i zimno. Można sobie poleżeć, a potem już tylko się podnieść. Niektórym udaje się nawet odbić, to zależy, jak długo spadali. Jeżeli zdecydujesz pozostać na dnie, umierasz. Ja spadałam długie dziewięć lat, podczas których zmieniło się dla mnie wiele albo i wszystko. I nie mam tu na myśli rzeczy oczywistych, takich jak smutek, żałoba czy depresja. Strata chęci do życia, pracy, przyjaciół. Myślę na przykład o tym, jak moje ciało zareagowało na tę nieodwracalną zmianę. Najpierw zupełnie o nim zapomniałam. Przestałam je żywić, dbać o nie. Parę tygodni później przypominałam już ukochanego przed śmiercią: przeraźliwie chuda, straszylam wyglądem. Po paru miesiącach nastąpiła wielka zmiana. Zaczęłam zajadać smutek. Wszystko, co było w stanie na chwilę oderwać mnie od troski, lądowało w moim żołądku. Mój mózg zaczął wysyłać błędne sygnały. Pomylił rozpacz z głodem. W ciągu ośmiu miesięcy przytyłam osiemnaście kilogramów. Tyle że nie byłam w ciąży ani się nie rozchorowałam, jak podejrzewali niektórzy. Po prostu jadłam za

nas dwoje.

Proces tuczenia jest zaskakujący. Człowiek się przepoczwarza. Nie poznajesz sama siebie. I to okropne uczucie przejedzenia po każdym posiłku, które sprawia, że masz ochotę wymiotować i nienawidzisz się, ale nic z tym nie robisz. Dalej karmisz bestię. Najgorszy jest moment, kiedy uda zaczynają się o siebie ocierać podczas chodzenia. To sprawiło, że przestałam czuć się kobietą. Przestałam w ogóle być sobą. Patrzyłam w lustro i widziałam kogoś innego.

Przez kilka lat mieszkałam i pracowałam w różnych krajach. Potem z dnia na dzień porzuciłam pracę w szkole. Pieniądze szybko się skończyły, a pisanie książek to niezbyt dochodowe zajęcie. Musiałam wrócić do rodziców. Przemieszczałam w Legnicy prawie dwa lata. Zdarzały się takie poranki, kiedy marzyłam, aby poczuć cokolwiek innego niż ból. Chociażby strach. Potem to już nawet nie były poranki, ale popołudnia. Budzenie się po południu jest gorsze od bezsenności, bo potęguje poczucie zmarnowanego czasu. Od przypadku do przypadku waletowałam u Janka i jego rodziny w Warszawie. Jego żona z trudem to znosiła, ale kto by się jej dziwił. Moja depresja pogłębiała się z dnia na dzień, ale nie chciałam słyszeć o leczeniu. Nawet wydawca błagał mnie, żebym zaczęła coś z tym robić, bo książki w końcu zaczęły się sprzedawać i warto byłoby, żebym wykorzystała ten moment i zajęła się ich promocją. Pisała -więcej, regularnie. Na próżno. Ułożyłam sobie inny plan. Mieszkałam u Janka pięć miesięcy. O cztery za dużo. W końcu ubzdurałam sobie pojawienie się mojej białej koperty i zdecydowałam, że to dobry moment na powrót do Gourdon, gdzie dla nikogo nie byłabym ciężarem. Nikomu nie przyznałam się do fantazji powstałych w mojej głowie. Jan miał nadzieję, że biorę się w końcu za siebie. Pomógł mi napisać CV i list motywacyjny, żebym od razu po przyjeździe do Francji zaczęła szukać pracy. Zorganizował mój wyjazd, bilety, ubezpieczenie, wynajął auto. Umówił mnie nawet na dwie rozmowy wstępne w prywatnych szkołach. Później dzwonił do mnie, żeby zapytać, jak mi idzie, czy są jakieś szanse na pracę. Ale nie chciałam go słuchać. Tak bardzo byłam pochłonięta moją wyimaginowaną rzeczywistością, moim -oblędem, organizowaniem wszystkiego, całej tej maskarady...

Gdybym tylko wcześniej otworzyła tę cholerną skrzy-nię. Zaoszczędziłabym trochę cennego czasu. Nie opróż-niłam jej jeszcze. Nie wyjęłam wszystkiego. Zaplanowałam, że to zrobię, już teraz nie mam wymówek, ale potrzebowałam krótkiej przerwy na ochłonięcie. Żeby uspokoić relacje z sąsiadem, żeby się wyciszyć, zrozumieć, że mam czas. Że nie umieram i że Marnixa już naprawdę nie ma.

I pomyśleć, że jeszcze parę dni temu szukałam odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że się rozstaliśmy. Kto odszedł? Teraz zastanawiam się, jak to jest rozstać się z kimś w normalniejszych okolicznościach. To znaczy, gdy dwoje ludzi rozdziela nieporozumienie albo nagle zdają sobie sprawę, że już się nie kochają,

nie chcą być ze sobą? Rozstają się tak normalnie, po ludzku, jak wszyscy. Zrywają ze sobą, rozwodzą się, odchodzą. Albo gdy jedno chce, a drugie nie. Czy myślisz wtedy, że może spotkasz go w sklepie, na ulicy, na imprezie? Żyjesz tą nadzieją? Może kiedyś jeszcze wasze drogi się skrzyżują? Kto wie, być może jeszcze się zejdziecie? Może chociaż będzie okazja, by pogadać o tym przy kawie. Wyjaśnić niewyjaśnione. Przeprzyć czy podziękować, wspominać przy lampce wina. Może jutro albo za trzy tygodnie czy za dwadzieścia lat. Za sto nawet... To musi być piękna wizja szansy, której nie mam i nigdy nie miałam.

Przez dziewięć lat czekałam na niego, jakby miał zaraz wrócić. Czekałam na gęsią skórę na widok zielonych oczu i umięśnionych ramion. Ale nigdy go nie zobaczę, nie spotkam nawet przypadkiem ani nie wypiję z nim kawy. Jego już nie ma. I ta świadomość przytłacza mnie, wbija w ziemię, odbiera wszystko, co mam. Tak bardzo mi go brakuje. Nie potrafię sobie z tym poradzić. I nie wiem, czy kiedykolwiek mi się uda. Przez dziewięć lat uczyłam się wytrzymać tę ciszę. Teraz wybucha w mojej głowie.

I mam ochotę go pobić za to, że zabrał mi tyle życia, a nawet go w nim nie było. I tego też nie mogę zrobić. Marnix. Marność. Motyl. Maki, puste listy, bańki mydlane. Przemijanie. Ulotność. Nietrwałość. Syn marnotrawny. Marny. Słaby. Wymizerowany. Martwy.

Za tydzień są nasze urodziny. Piszę „nasze”, choć ze świętej trójcy jedynie ja będę je obchodzić, bo tylko mnie przypadł przywilej starzenia się. Robert pozostał szesnastolatkiem, Marnix na zawsze ma trzydzieści lat. A ja? Szóstego lipca stuknie mi trzydzieści dziewięć. Zaraz potem będzie czterdziestka. A potem pięćdziesiątka, osiemdziesiątka, kto wie, może nawet setka czy więcej. Sto lat bez niego nie wydaje się zapowiedzią szczęścia, ale i tak czuję ulgę. Mam przed sobą nową perspektywę i to dziś dodaje mi skrzydeł.

Janek zapowiedział się z wizytą urodzinową. Przyleci bez rodziny. Na cmentarz pójdziemy razem, bo sama nie dam rady. Podobno Marnix jest pochowany w tym samym grobie, co Robert. Razem szaleją w ciemności i z naszej trójki wyłącznie mnie oślepią poranne słońce.

Dziś rano obudziłam się bez strachu. Wstałam bez zimnej kawy i nawet wzięłam prysznic. Mam wrażenie, że wracam do normalności, choć cały czas zastanawiam się, czy to prawda, że nie jestem na TO chora. Magnus przywiózł mi paliwo do peugeota i mogłam spokojnie wyruszyć na zakupy. Plan na dziś: gotować i pisać. Jedno i drugie przychodzi mi powoli, uczę się na nowo smakować i wyrażać. Ale to już jakiś początek. Zapraszam Magnusa na kolację. Przynosi mi prezent.

– Co to jest? – pytam, bo choć nieowinięty w papier, trudno się domyślić

jego przeznaczenia.

– Żyrandol.

– Żyrandol?

– Sam zrobiłem. Z jelenich rogów.

– Piękny! – Kłamię i nie wiem dlaczego. Powrót do rzeczywistości najwyraźniej oznacza powrót do obłudy. Żyrandol jest brzydki i nigdy w życiu nie powieszę go w moim domu. Za żadne skarby! Co za nieuczciwa konkurencja dla dzika! Jednak widząc dumną minę estety, dodaje: – Naprawdę zrobiłeś go sam?

– Pewnie. Trochę roboty, ale warto. Robi wrażenie, co nie?

Oj, robi! Nie odpowiadam. Kiwam głową. Słów mi brakuje.

– Ile par rogów tu jest? – dukam wreszcie.

– Trzy.

– Znalazłeś je?

– Dwa to zrzuty, a jednego odstrzeliłem. Sezon jest.

– Zabiłeś dla mnie jelenia? – szepczę z niedowierzaniem. Trofeum czy ofiara?

– Tak.

– Dziękuję. – Reaguję, bo tego chyba ode mnie oczekuje.

– Same ósmaki, w dodatku uperlone – dodaje z zadowoleniem. Zadziera nosa. Nie wiem, o czym mówi, ale udaję znawcę, żeby znów czasem nie zaczął mi tłumaczyć. Zastanawiam się, gdzie schowam to paskudztwo, co z nim zrobię. Myśliwy, zaciekawiony, łypie na mnie okiem. Widzi, że nic nie mówię, pyta zatem:

– Chcesz, żebym ci go zawiesił?

– Jasne. – Udaje mi się nawet przywołać niezły uśmiech.

– Gdzie?

– W salonie.

Natychmiast bierze się do roboty. Idzie do siebie, przy-nosi torbę z narzędziami. Staję w rogu pokoju i zastanawiam się, dlaczego mu na to pozwalam. Chyba muszę sobie odpuścić. Rozluźnić się wreszcie. Kto by się przejmował głupim żyrandolem, jak ma się całe życie przed sobą? Magnus musi na coś stanąć, żeby dosięgnąć sufitu, rozgląda się i widzi skrzynię.

– Mogę? Chyba wytrzyma?

– Powinna.

Podjeżdża nią na sam środek salonu, wspina się i robi swoje. Dzik na nas zerka z przedpokoju, nastawia uszu, obserwuje. Ja również przyglądam się temu wszystkiemu i ćwiczę psychiczną równowagę i wyciszenie. Taka jestem! Nic mu nie powiem!

Potem jemy kolację. Magnus jest miły, nawet ciekawy. Proszę go, żeby opowiedział mi trochę o Gerdzie, ale nie chce. Obserwuję go i słucham. Planuję w



ogrodzie zasadzić winorośl. Zawiózł próbki gleby do analizy, żeby sprawdzić, czy miejsce się nadaje. Nie rozmawiamy o policyjnej wpadce, o moich głupich podejrzeniach. Chciałabym zobaczyć jego uśmiech, więc staram się opowiedzieć dowcip, ale mi nie wychodzi. Potem pomaga mi znieść naczynia do kuchni, a przed wyjściem zamyślony spogląda na mnie dziwnie. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy zostać przyjaciółmi, skoro już tu jest, nie jest mordercą małych dzieci, tylko jeleni, i nie czyta moich książek. Może sprezentuję mu nawet tę zasuszoną głowę pocziwego dzika. W końcu żegna się i wychodzi, a ja bez słowa wracam do salonu.

Pod żółtym światłem jelenich rogów postanawiam raz na zawsze skończyć z tym rozmyślaniami i rozprawić się z przeszłością. Wiem, że na dnie skrzyni jeszcze coś zostało. Teraz to wyjmę, obejrzę, przypomnę sobie i przeanalizuję, żeby jutro zacząć wszystko od nowa.

\*

Chyba jednak mi się nie uda. Wszechświat lubi mnie zaskakiwać i nie przestaje wyciągać niespodzianek z rękawa. Pierwszą rzeczą, na którą się natykam, jest odręcznie napisany list. Niebieskim długopisem, drukowanymi literami, na kartce wyrwanej z zeszytu z francuskimi liniami. Taki jak ten, którego drugi koniec wypadł z chłodnej ręki Roberta i który, płacząc, rozrzuciłam jako konfetti na drodze. List, którego nigdy nie zapomniałam. Nie wiedziałam, że miał drugą część:

NIE MOŻEMY BYĆ RAZEM.

KOCHAM CIĘ JAK BRATA, A NIE TAK, JAKBYŚ CHCIAŁ.

BO TAK KOCHAM TYLKO TWOJĄ SIOSTRĘ. NAD ŻYCIE!

ZROBIŁBYM DLA NIEJ WSZYSTKO, ŻEBY BYŁA SZCZĘŚLIWA I BEZPIECZNA.

ONA JEST WSZYSTKIM, CZEGO PRAGNĘ.

I NIC NA TO NIE PORADZĘ.

NIE UMIEM TEGO LEPIEJ UJAĆ, TAK PO PROSTU JEST.

A MOŻE PO PROSTU...

I po raz kolejny okazuje się, że jest inaczej, niż myślałam. Tym razem jednak nie chodzi o moją wybujalą wyobraźnię czy płatającą figle pamięć. Od dwudziestu trzech lat się myliłam. To nie Robert napisał ten list. To Marnix! Marnix do Roberta. I on też przez czternaście lat żył pewnie ze świadomością, że mój brat popełnił samobójstwo po jego przeczytaniu. Czternaście lat strachu i wyrzutów sumienia. Czternaście lat prób zdobywania odwagi, która nigdy nie przyszła, żeby mi o tym powiedzieć. Przez dwadzieścia trzy lata myślałam, że Robert popełnił samobójstwo przeze mnie, że byłam jedyną winną, jak napisano na skrawku kartki, który znalazłam. A on, Marnix, to wszystko wiedział.

Kto i dlaczego to tu włożył? Dlaczego list został przerwany na pół? Czy

któreś z nas było bardziej winne śmierci mojego brata? A może wygraliśmy ten konkurs *ex aequo*? Wspólnie, czyli razem. On myślał, że to przez niego, ja myślałam, że to przeze mnie. Dwa zmarnowane życia, nadwyrężone sumienia. A prawda? Być może leży w plastikowym, przezroczystym worku obok moich nóg. I teraz się do niej zabieram.

33

Skórzany pasek, na którym wisiał Robert, ma doczepioną papierową etykietkę z policyjną pieczętką. Obok cztery zadrukowane kartki. Czytam.

*Świadek Marnix Lanteri, urodzony 6 lipca 1978 roku w Grasse, zamieszkały przy 245, Allée des Tulipes w Nicei, zgłasza się na policję dobrowolnie w dniu dzisiejszym, tj. 26 kwietnia 2008. Chce złożyć wyjaśnienia w sprawie samobójstwa Roberta Gryciuka, urodzonego 6 lipca 1978 roku w Legnicy (Polska) i zmarłego tragicznie (przez powieszenie) 16 sierpnia 1994 roku w Gourdon.*

*Protokół zarejestrowany na taśmie przez Brunona Legranda i spisany przez Laurence Fito-Michou.*

\*

*Marnix Lanteri (M.L.) – W ten dzień, to znaczy 16 sierpnia 1994 roku, napisałem do Roberta list. Chciałem mu go zostawić w jego pokoju.*

*Brunon Legrand (B.L.) – Co było w liście?*

*M.L. – W liście było wyjaśnienie. Wyznanie raczej.*

*B.L. – Jakiego typu? Pamiętasz dokładnie, co napisałeś?*

*[Świadek mocno kaszle.]*

*M.L. – Tak. Mam ten list przy sobie.*

*B.L. – Możesz mi go pokazać?*

*M.L. – Tak.*

*[Świadek wyciąga zgniecioną kartkę papieru. Jej dolny fragment jest oderwany. Papier ma zniszczony aspekt. Treść napisana niebieskim długopisem, lekko spłowiałym, drukowanymi literami, po francusku: „Nie możemy być razem. Kocham Cię jak brata, a nie tak, jakbyś chciał. Bo tak kocham tylko Twoją siostrę. Nad życie! Zrobiłbym dla niej wszystko, żeby była szczęśliwa i bezpieczna. Ona jest wszystkim, czego pragnę. I nic na to nie poradzę. Nie umiem tego lepiej ująć, tak po prostu jest. A może po prostu...”. W tym miejscu list się urywa.]*

*B.L. – Gdzie reszta?*

*M.L. – Zaraz wyjaśnię. Daj mi opowiedzieć.*

*B.L. – Mów powoli.*

*M.L. – Kiedy wszedłem do jego pokoju, okazało się, że Robert tam był.*

Zobaczył mnie z kartką w ręku i zapytał, po co przychodzę. Był zły i wzburzony. Cały się trząsł. Nie chciał ze mną za bardzo rozmawiać.

B.L. – *Wiesz, co go tak zdenerwowało?*

M.L. – *Wiem. Jakies dwadzieścia minut wcześniej nakrył mnie ze swoją siostrą. Całowaliśmy się.*

B.L. – *Imię i nazwisko siostry?*

M.L. – *Patrycja Gryciuk.*

B.L. – *To go zdenerwowało? Był zazdrosny o Patrycję?*

M.L. – *Nie. Był zazdrosny o mnie. Chciał, żebyśmy byli parą, on i ja. Robert był gejem i kochał się we mnie.*

*[Świadek chowa głowę w dłoniach. Robi krótką przerwę. Oddycha z trudem.]*

B.L. – *Jesteś homoseksualistą?*

M.L. – *Nie. Chodzi o to, że byliśmy bardzo blisko, bo byliśmy przyjaciółmi.*

B.L. – *Ty i Robert?*

M.L. – *Tak. I Patrycja z nami. W trójkę.*

*[Świadek długo kaszle.]*

B.L. – *To co się w końcu stało?*

M.L. – *Powiedziałem mu, że przyszedłem mu wyjaśnić. Bo to było już duże nieporozumienie. I że myślałem, że go nie będzie, więc napisałem list. Chciał go przeczytać. Zawahałem się, czy mu go dać, dać ten list, i powiedziałem, że skoro tu jest, to możemy porozmawiać, zamiast czytać. I zaczęliśmy, ale skończyło się na kłótni. Oskarżył mnie o to, że przez ostatnie lata nie potrafiłem się zdecydować, czy być z nim, czy z jego siostrą. Niby. To była nieprawda. Nigdy nie rozważałem homoseksualnego związku. Jestem hetero. No ale on wydawał się tego nie rozumieć. Powiedział mi, że jestem tchórzem i boję się przyznać do prawdy. Że od początku udaję kogoś innego, kogoś, kim nie jestem. Bez sensu przecież. Nie? W pewnym momencie zażądał ode mnie tego listu. Podobno się jąkałem i nie umiałem mu wytłumaczyć. W końcu wyrwał mi kartkę z ręki. *[Świadek ma atak kaszlu.]* Przeczytał na głos i zaczął się nabijać, aż w końcu histerycznie śmiać. Zdenerwowałem się. Miałem dosyć. Chciałem mu zabrać list, ale on nie chciał go oddać. Śmiał się na głos. Wymachiwał nim w powietrzu. Podeszedłem i wyrwałem mu papier z dłoni. Ale trzymał go tak mocno, że list przerwał się na dwie części. Wtedy Robert wpadł w szal i rzucił się na mnie.*

B.L. – *Możesz powtórzyć dokładnie, co się stało w tym momencie?*

M.L. – *Kiedy kartka papieru się przerwała, Robert rzucił się na mnie. To on zaczął. Doszło do szamotaniny i w pewnej chwili chwycił za mój pasek od spodni i go odpiął. Jakby zaczął się do mnie dobierać. Nawet nie wiem, kiedy i jak. To się działo bardzo szybko. Próbowałem go powstrzymać, ale szarpał za niego coraz bardziej.*

*B.L. – Za co?*

*M.L. – Za pasek.*

*B.L. – I co było dalej?*

*M.L. – Wkurzyłem się jeszcze bardziej i go odepchnąłem. Upadł i przestał się ruszać. Zorientowałem się, że upadając, uderzył głową o drewniany róg.*

*B.L. – Jak uderzył?*

*M.L. – Tylem głowy, jak upadał, o łóżko. Bo ono stało nie tam gdzie zawsze.*

*[Świadek wstaje z krzesła. Gestami odgrywa scenę upadku i uderzenia. Potem przez chwilę chodzi po sali przesłuchań i kaszle.]*

*B.L. – Popchnąłeś go? Dlatego poleciał w tamtą stronę?*

*M.L. – Tak. Dosyć ostro. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z mojej siły. Byłem wkurwiony.*

*B.L. – I rozbił sobie głowę?*

*M.L. – No właśnie nie. Nic nie było widać. Żadnej krwi. Nic takiego. Na początku myślałem nawet, że może udaje. Że zaraz otworzy oczy i zacznie się śmiać. Wiele razy się wyglupialiśmy przecież. Nie takie numery mi robił, jak się biliśmy...*

*[Świadek siada na krześle.]*

*(B. L. ) – Biliście się?*

*(M. L. ) – Tak dla zabawy. Jak wszyscy, nie? Uwielbiał to. On zawsze zaczynał.*

*B.L. – I co było dalej?*

*M.L. – Nie otworzył oczu. Już w ogóle się nie ruszył. I zacząłem go cucić. Potem robiłem mu masaż serca i oddychanie usta-usta. Długo. Aż opadłem z sił. I wtedy do mnie dotarło.*

*B.L. – Co?*

*M.L. – Że nie żyje. Że ten upadek... to uderzenie go zabiło. I wtedy się przeraziłem. [Świadek bardzo długo kaszle.]*

*B.L. – Byliście sami?*

*M.L. – Tak. Jego rodzina była na targu, a moi na plantacji.*

*B.L. – Co zrobiłeś później?*

*M.L. – Zdjąłem mój pasek od spodni, który Robert próbował mi zerwać kilkanaście minut wcześniej, i powiesiłem go na nim.*

*B.L. – Na twoim skórzanym pasku?*

*M.L. – Tak. Nic lepszego nie miałem pod ręką, a on był w szortach. I pomyślałem, że jakby co, to są już na nim odciski jego palców. Na tym pasku, znaczy się.*

*B.L. – Sam to zrobiłeś?*

*M.L. – Sam.*

*B.L. – To nie takie proste. Pasek jest dosyć krótki, a ciało denata musiało*

*być ciężkie.*

*M.L. – Nie wiem, jak to zrobiłem, ale zrobiłem. Nie pamiętam dokładnie. Jego łóżko stało jakoś tak inaczej niż zwykle. Było przesunięte na środek pokoju, pod skrzyżowanie belek stropowych zamiast przy ścianie i to okazało się bardzo pomocne. Miałem na czym stanąć.*

*B.L. – Ktoś przestawił łóżko?*

*M.L. – Tak.*

*B.L. – Kto?*

*M.L. – Nie wiem. Pewnie on. Wyglądało, jakby robił przemeblowanie. Jak wszedłem do pokoju, to przy nim siedział.*

*B.L. – I co robił?*

*M.L. – Chyba szukał czegoś pod materacem. Nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć.*

*B.L. – Ale jesteś pewien, że to ty? Że to zrobiłeś, że go powiesiłeś?*

*M.L. – Tak. Tego jestem pewien.*

*B.L. – I nikt ci nie pomagał?*

*M.L. – Nie.*

*B.L. – Dlaczego zdecydowałeś się, żeby upozorować samobójstwo?*

*M.L. – Bo się przeraziłem, że zostanę oskarżony o jego śmierć. A to był wypadek.*

*B.L. – Myślałeś, że groziło ci oskarżenie o nieumyślne spowodowanie śmierci i dlatego nie zwołałeś o pomoc? Nie zadzwoniłeś po pogotowie?*

*M.L. – Tak. [Świadek przerywa opowiadanie na moment, po czym mówi dalej, cichym głosem.] Pomyślałem o tym. Ale on już nie żył. Już było za późno, bez żadnej wątpliwości. On nie umierał dwie godziny. To trwało -sekundę. I potem było już za późno. Naprawdę. Przysięgam.*

*B.L. – A potem?*

*[Świadek zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.]*

*M.L. – Dostawiłem łóżko do ściany, tak jak zawsze stało. Postawiłem obok niego krzesło, że to niby na nim stawał i uciekłem, kiedy usłyszałem, że jego rodzina wraca autem. Z targu.*

*B.L. – Byłeś na tyle świadomy, że pomyślałeś o tym, na co policja będzie zwracać uwagę i przestawiałeś meble, ale nie miałeś wystarczającej świadomości umysłu, żeby zadzwonić po pomoc?*

*M.L. – Byłem w jakimś amoku. Ja tego nie robiłem, to moje ręce robiły. Same.*

*[Świadek obserwuje swoje dłonie. Milknie. Płacze.] Może podjąłem złą decyzję? Nie wiem... Może by go uratowali? Od czternastu lat się nad tym zastanawiam. Codziennie. Dzień w dzień.*

*B.L. – No dobrze. A co z drugim kawałkiem listu? Mówiłeś, że kartka się*

*przerwała.*

*M.L. – Najpierw o nim zapomniałem. Wróciłem tam po kryjomu dwie noce później i szukałem, ale nie znalazłem. Byłem nawet w kostnicy i pytałem o rzeczy, jakie z nim przywieźli. Jednak nigdy nie znalazłem tego zgubionego kawałka. Nie wiem, co się z nim stało.*

*B.L. – Było coś na nim napisane?*

*M.L. – Tak. Było.*

*B.L. – Pamiętasz co?*

*M.L. – Coś w rodzaju, że jego siostra wie, że ją kocham, i że może lepiej będzie, jak ona z nim porozmawia, bo pewnie będzie wiedziała lepiej, jak to wytłumaczyć. Ona jest dobra w słowach. Ale dokładnie nie pamiętam.*

*B.L. – Siostra wie, co naprawdę się stało?*

*M.L. – Nie. Nikt nie wie.*

*[Świadek ma atak kaszlu, prosi o coś do picia. Dostaje szklankę wody. Pije.]*

*B.L. – Czemu od razu nie powiedziałeś prawdy?*

*M.L. – Człowieku, ja miałem wtedy szesnaście lat... Bałem się.*

*B.L. – Czego?*

*M.L. – Że nikt mi nie uwierzy. A czego innego miałbym się bać?*

*B.L. – To dlaczego mówisz o tym teraz, skoro już dawno po sprawie i nikomu nigdy nie udało się dowieść, że to nie było samobójstwo?*

*M.L. – Bo to ważne, żeby ludzie znali prawdę. Jak to naprawdę było.*

*B.L. – Jacy ludzie? Kogo masz na myśli?*

*M.L. – Jego rodzinę. Jego rodziców, braci, siostrę... Wszystkich, którzy od początku myślą, że on się powiesił. To nie fair. To nieprawda. Robert chciał żyć, on nie był samobójcą. Muszą to wiedzieć. Należy im się. Szczególnie Patrycji. Jestem jej to winien.*

*B.L. – Dlaczego w takim razie nie powiesz im sam?*

*M.L. – Lepiej, jak się dowiedzą od was, jak mnie już nie będzie.*

*B.L. – Może to by ci pomogło, jakbyś opowiedział im o tym sam, teraz.*

*M.L. – Pomogło w czym?*

*B.L. – W oczyszczeniu sumienia. W ozdrowieniu...*

*M.L. – O to właśnie chodzi, że ja już nie wyzdrowieję. Ani z raka, ani z tego.*

*Protokół spisany na Komendzie Głównej Policji w Grasse 26 kwietnia 2008 roku w obecności Marnixa Lanteri, podkomisarza Brunona Legranda i protokolantki Laurence Fito-Michou.*

Ja też już nigdy z tego nie wyzdrowieję.

Popchnął go. Wziął i go popchnął. Normalnie. On go, kurwa, popchnął! Jak

tysiąc razy robił wcześniej. Tyle że ten raz był tym ostatnim.

Gotuje się we mnie, wrze, iskry lecą. Odtwarzam drugą część listu z pamięci. Dopisuję na dole kartki małymi literami. Patrzę na całość. I co to zmienia? Czy TO coś zmienia? Przecież on nie umarł na TO, a na wyrzuty sumienia. Skupiam się. Pamiętam ten jego przekłęty kaszel. Dusił się. I w końcu rozumiem, skąd te wszystkie smutne piosenki. Skąd niekończąca się ochota korzystania z życia, z każdej jego minuty. W wieku szesnastu lat zrozumiał jego kruchość. Jeszcze szybciej i lepiej ode mnie. A ja zgięłam się wpół i tak leżę. Złamana, załamana i półżywa. Wyczerpana tym wszystkim i przytłoczona. Nawet dzik wydaje się wzdychać z niedowierzaniem. Chcę tu Roberta, chcę Marnixa. Żywych. Ale nie chcę dotykać tego paska. Chyba nie chcę wiedzieć tego wszystkiego. Jednak już za późno. Już teraz wiem. Jak wypchany dzik: nie mogę na to przymknąć oka. Jedna dobra wiadomość: Robert mnie nie zostawił. Żaden z nich nigdy mnie nie zostawił.

NIE MOŻEMY BYĆ RAZEM.

KOCHAM CIĘ JAK BRATA, A NIE TAK, JAKBYŚ CHCIAŁ.

BO TAK KOCHAM TYLKO TWOJĄ SIOSTRĘ. NAD ŻYCIE!

ZROBIŁBYM DLA NIEJ WSZYSTKO, ŻEBY BYŁA SZCZĘŚLIWA I BEZPIECZNA.

ONA JEST WSZYSTKIM, CZEGO PRAGNĘ.

I NIC NA TO NIE PORADZĘ.

NIE UMIEM TEGO LEPIEJ UJAĆ, TAK PO PROSTU JEST.

A MOŻE PO PROSTU...

-----  
ODPOWIEDZIĄ JEST PATI.

PATI WIE I ROZUMIE.

I BĘDZIE WIEDZIAŁA RÓWNIEŻ, JAK TO WYTŁUMACZYĆ.

34

– Kupiłem bilet. – Janek zapowiada się przez telefon, dzwoniąc do mnie następnego ranka.

– Na kiedy?

– Na szóstego lipca.

To już za tydzień, myślę.

– Cieszę się. Słuchaj, mam pytanie, czy ty wiesz, co jest w tej dużej skrzyni, w której Malwina trzymała pamiątki z domu? – Przygotowuję sobie teren do trudnej rozmowy.

– To ona tam jeszcze stoi?

Może rzeczywiście nie wie.

– Stoi.

– Masz klucz?

– Nie mam.

– No to, niestety, ci nie pomogę. Może jak przyjadę... – mówi radośnie i zadaje pytanie: – Co w ogóle robisz? Jak książka?

– Dobrze. Została mi praktycznie sama końcówka.

– O czym to jest?

– O wszystkim. Głównie o nas. Cieszysz się?

– Raczej boję. – Śmieje się. – Nadal piszesz książki po polsku na francuskiej klawiaturze i potem dopisujesz polskie znaki?

– Nadal – przyznaję zawstydzona i dodaję: – I ciągle sześcioma palcami.

– Szalona – wzdycha. – Kocham cię, wiesz?

– Wiem. Wiem. Ja ciebie też, braciszku. Ja ciebie też...

Już się żegnamy, już mam się rozłączyć, jednak nie mogę dłużej czekać.

Zaczynam.

– Wiedziałeś o tym, że śmierć Roberta to nie było samobójstwo? – W słuchawce cisza. Domyślam się, co ona oznacza, więc po chwili pytam dalej: – Kto jeszcze wiedział?

– Wszyscy – oznajmia wreszcie. Ma smutny głos.

– Wszyscy? – Upewniam się i robi mi się słabo. Siadam, gdzie stoję. – Mama też?

– Skąd to wiesz?

– Z policyjnego dokumentu, z jego zeznania.

– Było w domu?

– Tak.

Janek wzdycha, po czym zaczyna:

– Po pogrzebie Marnixa do Claude'a i Malwiny przyszedł znajomy policjant. Ojciec Yannika. Opowiedział im o jego zeznaniach i dał im kopię protokołu. Zrobił dokładnie to, o co prosił go Marnix dwa miesiące przed śmiercią. Później Malwina opowiedziała o wszystkim naszej mamie i jego rodzicom, bo oni też nie wiedzieli. Nikt nie wiedział.

– Dlaczego Malwina to zrobiła? Żeby pogrążyć Marnixa? Żeby był winny?

– Nie. Nie o niego tu chodziło. – Reaguje zdziwiony moimi słowami.

– A o kogo? – pytam i ryczę.

– O matkę, której od lat serce krwawi, bo żyje z przekonaniem, że jej dziecko było tak nieszczęśliwe, że odebrało sobie życie. Nie rozumiesz tego? – Janek jest poirytowany.

– Ale Roberta nam to i tak nie wróciło.

– Nie wróciło, ale mama wreszcie zrozumiała, że to nie jej wina. Że to był



nieszczęśliwy wypadek. To chyba dobrze, nie?

– Tak – szepczę i myślę o tych czternastu latach, przez które myślała inaczej.  
– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie było z tobą wtedy kontaktu. Miałaś ciężki moment... Potem uciekłaś do Hiszpanii. Poza tym wszyscy uznaliśmy, że tak będzie lepiej. Dla ciebie – kończy, ale po chwili jeszcze dodaje: – To był wypadek. Pamiętaj o tym. Nie zapomnij, proszę...

Mój ciężki moment trwa już dziewięć lat. I zapominam o tym.

Kiedyś kostki do grania na gitarze walały się tu wszędzie. Teraz jedna leży na dnie skrzyni prawdy. Biorę ją, dotykam. Są na niej przecież odciski jego palców. Chucham na nią, jak na znalezioną szczęśliwą monetę. Niech przyniesie mi szczęście, bo mi go bardzo potrzeba, bo zaczynam od nowa. Marnix i Robert odeszli, ale mnie nie zostawili. Razem szaleją pewnie teraz u góry. Jak dawniej: muzyka, wino i pogaduchy do rana. Muszę sobie radzić bez nich. Zamykam kufer raz na zawsze i znoszę go do piwnicy. Niech tam zostanie.

Marnix jest białą kartką. Pustą stroną. Wolnym miejscem na papierze. Motylem. Tą małą plastikową kostką w mojej kieszeni. I już teraz pamiętam, co powiedział mi na łóżku w szpitalu. Wyszeptał do mnie: *Je te suivrai des yeux*. To były jego ostatnie słowa, zanim TO mi go zabrało. „Będę za tobą wodził oczami”. Zawsze się zastanawiałam, czy to oznacza, że będzie mnie pilnował i nie spuści ze mnie wzroku. Pewnie tak, skoro Roberta nie dopilnował. Odpowiedziałam mu, że go uwielbiam. Usłyszał, bo wargi drgnęły mu w kącikach ust. Dzięki Bogu, że drgnęły. Potem zapisałam jego słowa na odwrocie tego zdjęcia z szuflady. Żeby ich nigdy nie zapomnieć. Zapomniałam jednak, ale już tego nie zrobię. Obiecałam to sobie. Bo nie chodzi przecież o to, jak spadasz, ale jak się podnosisz.

A potem nastąpiła wielka pustka. A potem jutro i następne, i jeszcze kolejne jutra. Dziewięć lat ciszy. I jednak trzeba było wstać. Bo jakimś cudem zachciało mi się w końcu jeść, a dobijanie się do drzwi przez bliskich było już nie do zniesienia. Wstałam więc. Bo jak długo można tak siedzieć i patrzeć w ścianę? Całe popołudnie i wieki całe. Chciałoby się istnieć wiecznie, a jest się chwilę. Niewielu udaje się na zawsze pozostać młodymi. Niech im ziemia lekką będzie. Pod moimi butami ziemia jest twarda, wysuszona na pył, na pustynny piasek. A w duszy istna udręka. Ale to ja, a nie oni, budzę się rano głodna.

Po 2008 roku zaczęłam pisać książki. Mój ukochany Marnix jest w każdej z nich i zawsze będzie, mimo że żadnej nie zdążył przeczytać. Dziś mierzę sto siedemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu i mało ważę. Włosy mam brązowe, w tym dużo siwych. Oczy zielone. A on? Marnix ma wzrost długości piosenki i wagę

ciężaru znaczenia jej tekstu. Włosy sięgają mu do ramion, ciemne, rozwiane przez ciepły wiatr na nicejskiej plaży. Oczy patrzące na mnie z góry. Zielone.

\*

Zmarnować dziewięć lat? Tylko ja to potrafię. Czasu cofnąć się nie da. A szkoda, bo zmusiłabym się do życia wcześniej. Otrząsnęłabym się szybciej, żeby nie trwać w nicości. Tyle lat zmagania się z tożsamością i przynależnością, lata wstydu i udawania kogoś, kim nie jestem i nigdy nie byłam. Zmuszania się, żeby dogodzić i przypodobać się innym. Zachowaniem, książkami, dobrym akcentem. Wagą! Walczyć o akceptację. Stop. Koniec. W wieku trzydziestu ośmiu lat jestem sobą i u siebie. Piszę, jak piszę. Ważę, ile ważę. Jestem w Gourdon i jest mi tu dobrze. I już się nie zmienię. Zaczynam więc od nowa. Uczę się codziennie, uczę się całe życie, uczę się teraz. Na błędach oczywiście. Uczę się wypowiadać trudne słowa: rak, rak, rak, pasek, pasek, pasek. Konfetti. Zaczynam nowe. Obym się nie spóźniła. I dlatego muszę przestać się cofać, bo tamtych lat nikt mi już nie wróci. Podążyć wreszcie przed siebie, w linii prostej, w kierunku wskazówek zegara. Iść do przodu i nie oglądać się za siebie. Muszę się wyrwać przeszłości.

Kąpię się. Zmywam to wszystko z siebie i palę. Do woli. Bardzo dużo i do cna palę!

Magnus budowniczy znosi belki i narzędzia na podwórko. Patrzę na niego. Chcę takiego seksu, przy którym on będzie spocony, a ja będę mogła sobie pokrzyczeć. Bo nie mieszkam już w akademiku, bo nie ma obok dzieci, rodziców, sąsiadów. Bo wszystko mi wolno, bo jestem wolna, bo jego już nie ma. Kiedy znika w domu, szykuję się wreszcie. Biorę zimny prysznic, ale ochłodzenie trwa zaledwie kilka minut. Jest gorąco. Patrzę w lustro. Czeszę się i maluję rzęsy. Po raz pierwszy od... Od dawna. No dobra. Lepiej nie będzie. Idę. Widzi i wychodzi do mnie. Bez słowa łapię go za rękę i prowadzę do niego, na górę. W jego domu, w tym pokoju, nowe łóżko stoi dokładnie tam, gdzie stało tamto łóżko. Wszystko wyrzucił, wymalował, posprzątał, odświeżył. Po pomieszczeniu z gitarami nie ma śladu. I w tym samym miejscu obejmuję nogami innego mężczyznę. Tego wielkiego człowieka, który spadł mi z nieba. I myślę, że mi go tu przysłali, żeby o mnie dbał, żeby mnie chronił i kochał. Jego dłonie są ogromne, silne, kanciaste. Uścisk jednej z nich wystarczyłby, żeby zgnieść moją twarz. Jednak zamiast tego dotykają mnie delikatnie, głaszczą i pieszczą. Dłonie Magnusa są dla mnie miłe. Dobrze mi z nim i ufam mu nagle bezgranicznie, szalenie. Chcę zaczynać z nim od nowa, wypłynąć wreszcie na powierzchnię. Mam już głowę nad krawędzią, więc może się uda. Kochaj mnie, kochaj. Całuj mnie, całuj.

Patrzy mi w oczy i prosi:

– Obiecuj, że mnie nigdy nie zostawisz. Obojętnie, co się wydarzy.

Zaskakuj mnie, ale obiecuję. Choć nie powinnam.

– Nie zostawię – szepczę.

Zamyka oczy, ale i tak widzę, że płacze. Nie mam odwagi zapytać dlaczego. Olbrzym robi się kruchy. Nie-spodziewanie mieści się w mojej dłoni. Obsypuję go pocałunkami. Udało mi się znaleźć kogoś, kto wydaje się jeszcze bardziej samotny i zagubiony ode mnie. Podłość losu nie zna granic.

– Ładna jesteś, wiesz – mówi do mnie potem prostymi słowami.

– Mam same zmarszczki i pełno siwych włosów. Nie widzisz?

Uśmiecha się. Wreszcie się uśmiecha. Do twarzy mu z tym.

– Chcę wiedzieć, skąd pochodzi każda najmniejsza zmarszczka na twojej twarzy. I który kłopot odpowiada za każdy siwy włos. Opowiesz mi?

– Postaram się, ale potrzebujemy dużo czasu, bo to długa historia.

Chyba zaczynam się łapać na te jego proste słowa.

– Mnie się nie spieszy – odpowiada spokojnie i gładzi moją szyję.

– A ty kiedy coś mi o sobie opowiesz? – Próbuję szczęścia.

– Jak przyjdzie właściwy moment.

Dziś ojciec Yannika przyszedł uporządkować mój ogród. Wyrwał, obcinał i grabił cztery godziny. Musiałam siłą odciągać go od pracy. Teraz pijemy zimną lemoniadę na tarasie. Zaczyna:

– Kto ci posadził te róże pod płotem?

– Mój sąsiad, Magnus. Ładne, prawda?

– Tak. Wygląda na to, że się przyjęły.

– To dobrze. Mogłam mu powiedzieć, żeby dał je bardziej na środek, prawda?

– Nie, to róża pnąca, więc pod płotem będzie jej dobrze. Musi się o coś opierać i wspinać. Musi mieć pomoc.

– Rozumiem.

Ostre słońce praży nie do wytrzymania. Nie lubię ciągnących się bez końca popołudni, bo Marnix odszedł właśnie w tym najgorętszym momencie dnia, gdy usta wysychają z pragnienia i wszyscy z niecierpliwością wyczekują chłodu wieczoru. A ten tak odległy.

– Mogę pana o coś zapytać? – Wydobywam z siebie cichy głos.

– Oczywiście, dziecko.

– Znalazłam zeznanie Marnixa o wypadku mojego brata. – Słowo „wypadek” w zestawieniu z „moim bratem” pachnie jeszcze nowością. Spoglądam badawczo na mojego rozmówcę. Nie rusza się. Nie reaguje, więc kontynuuję: – Wtedy, jak przyszedł dobrowolnie do was na komendę i opowiedział, jak to

naprawdę było. Taki komputerowy wydruk z odręcznymi podpisami. – Robię przerwę, bo mam wrażenie, że mnie nie słucha. Myślę się jednak, bo pyta:

– I co chcesz wiedzieć?

– Był tam pan?

– Byłem. Dlatego na końcu jest mój podpis.

– Na początku jest informacja, że zarejestrowano to też na taśmie.

– Taka jest procedura. Za zgodą świadka nagrywa się całe zeznanie. No, chyba że świadek woli poczekać na adwokata, ale on nie chciał. Przyszedł i chciał to opowiedzieć i zapisać, a potem przekazać Malwinie i twoim rodzicom.

– Zastanawiam się, jak to możliwe, że wcześniej się to nie wydało. Mam na myśli fakt, że Robert umarł inaczej niż sądziliśmy. Nikt nie zrobił sekcji zwłok?

– Rodzina nie chciała. Malwina błagała, żeby go zostawić w spokoju. Poza tym nikt wtedy nie miał wątpliwości, że Robert się powiesił. To mała dziura. Wszyscy się przecież znamy. Wiedzieliśmy, że miał powody, że ukrywał swoją preferencję seksualną. Był młody. To były inne czasy. Lekarz sądowy znalazł na nim kilka stłuczeń, w tym to z tyłu głowy, ale cała rodzina jak jeden mąż, zeznała, że twój brat i chłopak ciągle się szamotali. Młody Lanteri miał tych siniaków nawet -więcej niż denat. Ty też to powiedziałaś. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. Tak. To Robert zawsze zaczynał. – Za-mykam oczy i przypominam sobie te wszystkie chwile, kiedy go zaczepiał. To był chyba jego jedyny sposób na cielesną bliskość z ukochanym.

– A potem, po śmierci Marnixa, skotaktowaliśmy się z twoimi rodzicami. Kiedy dowiedzieli się prawdy, odetchnęli z ulgą. W pewnym sensie. Nie chcieli ekshumacji. Uszanowaliśmy ich wolę.

– Czy policja ma jeszcze tę taśmę? – Wznawiam rozmowę po chwili zamyślenia.

– Na pewno leży w archiwach. Dlaczego pytasz?

– Mogłabym mieć do niej dostęp?

Zastanawia się.

– Można napisać prośbę do prokuratora o udostępnienie. Jak dobrze ją umotywujesz..., że jesteś z rodziny... Mieliście ślub?

– Ja i Marnix? – pytam i myślę. Podpisywać papiery? Po co, skoro cały wszechświat wiedział, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

– No a kto?

– Nie. Nie mieliśmy. Ale chodziło przecież o śmierć mojego brata.

– No tak. Z dobrą motywacją powinno się udać.

Były policjant milknie, a ja zastanawiam się, co mogłabym napisać w liście motywacyjnym.

– Dlaczego chcesz odsłuchiwać te nagrania, skoro wszyst-ko masz spisane słowo w słowo? – Brunon przerywa moje rozmyślenia.

– Bo... – Waham się, aż w końcu pozwalam sobie na szczerość: – Cudownie byłoby jeszcze raz usłyszeć jego głos. I nie w piosence, ale taki naturalny...

Starszy pan spogląda na mnie z politowaniem. Dopija swój napój, po czym wyznaje:

– Nie chcesz tego słuchać, wierz mi. Kaszłał tak bardzo, że myślałem, że mi się tam udusi. A dokument, który masz u siebie, trzeba było drukować trzy razy. Kiedy podsunąłem mu pierwszą kartkę do podpisu i kazałem, by najpierw wszystko przeczytał, zwymiotował na nią. Czytając drugi egzemplarz, ryczał jak dziecko. Był purpurowy i rozpalony. Zamazał połowę strony. Dopiero trzecia wersja nadawała się do podpisania. On naprawdę nie miał wtedy szczęśliwego głosu. Daruj sobie, dobrze ci radzę.

Daruję. Odpuszczam sobie i jemu. Rozgrzeszam nas, bo zaczynam od nowa, zanim dopadnie mnie amnezja. Wychodzę do ludzi i patrzę im w oczy. Wącham. Kiedy ponad dwadzieścia lat temu po raz pierwszy zwiedzałam fabrykę Galimard, musiałam wyjść w połowie wizyty. Od mocnego zapachu kręciło mi się w głowie. Teraz aromat perfum jest wciąż intensywny, ale wytrzymuję. Odkrywam to miejsce na nowo. Lazurowe Wybrzeże pachnie ostro kwiatami, owocami morza i serami. W sklepie w Gourdon na półkach z mydłami króluje kolor lawendy. Potem jedziemy z Magnusem na ostrzygi do Cannes. Spacerujemy po plaży. Patrzymy na statki. Chciałabym wyruszyć w rejs dookoła świata. Sprawdzić, czy aby na pewno Marnixa gdzieś tam nie ma. Upewnić się, że nie gra na gitarze, nie patrzy na coś zielonymi oczami. Nie spija beze mnie pysznego wina. Może kiedyś, jak moje książki będą w twardej oprawie, będę miała za co...

Czas mnie oszukuje. Bawi się ze mną w ciuciubabkę. Raz go dużo, raz mało. Teraz wszystko zwalnia. I nie wiem, czy mam biec, czy odpoczywać. Zrywać się do sprintu? Żyć szybko i łapczywie czy mądrze i powoli? Kończyć tę książkę czy przedłużać w nieskończoność? Dopisywać fragmenty tak, aby zachować określone przez kogoś jako właściwe proporcje? Tak jakby życie miało równe części i zarówno działa się w wyznaczonym rytmie, jak i przerywało w odpowiednim momencie. A przecież często kończy się nagle i niespodziewanie. Może więc ta książka też powinna tak właśnie się skończyć? Wczoraj byłam dzieckiem, dziś jestem kobietą. Miałam być młoda całe życie. Co się z tym, do cholery, stało? Lekarz mówi mi, że mam amnezję dysocjacyjną i że pewnie znów kiedyś mi to wróci. Jest na to hipnoza, są leki, ale czy aby na pewno nie mam ochoty przeżywać tego raz jeszcze? Nie. Bo nie mogę w nieskończoność patrzeć, jak umiera ten, którego kocham, i jak zjeżdża do ziemi trumna mojego brata. Nie mogę i nie chcę. Słucham jego piosenek. Wspominam nas i Roberta. Wszystkie dobre chwile. Celebрую pamięć o nich. Te wszystkie poranki, kiedy budziłam się, żeby być z jednym. Wszystkie wieczory, żeby trwać z drugim. Tu, właśnie w tych domach.

Wcześniej ciągle tęskniłam za tym miejscem i teraz jest moje, a nie cieszy. Fioletowe poranki nad polami lawendy i moczenie stóp w Le Loup popołudniami są już na zawsze wpisane w moją historię. Wspominam nasz śmiech, miłość i ściśnięte dłonie. Oddycham lasem, oddycham różą majową i słucham świerszczy. Jestem u siebie. Sprowadzam resztę rzeczy z Nowego Jorku, z Legnicy, z Nicei. Urządzam się na nowo. Obraz nawet wrócił. Młoda dama znów ubiera choinkę na ścianie mojej sypialni. Jest tam, gdzie powinna, gdzie jej miejsce, tak jak ja, tutaj. Staram się, bo mama zawsze do mnie woła:

– Pati, wyprostuj się!

To prostuję plecy. Naginam rzeczywistość. Stawiam się do pionu. Życia nie da się przeżyć raz jeszcze, ale można nadać mu nowe znaczenie i wykorzystać te dni, które nam zostały. Tak jak robił to mój ukochany. Wreszcie pojęłam jego wielką lekcję. Będę korzystać. Będę żyć. Obiecuję!

Sielanka trwa od pięciu dni. Jem. Śpię. Jest mi dobrze. Magnus to kochany człowiek. Może uda mi się go nawet zachęcić do czytania książek. Jestem okropna. Nawet jak kogoś lubię, to od razu chcę go zmieniać. Nie powinnam, przecież Magnus nieczytający książek to Magnus, jakiego znam najlepiej. Może tamten byłby całkiem inny? Może byśmy się nie dogadali?

Zadzwoiłam do jednej ze szkół, którą znalazł dla mnie Janek, i po czterech dniach z samego rana idę na rozmowę kwalifikacyjną. Cieszę się, że w końcu coś się dzieje, że jest jakiś nowy początek. Czuję się lepiej. Nie mam już tych wszystkich dolegliwości, które podświadomie przejęłam po Marnixie. Nie boli mnie głowa, nie cierpię. Cała prawda o przeszłości dochodzi do mnie powoli. Staram się o tym za dużo nie myśleć. Zaczęliśmy porządkować rzeczy po Marnixie, które Magnus zniósł do garażu. Część z nich wyrzucę, resztę komuś dam lub sprzedam. Założę się, że ma jeszcze jakichś fanów, których zainteresują ręcznie pisane nuty ich idola. Czarną gitarę zostawiam sobie. Magnus zawiesił ją na ścianie w moim salonie. Tym samym, w którym wiszą jelenie rogi. Nie podobało mu się, kręcił nosem, ale nic nie powiedział. Jak mój wypchany dzik. Jest małomówny. Najczęściej milczy i zajmuje się czymś w ogrodzie. Nie pali, ale przypala mi papierosy. Zostawia mnie samą, kiedy widzi, że zaczynam pisać. Nocą jeździ do pracy w zamku, a ja nabijam się z niego, że pewnie tam straszy.

W przeddzień moich urodzin odczuwam jednak niepokój. Od rana jestem nerwowa. Magnus znika na cały dzień, nie powiedziałam mu o jutrzejszym święcie. Chciałabym, żeby tu wszyscy byli: rodzice, Robert i Chudy, Malwina z Claude'em i Marnix. Ale będziemy tylko my: ja i Janek. Starszy brat przylatuje jutro, z nim będzie mi rażniej. Mam ochotę świętować, bo jest co. Jak nigdy wcześniej, szykuję więc jedzenie i ciasto. Kręcę się w kuchni od rana, z książką

kucharską Malwiny, zaafierowana. Dzwonię do mamy. Rozmawiamy. Zauważa we mnie pozytywną zmianę i jest nam obu lżej.

Powieść już skończona. Zrobiłam ostatnie poprawki i po południu wysłałam ją e-mailem do Poznania. Magnus wrócił z bukietem jasnoróżowych róż i wręczył mi go, kiedy przyszłam do niego wieczorem.

– Z jakiej to okazji? – pytam, zanurzając nos w ich miękkich płatkach.

– Dziś rano powiedziałaś, że skończyłaś książkę. To skończyłaś czy nie skończyłaś?

– Skończyłam.

– No to jest dobra okazja!

– Bardzo dobra. Dziękuję.

Zbliża się i całuje mnie delikatnie w usta.

– Zostaniesz dziś na noc? – szepcze mi do ucha.

– Jak chcesz, to zostanę.

– Oczywiście, że chcę.

Zostaję.

20 *Zielona wstążka* – amerykańska przypowieść ludowa o europejskich korzeniach.

## 6 LIPCA RANO

35

Przeciągam się leniwie. Ogromne ramię Magnusa doskonale zastępuje poduszkę. Tak dawno nie budziłam się z kimś, na kogo mam ochotę popatrzeć. Tak dawno nie budziłam się z kimkolwiek!

– Zapomniałem – mówi, kiedy otwiera oczy.

– O czym?

– O kawie na noc.

– To nic.

– Naprawdę?

– Jestem w stanie podnieść się bez niej. Choć najlepiej wstaje mi się po tym, jak zjem śniadanie w łóżku z jakimś przystojniakiem.

– Rozumiem. – Całuje mnie w czoło. Spogląda na zegarek. – Jak mają być croissantsy, to musisz poczekać.

– Poczekał – odpowiadam zalotnie i się uśmiecham.

Wstaje, bierze czyste ubrania z szafy i znika na dole. Po chwili słyszę odjeżdżający samochód. Dawno nikt mnie tak nie traktował. Zaczynam czuć się chciana, a może nawet kochana. Bo uwielbiana to już pewnie nigdy nie będę. To się zdarza tylko raz. Czekam na niego i rozmyślam. Przedstawię go dziś Jankowi. Jednak nie mam zamiaru mówić mu o naszej zażyłości. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie wiem, co z tego będzie. Wolę być ostrożna, bo Janek może szybko wygadać się rodzinie.

Nagle słyszę dźwięk mojego telefonu. Komórka jest w kieszeni spodni, które leżą gdzieś na podłodze. Rozglądam się, ale ich nie widzę. Zaglądam pod łóżko. Są tam zaplątane w jeansy Magnusa, których pozbywał się wczoraj w przyspieszonym tempie. Szarpię za kołtun ubrań i dokopuję się do wibrującego telefonu. Chwytam i odbieram.

– Patrycja?

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Yannik.

W tym momencie z naszych zaplątanych ubrań coś z donośnym dźwiękiem wypada na podłogę. Wychylam się. Patrzą. Klucz. Znam go. Po-szukiwany od dwóch tygodni klucz od mojego kufra. Wypadł i leży.

– Jesteś tam? – Yannik dopytuje się zdziwiony.

– Jestem.



– Mam dla ciebie interesującą informację.  
– O co chodzi? – dukam, nie spuszczać wzroku z klucza.  
– O twojego sąsiada.  
– Mów!  
– Nigdy nie miał żony. Przynajmniej nie ma na to żadnych dokumentów.  
– A dziecko?  
– Jeszcze nie znaleźliśmy.  
– To dlaczego tak twierdzi?  
– Nie wiem. Ale to jeszcze nie wszystko. – Na jego słowa serce zaczyna bić mi szybciej. – Pamiętasz ten włos, który znalazłem w twojej skrzyni w salonie?  
– Pamiętam.  
– On należy do Cassy.  
– Co? – Zasycha mi w gardle i chcę, żeby zmienił odpowiedź. Niestety, nie zmienia.  
– To, co słyszysz.  
– Co to może oznaczać?  
– Jeszcze nie wiem, ale najprawdopodobniej ktoś, kto ją porwał, majstrował przy twoim kufrze. Albo robiła to sama Cassy.

Chciałabym coś odpowiedzieć, ale nie potrafię. Klucz od omawianego kufra leży przed łóżkiem i nie wiem, co z nim zrobić. Skąd tu się wziął? Pytam sama siebie, choć od razu domyślam się odpowiedzi. Wypadł przecież z jego spodni. W końcu odzyskuję głos:

– Ile ta Cassy ma lat?  
– Trzy.  
– Myślisz, że zmieściłaby się do tej skrzyni?  
– Myślę, że tak.

Cichnie na moment, aż w końcu pyta: – Słuchaj, jesteś teraz u siebie? Możemy przyjechać? Musimy zabrać skrzynię. Pewnie jest w niej sporo włókien i dowodów. Trzeba wszystko przebadać.

– Możecie.

Siedzę na łóżku i nie mogę przestać wyobrażać sobie skulonego ciała tej małej dziewczynki, zwiniętej, przygarbionej, wepchanej do dużej drewnianej skrzyni. Klucz. Magnus. Cassy. Smród w salonie. Chyba powinnam stąd uciec i to jak najszybciej. Za późno. Słyszę już jego kroki na schodach. I obiecuję sobie jedno: za nic w świecie nie zejdem do ciemnej piwnicy. Przysięgam: za nic!

– Jestem – mówi radośnie i popycha drzwi nogą. W rę-kach niesie dużą tacę. Ciepła kawa, mleko, cukier. Croissanty i czerwona róża. Spogląda na mnie i poważnieje.

– Coś jest nie tak?  
– Nie. Wszystko w porządku. – Próbuję zamaskować przerażenie.

– Masz minę, jakby coś się stało. Ktoś dzwonił? – Rzuca okiem na moją komórkę, którą ciągle ściskam w dłoni. Tak mocno, że posiniały mi palce.

– Janek... Będzie tu dzisiaj.

Lata powtarzania kłamstw wreszcie się na coś przydają.

– O której?

– Wieczorem.

Podchodzi, kładzie tacę na ziemi, po czym rzuca okiem na podłogę. Na spodnie. Na sto procent widzi klucz. Nie może być inaczej. Leży na środku jak na scenie. Po prostu rzuca się w oczy. Magnus wraca wzrokiem do mnie i pyta najspokojniej w świecie:

– Kawy?

– Proszę.

Siada obok i podaje mi ciepłą filiżankę. Kulę się. Uspokajam kłębiące się myśli. Jak się skupię i nad sobą zapanuję, to może się uda. Zaraz będzie tu policja. Siedzimy tak w ciszy. Magnus patrzy na ścianę i siorbie kawę. Szczeka mu dziwnie pulsuje. I nagle moja komórka znów zaczyna dzwonić. Podskakuję i wylewam pół gorącego napoju na pościel. Na wyświetlaczu widzę, że to Yannik. Wyłączam. Nie odbieram. Mój kochanek spogląda na mnie podejrzliwie.

– Przepraszam. Zaraz to posprzątam.

– Nie trzeba.

– Trzeba.

– Kto dzwonił? – Zadaje pytanie i w tym samym momencie chwyta za aparat. Nie odpowiadam, a on wyświetla ostatnie połączenie. Wybiera numer i słucha. Nie ruszam się. Patrzę na niego. Modlę się. Jest skupiony. Wyłącza telefon i spogląda na mnie niezadowolony. Chcę wstać, chcę uciec, podnoszę się powoli. Ale łapie mnie za ramię i cedzi przez zaciśnięte zęby, przygniatając do mokrego łóżka:

– Siadaj. Zjemy tutaj.

Trzęsą mi się ręce i chyba nie potrafię się opanować.

– Tęsknisz za nim? – dodaje.

– Za kim?

– Wiesz, za kim. Przyznaj się, że za nim tęsknisz.

Nie wiem, co powiedzieć, bo obojętnie, co powiem, nie spodoba mu się. Ale muszę go jakoś przetrzymać, żeby dać czas Yannikowi. No, chyba że skłamię, ale wtedy mi nie uwierzy. Już mnie jednak trochę zna. Nierozważnie byłoby ryzykować. Chcę, żeby mi ufał, bo tylko wtedy może uda mi się żywej wydostać z tego pokoju.

– Myślę o nim czasami. Nawet tęsknię od czasu do czasu. No, ale nie daj się zwariować. Mówimy o kimś, kto nie żyje od dziewięciu lat. – Przybieram możliwie najłżejszy ton. Zerkam na niego, ale nie odrywa oczu od ściany. No dawaj!

Odpalaj! Strzelaj! Jestem gotowa. Znam to na pamięć. – Przepraszam, nie wyrażam się chyba zbyt jasno... – dodaje. Spogląda na mnie wreszcie.

– Ale o kim ty mówisz?

– O Marnixie, a o kim?

– W dodatku kłamiesz! – Podnosi głos. Jest naprawdę rozzłoszczony.

– O co ci chodzi? Kogo masz na myśli?

– Tego glinę, który ciągle się koło ciebie kręci. Myślałaś, że jestem ślepy?

Że nie widzę?

– Yannik?!

Nabieram powietrza i je zatrzymuję. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. On jest jednak prostakiem. Niczego nie rozumie...

– Nie musisz mi nic tłumaczyć. Po prostu wstań i wyjdź. Nie chcę cię tu więcej widzieć – rozkazuje mi z zaciśniętymi pięściami. Boję się. Wysuwam się z łóżka i sięgam po ciuchy rozrzucone po podłodze. Zakładam je najszybciej, jak mogę. Magnus jest spięty. Jego twarz drży nerwowo i unika mojego wzroku. Stoi i nic nie mówi. Chwytam klucz, pokazuję mu go. Jak igrać z ogniem, to na całego.

– A klucz?

– Co klucz?

– Skąd go masz?

– Znalazłem! – wrzeszczy.

– I nic mi nie powiedziałaś?!

– Zapomniałem – krzyczy niezadowolony. Robi się purpurowy. – Bierz go i znikaj!

Chce mi się płakać, ale się powstrzymuję. Biorę klucz i chowam do kieszeni. Kiedy już ruszam w kierunku drzwi sypialni, słyszemy samochód wjeżdżający na podwórkę. Jeden, a zaraz za nim drugi. Magnus wygląda przez okno, nie odsuwając firanki.

– Policja. Tak jak mówiłem... I to w większym gronie. To z pewnością do ciebie. Wiedziałem. – Kończy teatralnym tonem i odwraca głowę w moim kierunku. Trzęsę się, ale tym razem nie ze strachu. Raczej z przejęcia. A może dlatego, że jest mi przykro, bo miałam rację.

– Nie, kochanie. To *twoi* goście – zapowiadam, mierząc go wzrokiem.

## 6 LIPCA WIECZOREM

36

– Nie dałaś się, siostra! – Janek wznosi toast.

– Dałam, ale na szczęście przybyłeś na czas.

Jeszcze nie mogę uwierzyć, że to prawda. Żyję!

– W ostatniej chwili... – Wzdycha i pije wino.

– Czy to nie cud, że postanowiłeś przyjechać wcześniej i zrobić mi niespodziankę? Gdyby nie to, nie wiadomo, jakby się wszystko skończyło... Najlepsza niespodzianka na świecie, braciszku.

– To Robert.

– Co Robert? – Spoglądam na niego zdziwiona.

– Pamiętasz, jak zawsze organizował ci niespodzianki w poranek waszych urodzin? Wpadał do two-jego pokoju nad ranem, żeby być pierwszy z życzeniami.

– Rzeczywiście. Teraz mi się to przypomina. – Po-stanowiłem, że ukradnę mu pomysł.

– I jeszcze, żeby mi wszystko pochować i poprzestawiać. Dzięki za przypomnienie. – Zamyślam się. Janek też. Wracam do tamtych chwil, do poranków, kiedy wskakiwał na moje łóżko, krzycząc: „Wszystkiego najlepszego!”. Budził cały dom, a czasami nawet dwa, bo od 1985 roku wszystkie nasze urodziny świętowaliśmy tutaj.

Dzwonek do drzwi. Moi kolejni wybawiciele przychodzą na zasłużoną kolację. Brunon i Yannik. Dziś rano wpadli do domu Magnusa razem z Jankiem. Gdyby nie ta dwójka, już może by mnie nie było. Potem cały dzień spędziliśmy razem na komisariacie. Krew znaleziona na folii w aucie rzeźnika należy do Cassy. Tak jak włos ze skrzyni. Nie wiem, jak Magnus mógł to przeoczyć. Jak to w ogóle wszystko zrobił?

– Co zeznał? – pytam, kiedy siedzimy w kuchni, wpatrując się w deser. Wolę myśleć, że nikt już nie jest głodny, a nie, że źle gotuję.

– Że przekopaliśmy nie ten ogród, co trzeba – mówi Yannik.

– O mój Boże...

Będziemy szukać. I musimy cię jutro znów przesłuchać. Przykro mi – odpowiada i przeciera zmęczone oczy.

Kopcie pod różą.

Spogląda na mnie i dodaje:

– Tam zaczniemy.

– Przyznał się?

– Tak.

– Ile dostanie?

– Nie wiem. Papiery ze Stanów przysły czyste. To dosyć dziwne śledztwo.

Poza tym nie wolno mi rozmawiać z tobą o szczegółach. Dowiesz się w swoim czasie.

– Rozumiem.

Oddycham z ulgą, ale tylko częściową. Przepraszam towarzystwo i wychodzę przed dom. Nie wpadłam w las świerków. To one na mnie wpadają. Otaczają swoim zapachem i piskami popielic. Nie zapomniałam ich nigdy, choć wychodzi na to, że pamięć mam selektywną. Przed drzwiami leży żyrandol z jelenich rogów. Kazałam go dzisiaj zdjąć. Jutro go gdzieś wywiozę. Daleko stąd. Noc jest przyjemna i wsłuchuję się w cykanie świerszczy. Pamiętam, jak Marnix stał tu kiedyś z nowiutkim beżowym gibsonem i śpiewał mi pod oknem, bo się na niego obraziłam. Serenada za serenadą. Tak doradziła mu moja ciotka. Zadziałało. I choć moja głowa jest przepelniona myślami o nim, nie mam już ani odrobiny jego smaku na języku. Zapach na poduszce wyparował i ciemne długie włosy na szczotce też zniknęły. Jego już po prostu nie ma. Tak jak Roberta i Malwiny. Z kieszeni wyjmuję nasze zdjęcie ze szpitala. Patrzę na nie i piję za pamięć, za miłość, za życie. Bo tyle mogę.

I każde jego złe słowo do mnie wypowiedziane, głośno w złości czy cicho w rozczarowaniu, zakorzeniło się w mojej głowie na zawsze. Pamiętam je wszystkie, ich dźwięk i znaczenie. I dziś wybaczam mu każde z nich, każdą ich melodię i sylabę, bo już umiem. Bo już mogę.

Ojciec Yannika pojawia się u mego boku z kieliszkiem czerwonego wina.

– Da się ściągnąć tego dzika ze ściany w korytarzu? – Zaczynam.

– Wszystko się da, ale po co? Malwina nie byłaby z tego zadowolona.

– Nie lubię go. Denerwuje mnie. Mam wrażenie, że ciągle się na mnie gapi.

– Dziwisz się? Nudzi mu się pewnie...

Uśmiecham się.

– Ciekawe, kto go ustrzelił – wzdygam.

– Tak się składa, że ja – odpowiada i zanurza usta w winie. Spoglądam na niego z zaciekawieniem i decyduję:

– To niech wisi.

Stoimy w ciszy. Patrzymy na gwiazdy. Po chwili odzywa się:

– Już teraz wiem, kto miał zapasowy klucz do skrzyni.

– Tym razem to ja – odpowiadam półgłosem i w końcu rozumiem ciężką

wagę tego posiadania i jego konsekwencje. – Ale kto tam to wszystko włożył? – dodaje.

– Malwina. I w dodatku kazała pochować się z tym kluczem. Zapytałem, co jest w kufrze i kto ma drugi klucz, ale nie chciała powiedzieć. Parę tygodni przed śmiercią, na jej prośbę, przywiozłem pasek i zachowaną część listu od Marnixa.

– Czy to normalne, że odzyskała te rzeczy? Nie były dowodami w sprawie? – Zastanawiam się. Nie znam się na prawie, ale wydaje mi się to dziwne.

– Jak już wspominałem, śledztwo zostało umorzone bardzo szybko. Poza tym powiedzmy, że byliśmy przyjaciółmi długiej daty. Umierającemu trudno odmówić. Zastanawia mnie tylko ten drugi kawałek listu, o którym mówił Marnix. Na pewno go nigdzie nie ma? Chyba nie zapadł się pod ziemię.

– Może rozplątał się w powietrzu? – Gadam bzdury, wpatrując się w Wielki Wóz na czarnym niebie. Nocne niebo Gourdon jak zwykle jest pełne gwiazd. Chcę raz na zawsze zamknąć ten rozdział, żeby jutrzejszy dzień był pierwszym w moim życiu, kiedy o tym nie pomyślę.

– Może... Albo zapytajmy dzika, może on coś widział. – Brunon Legrand wzdycha i uśmiechając się lekko, obejmuje mnie ramieniem. Widział wszystko, a może nawet więcej. Brunon to rozumie. Teraz oboje spoglądamy w górę. Patrzymy na nich. A oni? Pewnie spoglądają na nas.

Magnus Wielki. Magnus tajemniczy. Magnus małomów-ny. Zamknięty w sobie. Ogromny, a taki maluczki. Trudno mi w to uwierzyć. Gdzie prawda, gdzie fałsz? Co wydarzyło się w jego życiu, że tak się pogubił? Co jest w jego skrzyni, co pod ciężkimi powiekami? Skąd brak uśmiechu i serce z kamienia, na które dałam się nabrać? Nie wiem. Przez Gerde? Może. Nie tłumaczę, nie usprawiedliwiam, nie rozumiem. Ciężko mi z tym, nie ukrywam. Czy to dlatego, że po tym wszystkim chciałam uwierzyć, że znów potrafię z kimś być? Ojciec Yannika mówi, że nie powinnam się obwiniać. Że to dzięki mnie go złapali. Ale jak tego nie robić, skoro tyle dni patrzyłam na ten kufer i bałam się do niego podejść? Jestem dobra w obarczaniu się winą, mam wieloletnią wprawę. Tym razem jednak muszę się tego pozbyć, inaczej znów spadnę na dół, a nie chcę. Myślę o nim, siedzącym w ciemnej więziennej celi, ale przez krótki moment. Myślę o Cassy, długo. Nie zamierzam jednak dumać nad tymi miesiącami, bo przecież muszę zaczynać od nowa. Rano wstaję więc silna. Silniejsza niż wcześniej, niż wczoraj. Zastanawiam się tylko, co z domem Marnixa. Chciałabym go kupić, ale nie mam za co. Może powinnam wziąć się w końcu poważnie za pisanie?

I żyli długo i szczęśliwie.

Nie.

*A gdy mnie sen zmorzy, zakradnij się i pozbaw mnie twarzy.*

*Powoli zedrzyj skórę, uwolnij mnie od rysów tych przeklętych.  
A z gliny ulep mi kobiety prostej twarz.  
I nową daj tożsamość. Nauczę się, nauczę jej na pamięć (...)21.*  
37

Szesnastego sierpnia 1994 roku wpadłam do domu Mal-winy zziajana. Nie z gorąca i biegu, ale z podniecenia. Nie mogłam się opanować. Musiałam to z nim skonfrontować. Jak szalona biegałam po wszystkich piętrach i pomieszczeniach. Góra, dół. Szukałam go. Wołałam. Bez skutku.

– Widziałas Roberta?

– Kręcił się tutaj – powiedziała mama, szykując koszyk na kuchennym stole. Tato siedział obok i skręcał stare radio.

– Gdzie on może być? – Zastanawiałam się głośno, ale nikt mi nie odpowiedział.

Za drugim razem popędziłam na górę jeszcze szybciej niż za pierwszym. Nie było go. Nigdzie. Widział nas. Wie. Już wie na pewno. Na sto procent, bez żadnych wątpliwości, jak wtedy, gdy tylko się domyślał. Teraz wreszcie wszystko jest jasne. Oprócz tego, gdzie się podział. Robercie, musimy pogadać. Robercie, wszystko ci wytłumaczę. Beksa, gdzie jesteś?

– Widziałes Roberta? – To samo pytanie zadawałam każdemu napotkanemu domownikowi.

– Nie – odpowiadali.

Chudy tylko wzruszył ramionami.

– Mógłbyś odpowiadać, jak ktoś cię o coś pyta? – Do-rzuciłam stanowczym głosem starszej siostry i otworzyłam kolejne drzwi. Krzysio spojrzał na mnie spode łba. Wycofał się, schodząc bokiem schodów i ocierając o ścianę. Powoli, tak żeby nikt go nie zauważył. Lubił wtapiać się w tło.

– Co się dzieje? – Głos Malwiny dobiegł mnie z dołu.

– Szukam Roberta – wykrzyczałam, wznosząc ręce w teatralnym geście.

– Przecież przed chwilą był na podwórku. – Spojrzała na mnie zaciekawiona.

– Coś się stało?

– Nie, nic – skłamałam.

– Jedziemy na targ w Grasse. Jak chcesz jechać, to się szykuj – zawołała mama.

– Zaraz schodzę – rzuciłam, wracając do jego pokoju. Skoro był na podwórku, to może poszedł do Marnixa. Dobrze, niech sobie to wyjaśnią razem, po męsku. Jak facet z facetem. Zatrzasnęłam drzwi. Usiadłam na łóżku i zastanawiałam się, jak mogłaby wyglądać ta ich rozmowa. Wyobraziłam sobie Roberta chodzącego w kółko, nerwowo po pokoju, i Marnixa siedzącego spokojnie w fotelu z gitarą w ręku, wyznającego mu, że to mnie ostatecznie wybiera. Burza i

spokój. Złość i opanowanie. Ja wybranką. Ja królową. Ja jego jedyną. Na wieki wieków. Amen.

– Pati! Idziesz? – Głos mamy wyrwał mnie z zamyślenia.

– Już schodzę! – odburknęłam.

Wkurzył mnie tym swoim zniknięciem, to ze mną powinien najpierw pogadać. Tchórz. Beksa. Pajac! Teraz pewnie mnie znienawidzi, myślałam. Co dalej? Jak teraz będziemy żyć pod jednym dachem?

– Patrycja! Jedziemy!

– Idę! – odkrzyknęłam i podniosłam się. Rozpierała mnie energia. Pozytywnie naładowana zwycięstwem nad bliźniakiem uśmiechnęłam się i zaczęłam przesuwając jego łóżko. Powoli, z całej siły. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Słaba wersja jego wieloletniego dowcipu. Najśłabsza na świecie... Nagle wyjący klakson samochodu zagłuszył turkot silnika. Musiałam się spieszyć. Wszyscy czekali. Poduszkę upchałam do szafy, a śmierdzące tenisówki postawiłam na parapecie za oknem. Chwyciłam jeszcze leżącego na szafce gameboya i schowałam pod materac. Moja ręka napotkała tam śliski papier. Zdjęcie Marnixa grającego na gitarze zrobione moim polaroidem, który dostałam na Gwiazdkę rok wcześniej. Wsunęłam je do kieszeni. Marnix Lanteri już był mój. I na zdjęciu, i w realu. Nie jego, tylko mój. Wyłącznie mój. Rozpierała mnie duma. Z uśmiechem zwycięzcy, wychodząc z pokoju, odwróciłam się jeszcze i rzuciłam okiem na całość. Łóżko Roberta stało teraz na samym środku, odkrywając zakurzoną podłogę przy ścianie. Moje na wierzchu. Wkurzy się, jak to zobaczy, pomyślałam zadowolona, i pędem zbiegłam po schodach. Jak na skrzydłach. Zjechałam z gracją, ostatni kawałek ześlizgując się gładko po poręczy niczym zjawiskowy łabędź. Wpadłam do auta Claude'a niczym wiatr burzowy. Zakochana, pewna siebie i szczęśliwa.

Ruszyliśmy.

– Znalazłaś go? – zapytała mama, spoglądając na mnie z uśmiechem, i przeczesła mi ręką włosy.

– Nie. – Oderwałam wzrok od migoczących w słońcu choinek przy drodze.

– Pewnie jest gdzieś z Marnixem.

– Pewnie tak. – Wzruszyłam ramionami.

21 Katarzyna Nosowska, Piotr Banach, *Gdy mnie sen zmorzy*, w: Hey, ?, Izabelin Studio, 1995.



## SZEŚĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

38

Długa przerwa. W pokoju nauczycielskim sadowię się na kanapie w ulubionym rogu przy oknie i z dala od krzyków dzieci delektuję się chwilą upragnionej ciszy. Jak zwykle nikt się nie przysiada, kawę piję więc w samotności. Każdy ze swoim smartfonem chowa się w innym kącie. Niektórzy wdają się w dyskusje o pracy. Za oknem mokro i szaro. Wczorajszy numer „Nice-Matin” leży na szklanym blacie ławy, który od dawna straszy zaschłymi śladami po kawie i herbacie. Gazeta rzuca mi się w oczy. Błaga, żeby ją wziąć do ręki. Ulegam i czytam artykuł z pierwszej strony.

„Zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci oraz zacierania śladów i dowodów przestępstwa usłyszał mieszkający w Gourdon obywatel Stanów Zjednoczonych, Magnus H. (43 l.) Przebywający od sześciu miesięcy w areszcie tymczasowym w zakładzie karnym w Grasse Amerykanin ostatecznie przyznał się do śmiertelnego postrzelenia trzyletniej Cassy Plume dwudziestego trzeciego czerwca tego roku. Dziś odbyło się pierwsze posiedzenie sądu w tej sprawie.

Dwudziestego drugiego czerwca po godzinie czternastej Cassy zaginęła w okolicach swego domu na skraju lasu. Policja po kilkunastu godzinach od zaginięcia dziewczynki rozpoczęła kroki śledcze i wspomagana ochotnikami z regionu prowadziła skrupulatne poszukiwania dziecka przez ponad trzy tygodnie. W tym czasie komenda policji w Grasse otrzymała informację o możliwości popełnienia przestępstwa od chcącej zachować anonimowość mieszkanki Gourdon. Ten kluczowy element skierował uwagę śledczych na pierwszego i jedynego podejrzanego w sprawie: Magnusa H. Początkowo, z braku dowodów, po przesłuchaniu i rewizji jego miejsca zamieszkania, mężczyzna został jednak zwolniony. Tydzień później, po laboratoryjnej analizie znalezionych na miejscu śladów, oraz pojawieniu się nowych elementów w sprawie, policja ostatecznie wytypowała go na sprawcę.

Przy drugim zatrzymaniu oskarżony przyznał się do spowodowania śmierci dziecka. Magnus H. zeznał, że podczas nocnego polowania na zwierzynę (działając na legalnej licencji myśliwskiej i z zarejestrowaną bronią, należąca jednak do kogoś innego, przyp. red.) w okolicach Cipières, wystrzelił w kierunku poruszającego się w ciemności celu, będąc przekonany, że widzi sarnę. Doświadczony myśliwy oddał jeden strzał, który trafił dziecko w klatkę piersiową.

Ofiara poniosła śmierć na miejscu. Pechowy strzelec zeznał policji, że po odkryciu swojego »łupu« doznał szoku i działał pod wpływem emocji. Nie poinformował policji o nieszczęśliwym wypadku. Przez ponad tydzień ukrywał zwłoki dziewczynki w swoim domu, jak również przez trzy dni w domu swojej sąsiadki (bez jej wiedzy, przyp. red.), następnie zakopał je w ogrodzie tej ostatniej. Przy drugim zatrzymaniu Magnus H. wskazał miejsce wypadku i lokalizację ukrycia zwłok funkcjonariuszom prawa. Zlecona przez prokuraturę sekcja zwłok dziewczynki i badania biegłych potwierdziły zarówno tożsamość dziecka, jak i prawdopodobieństwo wersji zdarzeń przedstawionej przez podejrzanego.

Jak ustaliła policja, Magnus H. z zawodu budowlaniec i doświadczony taksydermista z zamiłowania, dwa lata wcześniej stracił trzyletnią córkę w wypadku samochodowym, którego nie był sprawcą. Od tego czasu cierpi na zdiagnozowaną depresję, na którą leczy się farmakologicznie. Matka dziecka, żyjąca z nim sześć lat w konkubinacie, opisała oskarżonego jako ciepłego, dobrego i spokojnego człowieka, który załamał się po śmierci córki. Magnus H. opuścił Stany Zjednoczone w styczniu tego roku w celu rozpoczęcia nowego etapu w życiu. W lutym zarejestrował firmę budowlaną, która wykonywała prace remontowe w zamku w Gourdon. Mężczyzna zakupił też dom w okolicach miasteczka. Wcześniej niekarany, Magnus H. jest opisywany przez pracowników jako spokojny, zamknięty w sobie, ale uczciwy i wyrozumiały pracodawca. Jego proces rozpoczął się dziś rano w Sądzie Rejonowym w Grasse. Biegli sędziowie ocenią, czy śmierć dziecka była rzeczywiście wynikiem nieszczęśliwego wypadku. I przede wszystkim, czy po tragicznym zdarzeniu oskarżony działał w afekcie, czy z premedytacją, nie zawiadamiając odpowiednich organów ścigania i ukrywając zwłoki dziewczynki. Za te czyny zatrzymanemu grozi kara do dziesięciu lat pozbawienia wolności”.

\*

Po Gerdzie Heilbron nie zostało nic oprócz czerwonych plam na murze domu. Rozpędzone auto wystrzeliło jej małe ciało w górę, skąd spadło i rozbiło się o twardą ścianę. Od strony rodzinnego salonu z kominkiem. Przez otwarte okno jej kawałki wpadły nawet do środka, do kuchni i pokoju. Krew była wszędzie. Trzeba było długo sprzątać. Ojciec nie miał jak jej przytulić, ani nawet pochować, bo nie było czego.

Ciało Cassy przygotował jak trzeba. Godnie. Umył, uczesał, ubrał. Przytulił i oplakał. Włożył do drewnianej trumny. Ułożył wygodnie, wygładził materiał. Zakopał. Potem posadził różę na jej grobie. Wiem to, bo ktoś mi o tym mówił. Nie pamiętam kto, ale pewnie ktoś znajomy.

Wydarzyło się to w mojej miejscowości, a ja o niczym nawet nie słyszałam. Niektórych ludzi naprawdę spotykają wielkie nieszczęścia. Biedna Gerda, biedna

Cassy, biedny Amerykanin. Tyle łąz, zmarnowanych żyć, myślę. Dzwonek! Robi mi się zimno. Spoglądam przez okno, dzieciaki, szamocząc się, wbiegają do budynku i od razu moje rozmyślania dryfują w innym kierunku. Dużo przyjemniejszym. Wzdycham głośno z uśmiechem na ustach, dopada mnie dreszczyk emocji. Wiem, co będę robić przez cały tydzień – szykować się. Już nie mogę się doczekać. Już odliczam. Już nim prawie oddycham. Marnix będzie tu za kilka dni.

*Już teraz wiem, że dni są tylko po to,  
By do Ciebie wracać każdą nocą złotą.  
Nie znam słów, co mają jakiś większy sens,  
Jeśli tylko jedno – jedno tylko wiem:  
Być tam, zawsze tam, gdzie Ty<sup>22</sup>.*  
KONIEC

22 Jacek Skubikowski, *Zawsze tam, gdzie Ty*, w: Lady Pank, *Zawsze tam, gdzie Ty*, ZPR Records, 1990.

Pani Patrycjo, a dlaczego nie Piotrek, Jacek czy Paweł? Imiona jakieś niepolskie, miejsca obce. Dlaczego tak mało polskości w tych pani książkach? I jeszcze te wszystkie brzydkie słowa...

Bo tak mało Piotrka, Jacka i Pawła we mnie. Lata wchłaniania pierogów, kopytek, makowców, śpiewania Pana Tik-Taka i wlewania w siebie wódki, a w żyłach ciągle tylko wino. Nie jestem językową rasistką, żeby wybierać same ładne słowa, i na przekór wszystkim dopiero się rozkręcę. Mam brzuch wypełniony mięśniami, płuca cholernie lepkiem powietrzem, a dłonie pękają mi od konfetti. Jestem, kim jestem. Spełniam się, spełniam. I już się nie zmienię.

Dziękuję:

Magikowi za miłość, wino, pola lawendy, zakręcające drogi i piekielnie gorące noce. François Gallagher za sekrety Gourdon. Claire za nową piłkę na polanie. Katce za zimną kawę. Asi za głowę nad krawędzią. Tomkowi za żółtą taksówkę. Nico za bar w Nicei. Dominice i Kruchemu za śnieżną popitkę. Audrey za tryb atlety. Annemarie za holenderskie imię. Floriane za dobre karty. Chłopakowi bez imienia za spojrzenia. Czwartej Stronie za wiarę we mnie, wsparcie i cierpliwe czekanie. Przyjaciołom i rodzinie za pierwsze czytanie i czepianie się: Rodzicom, Monice Przyborowskiej, Ivonie Bagdiul, Joannie Tofil, Klaudii Bryle, Joannie Dziubek, Urszuli Smorawskiej, P.B., J.B., Pawłowi Mądreemu i Grzegorzowi Nowakowi. Mamie za prowadzenie domu, żebym miała czas na szukanie synonimów i skreślanie słówek. Kindze Gąsce za profesjonalizm. Katarzynie Nosowskiej, Edycie Bartosiewicz, Arturowi Rojkowi, Lady Pank i Jamesowi Bayowi za inspirujące piosenki. Czytelnikom, recenzentom i blogerom za czytanie i pisanie o moich książkach.

Pati

